



JACK
KETCHUM

POTOMSTWO

Replika

Ketchum Jack

Potomstwo

Szeryf miasteczka Dead River w stanie Maine sądził, że wybił ich wszystkich przed dziesięcioma laty - prymitywnych, czających się w jaskiniach, drapieżnych dzikusów. A jednak prawda okazuje się inna. Klan przetrwał. Rozmnożył się. I rusza na łowy. Zabija i żywi się tym, co upoluje. Ludźmi. Jeśli mieszkańcy Dead River chcą przetrwać tę noc, muszą wyzwolić w sobie pierwotny instynkt...



*Otworzyłem oczy, a straszny wilk,
Sześćset funtów grzechu,
Szczerzył w moje okno kły
Rzekłem: Przeszaj próg...*

- The Grateful Dead

CZEŚĆ PIERWSZA
12 MAJA 1992
00:25

Stała nieruchomo i patrzyła w okno. Jej ciało było upstrzone błotem i cętkami księżycowego światła, które padało wprost na nią, przecedzone przez kołyszące się gałęzie drzew. Pozostali niecierpliwie dreptali w miejscu.

Opuszkami palców dotknęła moskitiery. Była poluzowana, pewnie miała już swoje lata. Potarła palcem wskazującym o kciuk i wyczuła na nim drobinki rdzy.

Zaglądała do środka domu, obserwowała dziewczynę, której ciało wydzielало kwaśny, kwiatowy zapach. Ten zapach drapał w nozdrza i był tak wyraźny, że tłumiał stęchły odór kanapy, na której dziewczyna leżała, a nawet ciepły, tłusty aromat unoszący się ze stojącej obok miski.

Dziewczyna też pachniała stęchlizną. Uryną i polnymi kwiatami.

Miała duże piersi i długie ciemne włosy. Była starsza od niej. Nosila przylegające ciuchy. *Będą przeszkadzać.*

Samce stłoczyły się obok niej, również chciały popatrzeć. Pozwoliła im.

Ważne, aby wiedziały, co jest w środku. Ale to i tak ona ich poprowadzi, kiedy przyjdzie czas. Samce są młodsze i potrzebują przewodnika.

To wszystko było dla nich nowe i przez to ekscytujące, niczym smagnięcie brzoźową witką po plecach. Będą musieli się skupić i patrzeć uważnie.

Na piersiach poczuła dotyk kołyszącego się na brudnym sznurku, oprawionego w chłodne złoto diamentu.

Noc była spokojna. Gdzieś z oddali dobiegało jedynie cykanie świerszczy.

Patrzyli na dziewczynę, która nie zdawała sobie sprawy z ich obecności, pochłonięta odgłosami dochodzącymi z jasno rozświetlonego pokoju. I każdy z nich, przez ułamek sekundy, jakby muśnięty przez pędzący wiatr, wyczuł pogrążone we śnie dziecko - samotne, gdzieś nad nimi, w spragnionej ciemności - ich ciemności, ciemności ich przodków, ciemności Kobiety i Pierwszego Zabranego.

Mogliby przysiąc, że już widzą to dziecko, czują jego zapach.

Musieli tylko czekać.

Aż pojedyncza chmura zasłoni księżyc.

1:46

Cholera, Nancy!

Znowu zostawiła wszędzie pozapalane światła. A przynajmniej na całym dole.

Wjechała swoim buickiem combi na podjazd.

Laska myśli, że sram pieniędzmi, pomyślała. Na bank włączyła też wieżę i telewizor, a w lodówce nie została pewnie nawet puszka Coli.

Znowu prowadziła na lekkim rauszu.

Prawe tylne koło ześlizgnęło się z wysypanego żwirem i kamieniami podjazdu, zgniatając przy tym trzy ostatnie tulipany rosnące na krawędzi trawnika i rozpaczliwie próbujące przetrwać. A pies z *nimi*, pomyślała.

Pewnie rozjechałaby je nawet na trzeźwo.

Wyłączyła silnik i zgasiła reflektory.

Siedziała przez chwilę w aucie, rozmyślając o Deanie, z którym piła w knajpie. Sącył swoje Wild Turkey i zwyczajnie ją ignorował. To jej własny pieprzony mąż, a patrzył przez nią, jakby była jakimś przezroczystym duchem.

Ale właśnie taki był Dean - albo dostawało się od

niego wielkie nic, albo o wiele więcej, niż się spodziewało.

Nic było lepszą opcją.

Choć ponizającą. I typową. Czy się z nim żyło na co dzień, czy też nie, nigdy nie przestawał być panem Ponizającym. Sprawiało mu to radochę.

Wzięła głęboki oddech, aby otrząsnąć się z gniewu, i otworzyła drzwi samochodu. Sięgnęła po swoją wytartą czarną torebkę - w zapinanej bocznej kieszeni tkwił rewolwer kalibru trzydzieści dwa. Nosila go na wypadek, gdyby znowu przyszło mu na myśl stłuc ją na kwaśne jabłko i powtórzyć swój wyczyn z Caribou z ostatniego piątku. Dźwignęła się z fotela. Nie było to łatwe zadanie, wciąż nie udało jej się zrzucić wagi po ciąży. Na pewno nie pomogło też kilka wypitych przez nią piw. Torebka ciążyła jej na ramieniu.

Pierdolony Dean.

Trzasnęła drzwiami, ale i tak nie zamknęły się dokładnie. *Muszę to naprawić*, pomyślała. *Ciekawe jak.*

Odkąd Dean oszedł, ledwie starczało jej forsy na jedzenie dla siebie i dziecka, a raz w tygodniu musiała brać opiekunkę. Miała więc na głowie nie tylko pracę, ale i dom, więc ten jeden piątkowy wieczór miał być wyłącznie dla niej - szła do kina albo na drinka - i nie powinna z niego zrezygnować, a nie mogła przecież zostawić dzieciaka samego. Problem w tym, że barmanka w Dead River zarabiała nędzne

grosze, a ludzie dawali gówniane napiwki. Można obrzucać turystów błotem, ale oni chociaż sypali hojniej groszem.

Jeszcze miesiąc, pomyślała, oby do sezonu. Musisz jakoś wytrzymać.

Przesadziła susem pęknięty makadam i podeszła do bocznych drzwi, próbując zlokalizować odpowiedni klucz spośród kilku przypiętych do breloka.

Z kuchni dobiegł głuchy dźwięk, jakby coś spadło. Może butelka coli gruchnęła o rzeźnicki stół, za który dała majątek? Nancy pod jej nieobecność znowu żarła i chłała, co jej wpadło w łapy.

Powinnam ograniczyć piwo, pomyślała. Mogłabym. Oszczędzę w ten sposób trochę grosza. No bo co jest naprawdę ważne?

Ja i moje dziecko, co nie? Poczowała ukłucie winy. Czemu zawsze nazywają dzieckiem? Miała na imię Suzannah. Suzi. A nie dziecko. Przypomniała sobie chwilę, kiedy zdecydowała się na wybór tego imienia, a teraz praktycznie wcale go nie używała. Jakby dziecko było po prostu kolejnym *czymś*, jak kredyt na dom, uszkodzony dach czy ciekący w piwnicy kran.

Dean spieprzył wszystko w jej życiu, nic więc dziwnego, że nawet o dziecku nie mogła myśleć w inny sposób.

Zachciało jej się płakać.

Nancy, do cholery jasnej! Nie potrzebowała klucza. Drzwi były otwarte. Powtarzała to tej gówniarze raz po raz - *zamykaj drzwi.*

Okej, dzisiaj spotkała w barze Deana, ale przecież nie znaczy to, że będzie tam za tydzień. Może któregoś piątku pojawi się pod jej domem i zobaczy, że auta nie ma na podjeździe. Dwukrotnie groził, że wszystko wyniesie. Podstawi jakiegoś pickupa i wyczyści jej chałupę. Zostaną jej tylko brudne gacie.

Stać go na to, pomyślała.

Muszę pogadać z tą gówniarą.

- Nancy?

Otworzyła drzwi i zobaczyła, że telewizor w salonie jest włączony, ale dźwięk został wyciszony.

To po co go w ogóle włączać¹?

Przekręciła zasuwkę i weszła do kuchni. Od razu zobaczyła plamę na wyłożonej linoleum podłodze, ciągnącą się aż do parkietu w salonie. Zgadywała, że to cola albo kawa, w każdym razie coś ciemnego i lepkiego.

Jezu! Zamorduję tę dziewczynę!

Ostrożnie przestąpiła nad plamą i wtedy poczuła smród. Rozejrzała się i nagle słowa, które miała właśnie wypowiedzieć, utknęły jej w gardle, nie mogła nawet krzyknąć. Stała nieruchomo, próbując ogarnąć to, co zobaczyła, ale równie dobrze mogła chcieć połknąć silny podmuch wiatru w jednym wdechu.

Dwóch przysiadło na blacie obok zlewu. Mrużyli oczy, wpatrywali się w nią swoimi nienaturalnie jasnymi oczami. Ich ramiona i ręce pokryte były krwią.

Dzieci.

Nancy leżała nago na stole rzeźnickim.

Nie ruszała się, a jej skóra była trupio blada.

Miała odcięte ręce.

Jej ubrania porozrzucano po całej kuchni - pod stołem zauważyła mokre, połyskujące brązem jeansy.

Szafki były pootwierane, pudełka pogniecione, a słoiki potłuczone. Mąka, bułka tarta, krakersy, cukier, dżemy, konfitury i galaretki zapaćkały blaty i podłogę.

Ręce Nancy schły w zlewie. Razem z naczyniami.

Wszystko to uderzyło w nią z całą swoją mocą. Widziała, że te dzieci czekały na nią. Przewróciło jej się w żołądku, kiedy dzierzająca zakrwawiony toporek dziewczyna i dwóch brudnych bliźniaków, którzy trzymali nogi Nancy w rozkroku, odwrócili się w jej stronę jak na zawołanie. Cała trójka miała poważne i skupione miny, tak różne od uśmiechów ich towarzyszy przycupniętych przy zlewie.

Zwróciła wzrok ku dziewczynie, a ona odpowiedziała jej pustym spojrzeniem. Wydawało się, że w tej samej chwili obie zrozumiały, o czym myśli ta druga i po co tutaj przyszła - skupiły się na tym samym, równocześnie, choć ich zamiary były tak od siebie

różne. Myśli dziewczyny były zimne i wyrachowane, jakby odprawiała jakiś rytuał. Była świadoma swojej władzy i przekonana, że ta kobieta powinna wiedzieć, co tutaj zaszło.

Z kolei myśli kobiety kłębiły się tak energicznie, że potrzebowały jakiegoś uzewnętrznienia, i kiedy z jej ust wydobyło się imię córki (*Suzannah!*), wiedziała, że zachowanie Deana nie zniszczyło więzi łączącej matkę z dzieckiem; sądziła tak, bo w pewnym momencie porzuciła już nadzieję, ale teraz wszystko się zmieniło. Zdała sobie jednak sprawę, że nie ma już czasu, aby cokolwiek z tą miłością zrobić, i poczuła, jak pęka jej serce, tu i teraz. I kiedy najmniejszy z chłopców, którego nie zauważyła wcześniej, wypełznął spod stołu, trzymając biały, plastikowy worek na śmieci, a w nim ciasno owinięty, znajomy, niewielki kształt, i podniósł go w górę, aby mogła zobaczyć, co jest w środku, włożyła rękę do torebki, chcąc złapać za rewolwer, żeby wysłać te diabły tam, skąd przyszły - i zrobiłaby to bez wahania, gdyby w sam środek jej czoła nie wbito ostrza siekiery. Jej drgające ciało upadło na ziemię.

I nie czuła już bólu pękniętego serca.

3:36

George Peters śnił, że jego żona Mary - nieżyjąca od trzech lat — urodziła syna.

Ich chłopak miał już dwa lata i bawił się na podłodze.

Obok niego leżały drewniane klocki, a wokół jeździła kolejka - tory zaczynały się przy choince i niknęły gdzieś w sypialni Petersów, ale i tak pociąg znalazł w jakiś sposób drogę powrotną do salonu, prowadzącą przez uchylone okno.

Peters siedział w fotelu i czytał gazetę. I choć był to słoneczny, majowy albo czerwcowy dzień, w domu stała choinka i wszędzie jeździły ciuchcie.

Mary wyszła do koleżanki, więc Peters zajmował się chłopcem.

Nagle ktoś gorączkowo zapukał do drzwi i zawołał go po imieniu.

Wstał z fotela i zobaczył, że to Sam Shearing, nieżyjący już od jedenastu lat. Usłyszał od niego, że ma zabierać nogi za pas i to w tej chwili. Ma zabrać syna i uciekać, bo nadjeżdża pociąg.

Peters odpowiedział mu, że doskonale o tym wie, bo pociągi jeździły tędy bez przerwy.

Nie rozumiesz! - powiedział Shearing. *Nic, kurwa, nie rozumiesz!*

I rzucił się do ucieczki, co nie było w jego stylu.

Peters mrugnął i Sam zniknął. Zamknął drzwi i wrócił do salonu, gdzie jego syn nadal się bawił, układając klocki.

Wtem usłyszał pociąg.

Pędzący z łoskotem w stronę domu.

Peters złapał syna, wyminął choinkę i wpadł do kuchni - był młodszy, szybszy - i wtedy lokomotywa przebiła się przez okno w salonie i przejechała przez pokój, zbliżając się do nich tak błyskawicznie, że żaden człowiek nie zdołałby przed nią zbiec. Chłopiec wił się histerycznie w jego ramionach, a ogromne, czarne cielsko pociągu wciągnęło pod siebie lodówkę i zmywarę...

Zaciśnij zęby i biegnij...

Obudził się i poczuł zmęczenie, jakby faktycznie biegł, jego pikawa szalała, pocił się. Pościel była cała mokra, cuchnęła stęchłym fetorem wydalonej przez skórę whisky.

Dobrze, że chociaż kac mu odpuścił. Tym razem pamiętał, żeby przed snem łyknąć aspirynę, ale i tak kiedy usiadł na tyłku, ćmiło mu się we łbie. Pewnie jeszcze alkohol szumiał mu w głowie.

Spojrzał na zegar. Nawet nie wybiła jeszcze czwarta. *Nie ma mowy, żeby udało mi się jeszcze zasnąć.*

A przecież po to chleje się szkocką, żeby spać spokojnie.

Mary nigdy by się z nim nie zgodziła, ale z pewnością próbowałyby go zrozumieć. Wszak nie dało się znieść tak łatwo długich okresów samotności, jakie nadeszły. Odkąd zmarła, koszmary uwzięły się na niego, zmuszając do otwarcia butelki o czwar-

tej po południu i picia do późnej nocy. Ale najgorszy był sam fakt, że musiał żyć pod tym dachem bez niej.

Emerytura spędzona z najlepszym i najstarszym przyjacielem była czymś innym niż po prostu emerytura.

Usłyszał pukanie, ale tym razem to nie był sen, ktoś faktycznie walił w jego drzwi i to równie uporczywie.

- Idę, już idę! Chwila!

Wstał z łóżka. Nagi, stary mężczyzna z obwisłym brzuchem.

Podszedł do komody i wyciągnął z szuflady bokserki. Potem sięgnął do szafy i chwycił pierwsze lepsze spodnie. Ktokolwiek stukał, musiał go usłyszeć, gdyż przestał napaść w drzwi.

Komu, do cholery, przyszło do głowy wpadać w odwiedzinę o czwartej nad ranem? Przyjaciół, kumpel od kielicha - już niewielu ich zostało. Połowa gryzie piach, inni wynieśli się z miasta.

Obecnie w Dead River mieszkało więcej obcych niż znajomych.

No i masz, znowu się nad sobą użalał.

Ciapa, pomyślał.

Miał brata w Sarasocie, który cały czas powtarzał mu, że na Florydzie życie jest zupełnie inne. Mieszkał z żoną na osiedlu jednorodzinnych domków (w ogródku miał wiatrak), jakąś milę od Siesta Key.

Wpadł raz do nich w odwiedzinach i jednego był pewien - nie czuli się samotni, co to, to nie. Goście przychodzili do ich domu o każdej porze, w dzień i w nocy. Spacerowali, jeździli na rowerach, a ludzie mający problemy z sercem albo krążeniem organizowali sobie inne zajęcia. Kiedy sąsiedzi widzieli, że nowi przyjezdni siedzą na ganku, zaraz przychodzili na piwo i pogaduchy.

Chodzili na tańce, grali w golfa, jedli w restauracjach i klubach, sami organizowali spotkania i składkowe kolacje.

Ale to nie było życie dla niego.

Po pierwsze, bez przerwy grzało jak cholera, a on był jednym z tych, co doceniali każdą porę roku, nagie gałęzie drzew w styczniu i zieleń liści w maju. Lubił nawet zimę i to taką, podczas której mróz odbierał z rana oddech, pot leciał ciurkiem przy odśnieżaniu, a w kominku trzaskały polana.

Za to na Florydzie istniał tylko upał; upał przez jedną trzecią czasu przyjemny, przez jedną trzecią trochę uciążliwy, a przez jedną trzecią generujący istne kłęby pary - brodziło się w chmurach własnego potu.

No i nie uważał się za zbyt towarzyską osobę.

Pewnie, czasem przychodziło mu na myśl, że nie byłoby źle wyjść gdzieś i poznać jakąś kobietę, na Florydzie wydawało się to proste. Nikt na tym osiedlu nie trwał długo w kawalerstwie czy panieństwie. Na-

leżało tylko chadzać na tańce i kolacje - ale do tego trzeba mieć zacięcie.

Jemu nie chciało się nawet podejść do tych cholernych drzwi.

Nałożył szlafrok, wsunął na bose stopy klapki i poczłapał do korytarza. Zapomniał włączyć wcześniej automatyczny halogen na ganku, więc zrobił to teraz i otworzył drzwi.

-Vic.

W snopie jasnego światła stał Vic Manetti. W zaparkowanym na ulicy radiowozie siedział ktoś jeszcze, ale z tej odległości Peters nie potrafił rozpoznać twarzy.

Manetti był tutaj „nowy”, choć piastował urząd szeryfa już od dwóch lat. Dla tutejszych długo jeszcze będzie „nowym”, bo przyjechał z Nowego Jorku.

- Wybacz, że cię budzę, George.

- Nic się nie stało.

Peters szanował tego człowieka. Od czasu do czasu wychylał z nim kilka głębszych w Caribou, wypytywał, co działo się w mieście, aby być ze wszystkim na bieżąco, i odniósł wrażenie, że to dobry glina. Spokojny, miał głowę na karku i był dokładny. W takiej pipidowie jak Dead River nie wypadało prosić o nic więcej.

A jednak Peters odniósł wrażenie, że Manetti jest niespokojny i przyszedł z czymś ważnym.

- Muszę z tobą pogadać, George - powiedział.

- Domyślam się. Wejdiesz?

- Właściwie to miałem nadzieję, że ty zabierzesz się z nami.

Widział, jak Manetti przestępuje z nogi na nogę i bije się z myślami, szukając odpowiednich słów. Znalazł je po chwili.

- Chciałbym, żebyś rzucił na coś okiem. Potrzebuję twojej ekspertyzy.

- Ekspertyzy? - powtórzył i uśmiechnął się mimowolnie.

To jedno z tych słów, których nie usłyszysz w Dead River.

- Muszę cię jednak ostrzec, nie jest pięknie.

I wtedy Petersa dopadło przeczucie - może zrozumiał, co Manetti miał na myśli, mówiąc *ekspertyza* - a w jego głowie zapaliła się lampka ostrzegawcza i zdał sobie sprawę, że chyba wie, o co może chodzić.

Miał jednak nadzieję, że tym razem jest w błędzie.

- Daj mi chwilę.

Wszedł z powrotem do sypialni, zrzucił szlafrok i klapki, a z szuflady wyciągnął starannie złożoną koszulę - Mary pragnęła, żeby zachował porządek, nawet gdy pije - i sięgnął pod łóżko po buty. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyciągnął stamtąd karton soku pomarańczowego. Zaspokoił pragnienie. Skierował się do łazienki, opłukał twarz wodą i wyszczotkował zęby. Twarz, którą zobaczył w lustrze,

wyglądała na sześćdziesiąt sześć lat, a nawet jeszcze trochę więcej.

Wrócił do sypialni i wyciągnął z szuflady swój portfel. Na komodzie stało jej zdjęcie. Uśmiechała się do niego starzejąca się, ale nadal urodziwa kobieta. Fotografie zrobiono na długo przed atakiem raka.

Z przyzwyczajenia, jak zwykle wybity z równowagi przez to zdjęcie, otworzył górną szufladę i podniósł kaburę z tkwiącą w niej trzydziestką ósemką, zanim uświadomił sobie, iż nie będzie mu potrzebna.

Mógł śmiało zostawić pukawki młodziakom.

Vic czekał na niego w radiowozie. Policjantem, którego wcześniej nie rozpoznał, okazał się Miles Harrison. Znał go od dziecka, Miles przez jakiś czas był nawet ich gazeciarem, ale z jakiegoś powodu miał trudności z trafieniem w ganek. Grad przekleństw sypał się pod jego adresem każdej zimy.

Przywitał się, zapytał Milesa, co u rodziców (*wszystko w porządku, dziękuję*), i wsiadł tylnymi drzwiami. Ruszyli. Kiedy tak patrzył przed siebie na dwie sylwetki zniekształcone nieco przez zbrojone szkło, pomyślał, że to dziwne miejsce dla byłego szeryfa.

Pół godziny później wypita wcześniej szkocka podeszła mu do gardła, ledwie mógł się opanować, kiedy to zobaczył.

Kuchnia wyglądała jak cholerna rzeźnia.

Gdy tylko spojrział na to, co zostało z tej kobiety oraz opiekunki, od razu zrozumiał, z czym mają do czynienia. W sumie wiedział już wcześniej, kiedy tylko zobaczył kałużę moczu na schodach prowadzących na ganek... ktoś *oznaczył* to miejsce.

Domyślał się, że Manetti też już wszystko rozgryzł.

- No to już wiesz, czemu po ciebie przyjechałem - powiedział.

Peters skinął głową.

- Dostaliśmy zgłoszenie od matki opiekunki. Nazwa się Nancy Ann David, w marcu skończyła szesnaście lat. Matka mówiła, że jak tylko zrobiło się naprawdę późno, telefonowała tutaj, ale nikt nie odbierał. Spróbowała jeszcze kilka razy, zaczęła się martwić i wtedy zadzwoniła na policję.

- A kobieta?

Spojrział na leżące na podłodze zwłoki. Tak jak ciało opiekunki, były nagie i pozbawione kończyn. W klatce piersiowej ziała dziura - ktoś połamał tej kobiecie żebra, *otworzył ją* i wyciągnął z niej serce. Miała rozłupaną czaszkę, a w środku brakowało mózgu. Wnętrznosci walały się po podłodze.

- To Loreen Ellen Kaltsas. Trzydzieści sześć lat, w separacji. Mąż nazywa się Dean Allan Kaltsas. Zwinęliśmy go, już z nim rozmawiałem. Wygląda na to, że niezbyt im na sobie zależało, przyznał się zresztą, że zdarzyło mu się od czasu do czasu pod-

nieść na nią rękę. Ale nie sądzę, aby istniało jakieś powiązanie pomiędzy nim a tym bajzlem, wydawał się cholernie wstrząśnięty zaginięciem dziecka.

- Przypomnij mi, ile miało lat.

- Osiemnaście miesięcy. Nie ma po niej żadnego śladu. Zero krwi w kojcu i w jej pokoju. Nic.

Zrobił krok nad kałużą krwi i moczu i podszedł do leżącej na stole dziewczyny. Zwłoki badał Max Johnson, koroner.

- Cześć, George. - Witaj, Max.

- I jak ci się to podoba, co? Historia się powtarza?

- Chryste, Max. Oby nie.

Zmusił się, aby spojrzeć na ciało. Dziewczyna, prócz rąk i nóg, nie miała też praktycznie lewej piersi, spora jej część została odcięta.

- Mamy kolejną rundę i myślę, że powodem jest to, czego tutaj *nie ma*, George. Wszystkie te smakowite kąski, jeśli łapiesz, o czym mówię. Wygląda znajomo, co nie?

Nie odpowiedział.

- Przyczyna zgonu?

- Cholera, George. Wyrwali jej serce. Spojrzał w otwarte niebieskie oczy opiekunki.

Nancy Ann David musiała być śliczną dziewczyną. Może nie wybitnie piękną, ale ładną. Na pewno miała jakiegoś chłopaka. Kogoś, komu będzie jej brak.

- A kobieta?

- Uderzenie w głowę, prawdopodobnie siekierą albo toporkiem. Zmarła na miejscu.

Wyszedł z kuchni i skierował się do salonu, gdzie czekał na niego Manetti. Wyszli razem przed dom, potrzebował powietrza.

Vic zaproponował mu papierosa. Wziął i zapalił. Niebo zaczynało już się rozjaśniać tym ładnym blaskiem wczesnego poranka. Świergot ptaków zastąpił cykanie świerszczy.

- I co myślisz? - zapytał Manetti.

Peters wyłapał w jego słowach pewien podtekst. *Jesteś jedynym, który pamięta tamte zdarzenia. Jedynym, który będzie wiedział na pewno, czy to oni.*

Pozostali albo stracili tamtej nocy życie, albo wyjechali z miasta do miejsc, gdzie nie będą nękały ich okropne wspomnienia za każdym razem, kiedy wejdą do lasu albo pójdą na kamienistą plażę.

Powinien był zrobić to samo.

Gdyby nie Mary, może by i wyjechał, ale ona urodziła się w Dead River i nie chciała słyszeć o przeprowadzce.

Nocne koszmary nadal przekazywały mu jedną tylko wiadomość - *uciekaj, spieprzaj stąd*. Złe sny przychodziły nieproszone praktycznie każdego dnia, gasił je więc w zarodku dwiema lub trzema szklankami szkockiej. Gdy zamykał oczy, widział wyraźnie nagiego chłopca, który biegnie ku niemu, on krzyczy, żeby się zatrzymał, ale tamten nadal pędzi

i wtedy rozlega się ryk strzelb, wszystkie grzmia naraz i...

A teraz, kiedy Mary nie żyje, nie miał już rodziny. Miasto wypełniło się obcymi ludźmi. Powinien był wyjechać. Nadal może.

Pierdolić upał w Sarasocie. Mieli tam przecież klimatyzację.

- Jakiś naśladowca, prawda? - Manetti próbował przekonać samego siebie.

Peters spojrzał na niego. Szeryf wyglądał na zmęczonego, a jego chude, przygarbione ciało wyglądało jak znak zapytania. Manetti też miał już swoje lata.

- Po jedenastu latach, Vic? Naśladowca? Po jedenastu latach?

Rzucił papierosa na ziemię. Smród zwłok i krwi nadal drażnił jego nozdrza, dym z fajki nie mógł z nim rywalizować.

Z tym i innym odorem, który męczył go niczym niechcącą się zagoić rana. Taka, która pewnie nigdy się nie zbliźni.

Zakrwawiona kobieta skacząca z klifu... podrzynająca swoim nożem gardło Daniela od ucha do ucha...

- Wiesz, co myślę? - zapytał.

Przydeptał nadal tłącego się w trawie papierosa i spojrzał na rysujące się w oddali wzgórza. Szare, ale

widoczne. Prowadziły przez las do klifów, a potem do morza. Nie tak znowu daleko.

Nasłuchiwał ptasich treli. Orzeźwiający dźwięk budzącego się dnia, niezawodny i prawie namacalny, tak jak poranne słońce, pomógł mu zebrać siły.

- Myślę - powiedział - że ostatnim razem nie wybiliśmy wszystkich, a ci, co uciekli... wrócili.

4:47

Kiedy David Halbard uniósł głowę znad klawiatury swojego Maca, zaczęło świtać. *Wystarczy*, pomyślał, choć nie czuł zmęczenia.

Odepchnął się od biurka i na swoim skórzanym fotelu na kółkach podjechał do stacji dysków, wyciągnął dyskietki i podpisał je.

Noc minęła mu szybko i sprawnie. Odkąd skończył college, często zdarzało mu się zarywać nocki na pracy, jeśli tylko miał przed sobą jakieś wymagające wyzwanie.

Dyplom odebrał już jedenaście lat temu, jego przerzedzające się włosy były dowodem upływającego czasu, choć zachował w sobie mnóstwo młodszej siły. Wystarczyła kawa i mógł siedzieć przed komputerem godzinami.

David Halbard był mężczyzną spełnionym, szczególnie w tej chwili. Dopijał właśnie resztkę przestygniętej już, piątej tej nocy kawy.

Zawsze jednak zaskakiwało go to poczucie satysfakcji. Pierwsze lata na Uniwersytecie Pensylwańskim, a potem na Politechnice Brooklyńskiej były tragiczne. Szkoła inżynierska przygotowała go do poważnej pracy projektowej, ale etat w Comcorp okazał się kompletną nudą, ciągle tylko zasady i reguły, nic naprawdę ekscytującego. Porobił tam przez półtora roku i odszedł, pokładając zaufanie w swoim szczęściu.

Nieco lepiej było w IBM - projektowali sprzęt dla amerykańskiej Straży Wybrzeża. On i jeszcze dwóch koleś z zespołu mieli wolną rękę i to było super, ale niespodziewanie Straż zerwała kontrakt. Powiedzieli, że to wszystko jest dla nich zbyt skomplikowane.

Ale nie dla niego i reszty ekipy. Chodziło jedynie o to, że goście ze Straży to jebane prostaki.

Na następne trzy lata załapał się przy dwóch sporych projektach, aż wreszcie, w 1986, wypalił się, złapał doła, dopadła go patologiczna niechęć do czegokolwiek. Wiedział, że jeśli nadal skazany będzie na podobne zlecenia, skończy, konstruując transformatory albo coś równie nużącego, będzie spędzał w pracy całe dni i nienawidził siebie. Oraz Amy - za to, że z nim wytrzymuje.

Już wtedy byli małżeństwem, poznali się, kiedy została jego asystentką w IBM - ona również miała pracę poniżej swoich możliwości - i zobaczył w niej tę iskrę, która miała rozświetlić jego marne, niepoukła-

dane życie. Postanowili, że spróbują coś odmienić, przeprowadzą się tam, gdzie im się spodoba, i jakoś dadzą radę. Mieli trochę oszczędności, a jeśli będzie musiał, zaczniesz naprawiać telewizory i radia.

Co im szkodziło? Byli młodzi i niegłupi.

Łatwo znaleźli swoje miejsce. Amy pochodziła z Portland i nadal uważała Maine za swój dom. A dla Davida, urodzonego na Brooklynie, wybrzeże wyglądało kusząco.

Nadal wygląda.

Wyłączył komputer, wstał z krzesła i podszedł do podwójnych szklanych drzwi przesuwanych, prowadzących na taras. Otworzył jedno skrzydło i wpuścił do wnętrza domu poranne powietrze.

Wiatr głaskał wysokie trawy i nawłocie porastające pole za linią dębów, ale dzień zapowiadał się pogodnie.

Ptaki igrały w koronach drzew - śpiewały, zbijały się w stadka.

A, wypiję jeszcze jedną kawę, pomyślał, tutaj, na tarasie.

Przeszedł przez gabinet do kuchni i nalał sobie pełny kubek.

Kawa nigdy nie przeganiała senności. Za to praca -tak.

Wyszedł z kubkiem na zewnątrz i usiadł na jednym z zielonych, drewnianych krzeseł ogrodowych ustawionych przy wyblakłej barierce.

Nad jego głową kołysały się dwie grube gałęzie. Ta dłuższa sięgała niemal do końca tarasu i niewiele brakowało, a muskałaby okno przylegającej do gabinetu sypialni.

Amy jeszcze spała.

Muszę wreszcie uciąć tego badyla, pomyślał.

Tak naprawdę wolałby tego nie robić. Na tyłach domu rosło zaledwie dziesięć drzew, porozrzucanych nierównomiernie czarnych dębów, wysokich, starych i delikatnych, zasługujących na trochę miejsca do życia.

Zresztą mało które drzewa w tych stronach rozrastały się aż tak. Mroźne wiatry dmące od morza wyginały tutejsze rośliny, przygniatały je do ziemi. Wykoślawiały.

Poruszał palcami u stóp i upił trochę kawy.

Wyszedł na taras boso, słońce zdążyło już nagrzać deski.

Przestronny taras (dwadzieścia na trzydzieści pięć metrów) zrobiony był z pomalowanych na szaro sosnowych desek i spokojnie mieściły się na nim cztery wygodne krzesła, stolik z ławkami oraz grill. Podparto go palami, bowiem ich dom leżał na zboczu całkiem stromego, porośniętego dębami i krzewami wzgórza, u którego stóp ciągnęły się jakieś trzy akry trawiastego pola, kolejne dwa niskich sosen, jodeł i cedrów. Dalej były już tylko klify i morze.

Sosny co prawda zasłaniały klify, ale widok i tak

był zjawiskowy. Wszystko było dzikie i naturalne, nikt nic nie przycinał ani niczego nie kosił.

Mroki lasu, pomyślał.

Bogu dzięki za nie.

To właśnie za pieniądze z tej gry kupili dom.

Dwa lata temu, kiedy jeszcze pracował nad programem i poprawiał błędy, Amy projektowała grafikę, a Phil zajął się komponowaniem muzyki, wynajmowali mieszkanie w Nowy Jorku. A teraz mają stuletni dom w środku lasu. Urocze miejsce, lecz kiedy padało, dach przeciekał w co najmniej dwunastu miejscach. Krople deszczu wygrywały istną symfonię na garnkach i rondlach. Przez to nie mieli w czym ugotować obiadu.

Jego pomysł na szybką, pełną napięcia i naprawdę *straszłą* grę z gatunku horroru okazał się strzałem w dziesiątkę. Prawa do sprzedaży i dystrybucji gry w Stanach Zjednoczonych wykupiło Computer Arts, a wysokość tantiem pozytywnie go zaskoczyła. No i *Mroki lasu* okazały się pierwszym poważnym zwycięstwem firmy nad Nintendo. Właściwie było to *w ogóle* pierwsze zwycięstwo nad Nintendo, bowiem korporacja panowała na rynku od dawna.

Stało się tak głównie za sprawą kontrowersji. W grze pojawiały się hordy pajaków, które chciały pożreć głównego bohatera, lepkie, sprężyste pajęczyny, niebezpieczne doły z węzami, zdeformowane, humanoidalne potwory wyskakujące zza drzew i krza-

ków oraz cmentarze, gdzie umarli podnosili się ociężale i z wysiłkiem z grobów, wystawiając z mogił swoje przegniłe ręce. A zabici krwawili. Obficie.

Grafika stworzona przez Amy okazała się istnym dziełem sztuki i wszystko było przerażające jak cholera. Ludzie oburzali się, że to niestosowne, bo przecież w *Mroki lasu* będą grały głównie dzieci.

Ale ani David, ani Computer Arts nie podzielali tego zdania, wszak w porównaniu z dzisiejszymi filmami dla młodzieży ta gra była niewinna jak *Scrabble*.

A jednak w porównaniu z innymi dostępnymi na rynku grami, to była prawdziwa bomba.

Sprzedaż przekroczyła wszelkie oczekiwania, dzięki czemu firma mogła zainwestować w kolejne produkcje, a każda z nich osiągała przyzwoite wyniki.

Mroki lasu były dla Computer Arts tym, czym *Super Mario Brothers* dla Nintendo. Żadna gra nie przebiła jej ani w Stanach, ani w Japonii - była tam tak samo popularna jak w USA. Zaliczka, którą David otrzymał na kolejną grę, *Zabawa w chowanego*, była oszałamiająca.

Wybrali się z Amy na nieco większe zakupy.

Tak więc znaleźli ten stuletni, położony na odludziu (od sąsiadów dzieliły ich dwie mile), obity cedrem dom ze wspaniałym widokiem. Na dodatek śmiesznie tani w utrzymaniu. Poprzednim właścicielem był stary wiejski lekarz, który mieszkał tutaj

z żoną. Kiedy zmarł, ona wyprowadziła się do Arizony, do dzieci. David i Amy mieli wystarczającą ilość pieniędzy oraz głęboko zakorzeniony jankeski szacunek dla rzeczy minionych, toteż zdecydowali się zostawić dom praktycznie w takim stanie, w jakim go zastali - z ręcznie ciosanymi belkami, niepomalowanymi listwami i piecem opalanym drewnem.

Za tydzień Campbell i jego ekipa będą montować parapety. Leżały pod tarasem, przykryte brezentem. David miał Campbella za dokładnego i dobrego fachowca. Wiedział, że może na niego liczyć, i był przekonany, że Campbell zadba, aby ich dom nie stracił nic ze swojego charakteru, a nowe idealnie wkomponuje się w stare. Był co prawda drogi, ale wart swojej ceny.

Zresztą mieli pieniądze i to więcej, niż byli w stanie wydać. Sami nawet nie wiedzieli ile. Mieli od tego doradcę.

Nintendo miało rację co do jednego, pomyślał. Gdyby słowo nintendo przetłumaczyć z japońskiego, oznaczałoby to mniej więcej tyle co „nieważne, jak ciężko pracujesz, i tak wszystko jest w rękach boga”.

Trafili w samo sedno.

Na dnie kubka został może jeszcze łyk kawy.

Słońce nieźle grzało. David poczuł senność. Usłyszał nagle trzepotanie skrzydeł i zobaczył ptaka wylaniającego się z wysokiej trawy. Nie wiedział, czy

to kuropatwa, czy bażant - na pewno jakiś ptak łowny - i żałował, że nie ma pojęcia o *takich* rzeczach. Ptak przeleciał jakieś sto jardów i ponownie zniknął w trawie. David patrzył na niego, aż wreszcie stracił go z oczu.

Spojrzał ponownie w miejsce, z którego poderwał się do lotu.

I prawie upuścił cholerną kawę.

Stała daleko, ale miał dobry wzrok, a nawet gdyby widział o połowę gorzej, nie mógłby się pomylić.

Dziewczyna stała w trawie i nawłoci. Trawa była wysoka może na jakieś trzy stopy, sięgała jej do pasa. Jeśli miałby zgadywać, dałby jej siedemnaście, może osiemnaście lat. W każdym razie nastolatka.

Nie widział jej twarzy, ale miała ciemne, długie włosy. Bardzo długie. Opadały jej na ramiona i przysłaniały piersi.

Od pasa w górę była naga.

W rękę trzymała czerwony kwiat, który powoli obracała w palcach.

Patrzyła w jego kierunku. Na dom, na niego.

Amy w to nie uwierzy, pomyślał. Nasza własna nimfa leśna. Na naszym podwórku.

Dziewczyna stała jeszcze przez chwilę, aż nagle odwróciła się i poszła w stronę sosen. Rozwichrzona, bujna kaskada jej ciemnobrązowych włosów zniknęła powoli w jasnożółtej trawie.

Musiał zbudzić Amy i powiedzieć jej o tym, co właśnie zobaczył.

Wszedł z powrotem do pokoju i zasunął za sobą drzwi. Był już w połowie drogi do sypialni, mijał właśnie stary piec. Spojrzał na zegar.

Piąta trzydzieści.

Zabije mnie za to, pomyślał.

Ale miał dobry powód. Amy nie sypiała dobrze od trzech miesięcy; od narodzin Melissy, choć dziecko dorastało zadziwiająco szybko, co niezmiernie dziwiło Davida. Z płaczliwego niemowlaka szybko przemieniła się w grzecznego bobasa i nie budziła ich w nocy co pół godziny, jak mają to w zwyczaju dzieci znajomych. Przeważnie wstawali do niej zaledwie raz.

A dzisiaj Amy spała wyjątkowo dobrze.

Daj jej spokój, pomyślał. To może poczekać.

Idąc do łazienki, zajrzał do sypialni.

Po porodzie szybko wróciła do dawnej figury i z radością przyjął fakt, że znowu spała nago. Zachwycił się jej mocną, piękną linią pleców, łagodnymi krzywiznami ramion i przyciśniętymi do prześcieradła półkulami piersi.

Na drugim końcu pokoju mała Melissa z różowymi policzkami spała w swoim łóżeczku.

Jesteś szczęśliwym sukinsynem, pomyślał. Wiesz o tym?

Dom. Żona. Dziecko.

Leśna nimfa.

Gdzieś z pól dobiegło go pierwsze tego poranka krakanie wrony.

5:02

Druga Zabrana szła w cieniu sosen i cedrów, wdychając głęboko słodkawe powietrze. Pod jej stopami trzeszczały grube, mokre od rosy igły. Nisko rosnąca gałąź połaskotała jej goleń. Poczwała, że twardnieją jej sutki.

Zawsze odczuwała wszystko mocniej niż pozostali. Nie była z tego powodu zadowolona, ale wiedziała, że tak jest, i już.

Zbliżała się do skraju lasu, słyszała już szum morza.

Jeszcze nie znalazła dzieci, a już świtało, musiała więc wracać.

Kobieta będzie zła. Kobieta coś wyniuchała.

Kobieta wysłała Drugą Zabrana, aby znalazła dzieci, a ona tego nie zrobiła. Poczwała ukłucie wstydu.

Nie była tak dobrym łowcą, jak życzyłaby sobie tego Kobieta.

W końcu zawędrowała do domu, w którym urodziło się niemowlę, ale było wcześniej i pewnie jeszcze spało, więc go nie widziała. Pomyślała o swoim włas-

nym dziecku, niewiele w końcu starszym, oraz o mężczyźnie, który ją spostrzegł.

Zastanawiała się, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Istniał tylko jeden sposób, aby złagodzić gniew Kobiety - trzeba było ją uprzedzić. Rozejrzała się za odpowiednim narzędziem pokuty.

Musiało być cienkie, ale mocne i giętkie.

Mam.

Gałąź była zielona i twarda, ale Druga Zabrana miała zaprawione, zgrubiałe dłonie, więc nie sprawiło jej większego trudu wygięcie jej najpierw w prawo, potem w dół i w górę. Odłupała kolejne warstwy bieli. Oczyszczyła gałąź z igieł. Drewno wypuściło soki.

Wyszła na polanę, mrużąc oczy w słońcu.

Thuste, czarne trzmielce dryfowały w powietrzu pomiędzy jastrzębcami, koniczyną i stokrotkami. Stała w kwiatkach, wiedząc, że owady są nieszkodliwe, dopóki się ich nie uderzy albo nie nadeptnie. Pszczoły latały nisko, tuż przy niej, zbierając pyłek swoimi długimi czarnymi nóżkami.

Była tutaj sama.

Widziała, jak morska piana obmywa brzeg.

Smagneła się po plecach gałęzią. Mocno, aby każdy cios zostawił szramę, inaczej nie miało to żadnego sensu. Uderzała się po pośladkach i udach, ale nie odważyła się uderzyć niżej - nie chciała zwrócić na siebie uwagi pszczoł.

Ból również czuła mocniej niż pozostali. Kiedy skończyła, jej dłoń była brudna od kory i żywicy.

Za polaną roztaczała się kolejna część gęstego lasu. Ścieżka wiła się w górę, a potem w dół, prowadziła pod baldachimem z gałęzi poskręcanych, pokurczonych sosen błotnych i przygniecionych wiejącym od morza wiatrem świerków.

Przeszła tamtędy, odnalazła ścieżkę i zaczęła schodzić w dół klifów.

W połowie drogi na dół zobaczyła całą szóstkę lawirującą pomiędzy nabrzeżnymi głazami. Dziewczyna niosła w ręce torbę. Każdy z nich trzymał coś w dłoni, ale trudno było z tej odległości ocenić, co udało im się znaleźć.

Świtało, poruszali się bezszelestnie, ale szybko.

Nie uda jej się ich wyprzedzić.

Kobieta będzie wściekła.

Mogła ich zawołać, poczekaliby na nią. Kobieta nie zadawałaby wtedy pytań, uznałaby, że w końcu ich znalazła, choć zajęło jej to prawie całą noc i kawał poranka.

Ale już zdążyła się naznaczyć.

Była naga, więc Kobieta od razu zobaczy ślady i domyśli się, co zaszło.

Na ścieżce leżały lisie odchody. Kijem rozgrzebała fekalia i zobaczyła kłębki sierści i kość - pozostałości po posiłku, zapewne myszy albo królika.

Ofiara tego lisa zaznała przed śmiercią bólu. Walczyła o życie.

Westchnęła, wiedząc, że nie może powstrzymać nieuniknionego, i ruszyła w stronę plaży.

7:20

Mapa też stąd wyleciała.

Nie była to ta sama, z której korzystali przed jedenastoma laty, ale równie dobrze mogłaby być - zdążyła się już pomarszczyć i powycierać - wisiała zresztą w tym samym miejscu, na pożółkłej od papierosowego dymu ścianie komisariatu.

Ostatni raz Peters był tutaj podczas pożegnalnej imprezy na jego cześć.

Mary też mu wtedy towarzyszyła, wyglądała uroczo, a do tego wyraźnie cieszyła się, że jej mąż nareszcie odchodzi z tej pracy. Na przyjęcie przyszło kilka innych żon, tych, które go znały i którym nadal zależało na utrzymaniu tej znajomości. Kiedy podarowały mu mosiężny brelok o kształcie męskich genitaliów, jedna z kobiet aż się spłoniła ze wstydu.

Kilka dni wcześniej dokonał swojego ostatniego aresztowania.

Akurat zbierał z biurka rzeczy, kiedy na komisariat przyszedł chudy jak tyczka szczyl, aby wpłacić kaucję za swojego koleśia, którego zwinęli za jazdę po pijanemu i zakłócanie spokoju publicznego. Siedział

w celi od jakichś dwóch, trzech dni. Ustalili kaucję na tysiąc dwieście dolarów.

Dzieciak zaczął przeszukiwać kieszenie. Gmerał i gmerał w poszukiwaniu pieniędzy. Peters zaczął mu się przypatrywać, bo chłopak był mocno zdenerwowany. Zastanawiał się dlaczego. I wtedy zobaczył powód - kiedy chłopaczek wyciągnął wreszcie banknoty, wypadł mu foliowy woreczek. Chudzielec próbował złapać go w locie, ale nie zdążył.

Peters podszedł i podniósł woreczek.

Zapytał dzieciaka, co to jest.

A było to pół uncji tajlandzkiej marihuany.

Chłopak zaczął rzucać bluzgami, wciąż tylko *ja pierdołę i kurwa*.

Peters z miejsca odczytał mu jego prawa i kiedy tylko wsadził go do celi, przyjął przyniesione przez chłopaka pieniądze jako kaucję za kolegę i wręczył mu kwit. Niestety, chudy miał przy sobie dokładnie wyliczoną kwotę i nie mógł wykupić sam siebie za marne sto pięćdziesiąt dolarów. Peters zastanawiał się potem jeszcze wielokrotnie, ile dni tamten drugi pozwolił gnić w areszcie kumplowi, który wpłacił za niego kaucję.

Miał zapytać Manettiego, ale ciągle o tym zapominał.

Manetti i Miles Harrison czekali, aż coś powie. Peters wskazał na mapę.

- Jedenaście lat temu nie wiedzieliśmy, z czym

mamy do czynienia - zaczął - ani gdzie tego szukać. Dzisiaj możemy założyć, że wiemy, o co chodzi. Zapewne trochę przewędrowali, co oznacza, że mogą być wszędzie, trzeba sprawdzić całe wybrzeże stąd do Lubec, a może nawet do Cutler. Poza tym nie możemy wykluczyć, że kryją się gdzieś po lasach, ale obstawiałbym, że siedzą w jednej z jaskiń, na klifach. Tam znaleźliśmy ich poprzednio. Ale to i tak od cholery roboty. Cały ten pieprzony teren poprzetykany jest jaskiniami, lecz ostatnim razem, kiedy zaczęliśmy ich szukać, była już noc, około pierwszej, i nie mogliśmy na to nic poradzić. A teraz mamy jeszcze dzień, więc ruszamy tak szybko, jak to możliwe. Wezwijcie wszystkie jednostki, łącznie z chłopakami ze stanowej. I zróbcie to na *wczoraj*.

Manetti spojrzał na Harrisona. Młodszy policjant nawet bez słów błyskawicznie zrozumiał, co ma zrobić.

- Zajmę się tym - powiedział, podszedł do biurka i złapał za telefon.

Manetti wpatrywał się w mapę. Był widocznie zaniepokojony, cały czas przeczesywał swoje kręcone włosy ręką i wycierał twarz.

- Wiesz, czego nie rozumiem? - powiedział. -Gdzie oni byli przez te wszystkie lata? Czemu nikt ich nie widział? Przecież jak robisz takie rzeczy, to nie da się tego ukryć, przejść niezauważonym. Gdzie się kryli?

Była dopiero siódma rano, ale Peters czuł, że przydałoby mu się coś mocniejszego. Czas był tak samo płynny jak alkohol. Wszystko zależało od tego, jak się człowiek czuł.

- Powiem ci coś, Vic - odezwał się - bo rozmyślałem nad tym. Nie sądzę, by się *chowali*. Myślę, że przemieszczali się z miejsca na miejsce.

- Z miejsca na miejsce?

- Zobacz. Jesteśmy zaledwie rzut beretem od Kanady. Wybrzeżem da się dojść aż do Nowofundlandii. A nawet do Zatoki Hudsona. Jest tam wiele miejsc, gdzie można się spokojnie zaszyć, to są w dużym stopniu niezamieszkane tereny. A z Kanadą nie wymieniamy się zbyt często informacjami o zaginionych osobach, przynajmniej tak było za moich czasów. I przypuszczam, że wiele się w tej materii nie zmieniło. Zakładam jednak, że gdybyśmy skierowali do nich zapytanie, szybko się okaże, iż w ostatnich latach zanotowali sporo tajemniczych zaginięć w okolicach wybrzeża.

- Sprawdzimy to - powiedział Manetti.

- Dopiero wtedy, kiedy skończymy tutaj - odparł Peters. - Kiedy ich dostaniemy. Kiedy już będzie pozamiatane.

Dotarło do niego, że przez cały ranek używa pierwszej osoby liczby mnogiej. Miał nadzieję, że nie wchodzi Manettiemu w drogę i że nie wczuwa się za bardzo w rolę twardego gliny.

Nie mógł jednak nic na to poradzić, obiecał sobie jedynie, że będzie zważał na słowa. W końcu to oni poprosili go o pomoc.

- Myślę - powiedział - że nawet nie wiedzieli, że przekroczyli jakąś granicę. Po prostu szli i szli.

Dopóki nie spojrzano się na mapę, granice też były płynne. Manetti przytaknął skinieniem głowy.

- A więc gdzie chcesz zacząć? - zapytał. Peters przypomniał sobie ponownie o Caggiano -

z rozciętym gardłem - który próbował krzyczeć. Manetti był nawet trochę do niego podobny, tak samo żyłasty.

Oddalił od siebie okropne wspomnienie.

- Znajdźmy tę jaskinię - powiedział - i miejmy nadzieję, że znowu obrali ją za dom.

CZEŚĆ DRUGA

POPOŁUDNIE

11:00

Amy zbierała naczynia po śniadaniu, kiedy usłyszała, jak David odkręca wodę w łazience. Zastanawiała się, jak długo spał, i poczuła lekką, dobrze jej znaną zazdrość. Jej mąż mógł przespać zaledwie pięć czy sześć godzin, a i tak był świeży jak szczypiorek. Ona z kolei potrzebowała aż ośmiu i jeśli spała choćby chwilę krócej, czuła się źle przez cały dzień.

A było tak przez dłuższy czas, odkąd urodziła się Melissa.

Trzeci miesiąc był nieco łatwiejszy, cykl dnia jej córki stawał się coraz bardziej regularny; sypiała, jadła i bawiła się mniej więcej o tych samych porach. W nocy przesyiała nawet dziewięć albo i dziesięć godzin, budząc się jedynie raz czy dwa.

Za to *ona* miała kłopoty ze snem, jeszcze nie przywykła do nowych warunków. Dzisiaj spała bardzo spokojnie, co rzadko jej się zdarzało w ostatnich tygodniach.

Czuła się nieźle, ale chciała czuć się jeszcze lepiej. Z kolei David lubił cytować Warrena Zevona

- „Wyśpię się po śmierci”.

Nie miała pojęcia, skąd on brał tę całą energię. Na pewno nie odziedziczył jej po rodzicach. Ich sposób na spędzenie idealnego wieczoru to trzy albo cztery odcinki ulubionego sitcomu, wiadomości o jedenastej i sen.

Była to jedna z nielicznych rzeczy, których nie mogła rozgryźć i które różniły ich od siebie. Ich umysły działały bardzo podobnie w większości przypadków, a jeśli coś nie grało, rozmawiali o tym.

I to w gruncie rzeczy im wystarczyło.

Włożyła ostatnie talerze do zmywarki i wytarła ręce. Skóra znowu zaczęła jej się wysuszać, zapisała więc sobie w pamięci, aby nakremować dłonie. Wystarczy, że miała paznokcie krótsze niż szesnaście dziesiątych cala - Syndromu Klawiatury nabywało się wraz z godzinami spędzonymi przy komputerze

- nie miała zamiaru doprowadzić do tego, aby jej ręce wyglądały jak suchary.

Od porodu nieco szalały jej hormony. Tyle dobrego, że wreszcie miała regularny okres. Minusem było to, że nie mogła wypić nawet jednego kieliszka białe-

go wina, by po chwili nie zwrócić całej kolacji - z kolei wódka wcale nie kłóciła się z jej organizmem.

No i straszliwie wysuszały się jej dłonie.

I tak uznała, że wymiana była całkiem fair.

Szczególnie, jeśli do transakcji wliczyło się Melisę.

Akurat drzemała, a Amy nie cierpiała jej budzić. Ale skoro David już wstał, chciała trochę poodkurzać. Około drugiej mieli do nich wpaść Claire i Luke, chciała więc popracować chociaż godzinę przed ich przyjściem.

Będzie musiała zaryzykować.

Lepiej nie, pomyślała. Teraz wezmę się za pracę, a poodkurza David, kiedy już zje śniadanie.

Nie będzie miał nic przeciwko. Nigdy nie ma.

Jej komputer stał dokładnie naprzeciwko wielkiego dębowego biurka Davida. Obecnie rzadko siadywali w tym pokoju o tej samej porze, ale kiedy tylko ich grafiki nakładały się na siebie, żartowali, że czują się jak Wspaniali Bracia Baker minus Michelle Pfeiffer. A David minus peruka.

Nalała sobie kawy do filizanki, dołała do niej mleka z lodówki, usiadła przy biurku i włączyła komputer, aby rzucić okiem na efekty wczorajszej pracy.

Kiedy łądował się system, Amy pomyślała o Claire.

Powinna się ucieszyć, myśląc o niej, ale tak się ostatnio namieszało, że najpierw poczuła gniew. Nie na Claire - były najlepszymi przyjaciółkami

od czasów college'u i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Chodziło o jej męża, Stevena. Przewidziała, co się stanie, już na samym początku, przed prawie dziesięcioma laty. Niestety, Claire nie.

W Stevenie było coś *śliskiego*. Za fasadą szerokiego uśmiechu i fałszywej uprzejmości kryła się podstępność, Amy nie wierzyła, że faktycznie zależy mu na Claire. Gdy Steven z kimś rozmawiał, nigdy nie patrzył mu w oczy, zerkał tylko na boki. A kiedy odwróciło się wzrok, można było przysiąc, że natrętnie cię obserwuje.

Za to faceci go uwielbiali, nawet David. *Pan Zwyczajny Facet*. Zawsze gotowy do rozmowy i do kieliszka.

Amy nigdy mu nie ufała.

Gdy tylko zorientowała się, że rychły ślub wisi w powietrzu, powiedziała o swoich przeczuciach Claire tak łagodnie - choć stanowczo - jak tylko potrafiła.

Lecz on był sprytniejszy, tak jak ci wszyscy zakamuflowani socjopaci. Rozegrał tę partię perfekcyjnie. Miesiącami przychodził do niej jako przyjaciel i nie chciał od Claire niczego więcej, pragnął tylko przyjaźni, aż wreszcie przystąpił do szturm i zajął pozycję potencjalnego partnera. Wyrobił w niej nawyk ciągłego wychodzenia wszędzie razem, informowania

się o wszystkim i wkrótce byli nierozłączni. Łatwo i gładko wbił się do kręgu jej przyjaciół.

Claire rozpoczynała akurat nowy etap w życiu. Wreszcie znalazła siłę, aby rzucić pacana, z którym była od college'u. Facet był tak zazdrosny i zaborczy, że konkretnie przeginał. Czasem jego napady szału zakrawały na farsę, gdyby tylko nie były tak destruktywne. Raz doprowadził do pijackiej kłótni - stał przed mieszkaniem Claire i darł się, że nie jest lepsza niż jej matka. Kiedy się rozstali, Claire była łatwym celem i Steven wykorzystał to bez skrpułów.

Zawsze wydawał się mówić bezgłośnie: *Jestem twoim przyjacielem i szanuję cię.*

Amy pamiętała to jego mizdrzenie się i podchody.

Ten maniak idealnie sobie wszystko zaplanował. Seks był ponoć niezły. No i łatwo było Claire pomylić wyrachowane zainteresowanie z troską. Uwierzyła, że naprawdę ją lubił. Kochał.

Amy wątpiła jednak w to, czy Steven kochał bądź lubił kogokolwiek.

Czasami zastanawiała się, kiedy i dlaczego Steven zdecydował, że chce właśnie Claire. Co prawda była niezwykle atrakcyjna i może o to właśnie chodziło, bo ambitny Steven miał szansę zostać szychą w jakiejś wielkiej firmie prawniczej z Nowego Jorku i każdy, kto go znał, wiedział o tym. A Claire wyglądałaby uroczo zawieszona na jego ramieniu - taki

widok doceniliby i klienci, i współpracownicy, a ponieważ była skromna i pełna gracji, polubiłyby ją nawet ich żony.

Ostrzegała ją. Może nawet zbyt często. Ale Claire nie dawała wiary jej argumentom - ani odnośnie ślubu, ani później, kiedy przebąkiwała o dziecku.

Luke.

Biedny Luke. *Miał ojca oszusta.*

Kiedy myślała o nim i o Claire, burzyła się w niej krew ze złości i smutku. Błagała boga, żeby dodał jej siłę, aby mogła jakoś zranić tego łajdaka.

Myśląc o swojej przyjaciółce, zdawała sobie sprawę, że ona sama ma farta.

Usłyszała, że David odkręcił kran w łazience. Zawsze marnował mnóstwo wody podczas golenia, ale jeśli to miał być jedyny kłopot z tym facetem - i może jeszcze to, że zawsze zapominał o opuszczeniu kłapy w toalecie i wszędzie rozrzucał popiół z papierosa, bo nie mógł znaleźć cholernej popielniczki, kiedy jej potrzebował - to mogła powiedzieć, że nie ma żadnych problemów w związku. I tak faktycznie było.

Ojciec, niech go Bóg błogosławi, powiedział jej kiedyś, że wreszcie znajdzie sobie takiego faceta, jakim w końcu okazał się David, ale nigdy mu nie wierzyła. Po części dlatego, że on sam był taki, a Amy nigdy nie spotkała nikogo, kto choćby trochę go przypominał. A jednak pewnego dnia taki ktoś się

pojawił. Seksowny, czuły, sprawdzał się jako partner i jako dobry przyjaciel. Dzielili się obowiązkami domowymi i opieką nad Melissą. Przewijał ją, karmił, wstawał w nocy przez całe dwa trudne miesiące... i traktował Amy jak równą sobie, zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym.

Nieco się od niej oddalił po śmierci swojego ojca, który zmarł przed trzema laty na raka. Kochał tego leniwego, czarującego mężczyznę i ciężko przyjął ten cios. Wiedziała, że czasem pograża się w myślach o nim. Kiedy zapytała go o ojca, powiedział, że po prostu za nim tęskni, i było w tych słowach wiele prawdy. Zastanawiała się jednak, czy nie chodziło o coś więcej, może on sam nie potrafił zrozumieć głębi swoich uczuć.

Pracował ciężko, całe dni, jakby ścigał się ze swoim wewnętrznym zegarem. Ostatnio przebąkiwał coś o rzuceniu palenia.

Zastanawiała się, czy zaczął bać się śmierci, czy przypadkiem odejście ojca nie stało się dla niego kolejnym sprawdzianem dowodzącym jego własnej kruchości.

Wyśpię się po śmierci.

Skoro tak mówił, to chyba jednak nie czuł przed nią lęku.

A z pewnością nie było po nim tego widać, kiedy wszedł do pokoju w swoim powycieranym, czerwonym szlafroku i niezawiazanych tenisówkach. Był

pełen życia i energii, choć wyglądał nieco zabawnie.

- Zacząłem wczoraj trzecią planszę - oznajmił.

Nachylił się i pocałował ją w czubek głowy, przytulając się do jej długich, kręconych, rudych włosów. Poczula zapach mydła i szamponu z papai.

Była wdzięczna za mężczyznę, który nie miał kosy z płynem po goleniu.

- Wiem, jak tylko się obudziłam, włączyłam twój komputer. Dużo zrobiłeś. Wygląda super.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

- Kawa?

- W kuchni.

- Doskonale.

Z kuchni krzyknął do niej:

- O której przychodzi Claire?

- Około drugiej.

- Okej, czyli mam chwilę na naprawienie kabla od lampy.

Wczoraj zrobiło się jakieś spięcie, tak przed drugą w nocy. Muszę obkleić to izolacją. Wydaje mi się, że widziałem u nas taśmę.

- Chyba jest w piwnicy.

Przyszedł z powrotem do gabinetu i spojrzał przez jej ramię na monitor, a potem spuścił wzrok na wyraźnie widoczne pod rozsuniętym szlafrokiem piersi.

- Jak ci idzie?

- Nawet jeszcze nie zaczęłam. Ciągle myślę o Claire.
Skinął głową i napił się kawy. Już to przerabiali
i nie musiała mu niczego tłumaczyć. Wiedziała zresztą, że
podzielał jej zdanie, w końcu też był przyjacielem Claire.

- Posłuchaj - powiedziała - nie odkurzyłbyś za jakąś
godzinę? Niech Melissa jeszcze sobie pośpi, a ja bym przez ten
czas popracowała.

- Żaden problem.

Zobaczył, że słońce świeci wyjątkowo jasno, otworzył
więc przesuwane drzwi. Nagły podmuch wiatru zatrzepotał
ułożonymi na biurku papierami.

- Jezu! Prawie zapomniałem - powiedział. - Dzisiaj rano
przydarzyła mi się *niesamowita* rzecz! Słyszałaś coś może o
jakiejś hipisowskiej komunie, która tędy przejeżdża, albo o
czymś takim?

Spojrzała na niego znad monitora.

- Że co?

- Dzisiaj rano widziałem na łące z tyłu domu dziewczynę,
zaraz po wschodzie słońca. Miała naprawdę długie włosy i była
naga jak ją Pan Bóg stworzył.

- Dziewczynę?

- No tak. Szesnaście, może siedemnaście lat, trudno mi
ocenić, stała dość daleko.

- I była nago?

- Na pewno od pasa w górę, reszty nie widziałem.

- Chyba żartujesz.
- Jestem śmiertelnie poważny.
- I co, może jeszcze miała fajne cycki?
- Nie wiem, nie widziałem z tej odległości. -Aha.

Wstała od komputera i podeszła do niego. Objęła go w pasie.

- Nie zaprosiłeś jej do domu?
- W jakim celu? Po co mi leśna nimfa, skoro mam w domu boginię?

Zaśmiała się.

- Trochę obwisła ta twoja bogini.
- Boginie nie obwisają, ale dojrzewają. Tak jak pszenica i kukurydza.

- Kukurydza to świetne porównanie. Pocałowała jego miękkie wargi. Pachniał mydłem i kawą.

- Pewnie już nie zdążę popracować, co? - zapytała.
- Na pewno nie w tej chwili. A ja nie obkleję kabla izolacją.

- Nie obudźmy Melissy.
- Spokojnie, przecież nie miałem w planach włączenia odkurzacza.

David odwiązał pasek szlafroka i zrzucił go z ramion Amy. Położył się na kanapie i przyciągnął ją do siebie. Słońce grzało plecy kobiety, kiedy usiadła na swoim mężu i przyjęła go w sobie.

Przypomniało się jej, że nie zamknęła programu i nie wyłączyła komputera.

I przez najbliższy czas była to ostatnia myśl, która nie dotyczyła ich obojga.

11:50

Peters stanął przy wejściu do jaskini. Pocił się, nie tylko z powodu wysiłku, ale i z nerwów.

Za nim stał Manetti, Harrison i czterech funkcjonariuszy, którzy również przestępowali z nogi na nogę. Ich nerwowość można było poznać po drżących promieniach latarki, które wędrowały po czarnych od sadzy ścianach groty.

Nawet jeśli nie świadcowało się temu, co się tutaj wydarzyło, już samo miejsce wystarczyło, żeby przyprawić człowieka o dreszcze.

Zarzucił strzelbę na ramię, wiedząc, że nie będzie jej potrzebował, i wszedł do środka.

Przypominał sobie tamtą noc.

Ten facet, Nichols jakiś tam - dziwnym trafem zapomniał nazwiska - miał na nosie okulary, które poszybowały w powietrze, kiedy otworzyli ogień. Uznali, mimo tych cholernych okularów, że jest jednym z nich, tak bardzo byli przerażeni. Zastrzelili go, choć tyle wycierpiał. Leżał nagi na podłodze obok tamtej kobiety. Krwawili, bowiem przeszli piekło, ale nadal żyli, wykosili tych dzikusów

niemal do nogi. Pamiętał, że sam zastrzelił tego z nożem.

I przypomniał sobie o chłopcu... chłopcu, który był ich więźniem Bóg wie jak długo. Wyciągnął przed siebie ręce, zaczął iść w ich stronę powolnym, sennym krokiem, cały brudny i pokryty własną zakrzepłą krwią, łatwo więc było go pomylić z tamtymi. Kiedy Peters kazał mu się zatrzymać, nie posłuchał, a oni nie ryzykowali, ryknęło naraz sześć strzelb i nie wiedział do dzisiaj, czy to on go zastrzelił, czy ktoś inny.

Tak było jedenaście lat temu, wtedy nie mógł zrobić sobie przerwy na łyka Johnnynego Walkera. A teraz cieszył się, że nie był już glina, że mógł wyciągnąć z kieszeni piersiówkę, zerwać banderolę, odkręcić nakrętkę i przechylić butelkę, pociągając głęboki łyk.

Pozostali zerknęli na niego. Młodszy funkcjonariusze patrzyli spod byka. Pieprzyć ich.

Z wielu różnych powodów cieszył się, że nie jest już glina.

Głównym był jednak tamten chłopak.

Nie musiał już o nim myśleć.

Wychylił jeszcze jeden łyk, schował butelkę do kieszeni i rozejrzał się wokół.

Jaskinia była pusta - nie było w niej ani skór, ani posłań, ani ciuchów. Zabrali wszystko na plażę, wy-

czyścili całe wnętrze groty, wynieśli nawet połamane trzonki od siekier, łożę karabinu, grabie i skórzany pasek i spalili dwa dni po strzelaninie. To, czego nie wrzucili do ognia i nie potrzebowali jako materiału dowodowego, wyrzucili na stare wysypisko miejskie przy Tucker Road, skąd zresztą większość tych śmieci pochodziła.

Dzisiaj na utwardzonej ziemi leżało tylko kilka pogiętych gwoździ i zaśnieżona klamka od drzwi.

Nie wrócili tutaj. Nie do tej jaskini.

Kto wie, może oni także mieli swoje wspomnienia i koszmary.

- Kurwa - powiedział Manetti.

Wszyscy byli na swój sposób rozczarowani i choć niezaprzeczalnie im ulżyło, to jednak odczuwali zawód. Nawet po jedenastu latach bez trudu znalazł to miejsce i Peters zaczął myśleć, że dopisuje im szczęście, lecz teraz wyraźnie ich opuściło. Byli jak gończe psy, które straciły trop.

- W głębi jest jeszcze jedna jaskinia, mniejsza. Sprawdźmy.

Zdjął strzelbę z ramienia, choć wiedział, że ich tutaj nie ma, ale siła przyzwyczajenia i lata ćwiczeń wymuszają pewne zachowania. Jaskinia pachniała ziemią, wilgocią i morską wodą. Gdyby tamci jeszcze tutaj mieszkali, zapach byłby... inny.

Manetti znalazł leżący w rogu, odłamany kawałek wideł.

Poza tym nic.

Peters poczuł nagle zmęczenie, opadł z sił. Pociągnął kolejny łyk whisky.

Wyszli tą samą drogą, którą weszli.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Zaczęli schodzić w dół klifu.

Morska bryza łagodnie mierzwiła mu włosy. Poczuł się świeżo.

W połowie drogi zapytał Manettiego o psy, a ten odpowiedział mu, że do drugiej przywiozą je z Bangor, przyjadą razem z dwudziestoma policjantami.

Obecnie dysponowali jeszcze dwiema sześciuosobowymi grupami, które przeczesywały wąski pas wybrzeża na północy i na południu. Funkcjonariusze z psami zajmą się lasem i pójdą dalej na północ, do Lubec, druga grupa na południe, do Cutler, a część psów spróbuje złapać trop w domu Kaltsasów.

Od drugiej będą mieli jeszcze cztery godziny dnia. Cztery godziny.

Zszedł ze ścieżki.

To było dokładnie w tym miejscu. To tutaj przyłożył lufę do głowy tej kobiety i nacisnął spust, nie było możliwości, że spudłuje. Dla Caggiano i tak było już za późno. Jej zęby tkwiły w jego gardle, nawet kiedy zdejmowali z niego jej zwłoki.

Manetti zobaczył, że Peters przystanął.

- Czy wszystko gra, George? - zapytał.

Peters przytaknął.

- Słuchaj, znalazłeś jaskinię. Powiedziałeś nam, gdzie jeszcze mogą się kryć i jaki prawdopodobnie będzie ich kolejny krok. Nie widzę więc powodów, dla których miałbym raz jeszcze kazać ci przez to wszystko przechodzić. Może powinieneś wrócić do domu, przespać się, a my zajmiemy się resztą.

Peter pokręcił głową.

- Znam ich - powiedział. - Tamtej nocy powystrzelałem ich wszystkich, widziałem, co zrobili, i przesłuchałem świadków. Potrzebujecie mnie. Wiem, co sobie teraz myślisz, i to miło z twojej strony, ale zrobisz jeszcze lepiej, jeśli poprosisz mnie grzecznie, żebym z wami został.

Manetti uśmiechnął się.

- Ej, może jednak zostaniesz z nami, George?

- Pewnie. Pewnie, że zostanę.

Zatrzymał się na plaży i spojrzał na klify.

Wypatrzenie tej jaskini z dołu było wręcz niemożliwe. Dobrze wiedzieli, co robią, wybierając to miejsce. Zastanawiał się, w jaki sposób znaleźli następne.

Pomyślał, że musi mieć zboląłą minę, skoro Manetti zapytał nagle:

-1 jak? Pewnie ciężko było ci na to patrzeć?

- Na pewno mam lepsze wspomnienia - odpowiedział. -1 przeżyłem lepsze dni.

Ponownie sięgnął po piersiówkę i odkręcił ją.

- Będzie gorzej, Vic. Zanim ten burdel się skończy, sam pożałujesz, że nie masz pod ręką butelki. Cholera, pewnie jeszcze się do mnie przyłączysz - powiedział i napił się whisky.

14:20

Amy popatrzyła na siedzącą po drugiej stronie stołu Claire i od razu wiedziała, że dobrze zrobiła, zapraszając ją do siebie.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedziała. - Czy ty w ogóle sypiasz?

- Ostatnio nie tak długo, jakbym chciała. Wyciągnęła dłoń po szczupłą rączkę Melissy.

Dziecko od razu ścisnęło jej palec wskazujący. Amy właśnie karmiła córeczkę.

- Jest taka śliczna - powiedziała Claire.

Amy zaczęła boleć pierś, za minutę albo dwie będzie musiała ją zmienić. Ale uśmiechała się, bo Claire miała rację. Melissa istotnie była piękna. Miękka, różowiotka skóra, meszek brązowych włosów. I urocze, wielkie, brązowe oczy. Nawet pachniała wspaniale - miała słodki oddech i ciepłą, czystą skórę.

Kiedy przyszli, Melissa spała. Claire i Luke na paluszkach weszli do sypialni, a potem Claire uznała, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Nawet Luke promieniał - jakby to była jego własna, mała siostrzyczka.

Claire zabrała palec. W zamian dziecko uściśnęło pierś Amy.

- Dzisiaj dostarczą mu papiery - powiedziała Claire.

- Czas najwyższy.

- Znaleźli go dopiero w poniedziałek. Okazało się, że był z Marion, w biurze. Pracowali razem nad księgami. Ponoć jest jego doradcą czy kimś takim. Już nie partnerem, ale wróciła.

- Marion. *Suka*.

- Nie mam pojęcia czemu, ale sprawia wrażenie osoby, która zrobiłaby dla niego dosłownie wszystko.

- Założysz się, że ją posuwa?

- Nie wiem. Marion nigdy nie wyglądała mi na kogoś, kto związałby się z partnerem. Była raczej zwyczajną karierowiczką. Ale słuchaj dalej. Okazało się, że to *sekretarka* Marion podżyrowała pożyczkę.

- Ała! - jęknęła Amy.

Claire skrzywiła się, jakby te małe ząbki wgryzły się w jej sutek, przez co Amy niemal wybuchnęła śmiechem.

Zmieniła pierś. Melissa nawet się nie rozryczała. Teraz rzadko kiedy w ogóle wybuchwała płaczem.

Claire uśmiechnęła się z ulgą, kiedy dziewczynka przyssała się do sutka.

Ta reakcja zdziwiła Amy. Pamiętała doskonale, że przecież jej przyjaciółka samodzielnie karmiła piersią Luke'a, więc nie powinna aż tak się krzywić,

widząc ślad po malutkim ugryzieniu, to przecież norma. Ale pominęła to milczeniem.

- Poczekaj, bo czegoś tutaj nie rozumiem - powiedziała. - Sekretarka Marion podżyrowała pożyczkę, którą wziął na pokrycie firmowych długów, tak?

- Dokładnie.

- A więc wiedziała o oszustwie.

- Na to wygląda.

- Zaprawdę niewiarygodne.

Dziewięć miesięcy temu, czyli rok po tym, gdy zdecydowali się na separację, Steven, bez wiedzy Claire, zaciągnął pożyczkę na ponad pół miliona dolarów - Amy nie pamiętała dokładnej sumy. Połowa pożyczki miała pokryć kwotę, którą Steven musiał wypłacić byłemu klientowi na podstawie ugody pozasądowej. Reszta poszła na firmę.

Steven został oskarżony o malwersacje finansowe pieniędzmi jednego z klientów. Nie pierwszy raz był podejrzany o podobne machlojki, ale dopiero teraz firma dobrała mu się do tyłka.

Zabezpieczeniem pożyczki miał być ich dom w Greenwich. Podrobił więc podpisy Claire na dokumentach.

Wartość ich domu wynosiła dokładnie pół miliona. Plus hipoteka.

Claire ledwo wiązała koniec z końcem, szczegól-

nie że pomoc finansowa otrzymywana od Stevena była nieregularna.

Potem wyrzucili go z firmy, odebrali udziały. Nikt nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło, i nikt nie chciał o tym mówić.

I wtedy bank zażądał natychmiastowego zwrotu pożyczki.

Najpierw przestały wpływać przelewy od Stevena, a potem on sam zniknął.

Zrezygnował z wynajmu mieszkania na Manhattanie i nie zostawił żadnego nowego adresu. Przez sześć miesięcy Claire i Luke nie widzieli się z nim i nie otrzymali od niego nawet jednej wiadomości. Święta i urodziny Lukea minęły, a on nie skontaktował się z nimi ani razu

Claire pracowała jako sekretarka, a jej pensja nie wystarczała nawet na pokrycie miesięcznej raty kredytowej, nie wspominając o jedzeniu i ubraniach.

A teraz przyczepili się do niej jego wierzyciele. Bo nie mogli nigdzie znaleźć Stevena.

Okazało się też, że nie tylko ta pożyczka okazała się oszustwem. Podrobił podpis Claire na rozliczeniu podatkowym za ubiegły rok i nawet nie wiedziała, że byli winni skarbowce ponad ćwierć miliona dolarów.

Urząd też zaczął upominać się o swoje.

Nie obchodziło ich, kto podpisał cholerne papiery. Rozliczali się wspólnie, a teraz ona musiała oddać pieniądze.

Bóg jeden wiedział, jakie nieszczęścia dopiero na nią czekały, aby wyskoczyć jak diabeł z pudełka.

W ciągu kilku miesięcy przebyła drogę od nieźle ustawionej babki do kompletnie splukanej. Przekroczyła limit na karcie kredytowej i tkwiła w długach po same uszy. Pożyczka na pół miliona, hipoteka, rachunki za gaz i prąd, karty kredytowe, raty za samochód - wszystko było już w firmach windykacyjnych.

Przestała nawet odbierać telefony, bo nękali ją wierzyciele. Wydała pieniądze, których nie miała, na urządzenie identyfikujące rozmówcę, aby się przed nimi uchronić.

Amy i David pożyczili jej pieniądze na prawnika, który miał wyśledzić Stevena i wręczyć mu papiery rozwodowe - co wreszcie mu się udało - i wynegocjować umorzenie części długów ze wszystkimi zainteresowanymi stronami, posługując się argumentem o fałszerstwie. Nawet jeśli mu się uda, Claire i tak straci dom, a na pewno jego większą część. Przy dobrych wiatrach, jak mawiał prawnik, uda jej się zostać z trzydziestoma tysiącami w kieszeni.

Ona miała trzydzieści siedem lat. Lukę osiem.

I niepewne trzydzieści tysięcy na odbudowę swojego życia od podstaw. A to niewiele.

Amy wyczuwała jej obawy i strach. Pełzły do niej po stole jak pajak, przyprawiały o dreszcze.

Nie widziały się od jakichś dwóch miesięcy. Ośmiu tygodni. Niby niedługo, ale piętrzące się trudności błyskawicznie pozostawiły na twarzy Claire wyraźne znamiona. Jej duże brązowe oczy napuchły z braku snu, w długich, ciemnych włosach pojawiły się srebrzyste pasma. Claire zawsze była szczupła, nawet po urodzeniu Lukea. Teraz jej ciało sflaczało, zapadło się w sobie. Jak gdyby przy jednym z wydechów zapomniała o powtórnym wciągnięciu powietrza w płuca.

Zapragnęła ją objąć i przytulić, a potem powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że jakoś wyjdzie na prostą, choć wiedziała, że nie nastąpi to prędko, a walka będzie długa i ciężka. Nie było sensu roztaczać nieprawdziwej iluzji.

Zrobiła więc coś innego. Podała jej Melissę.

- Masz. Potrzymaj ją przez chwilę, a ja zrobię kawę.

Melissa uśmiechnęła się i pomachała w powietrzu rączkami, wpatrując się radośnie w Claire i wybałuszając oczka.

Claire również się uśmiechnęła i momentalnie rozpromieniała.

- Melissa! - powiedziała i zaczęła wydawać te wszystkie dźwięki, które wydobywają z siebie ludzie, rozmawiając z malutkim dzieckiem.

Melissa odpowiedziała jej w ten sam sposób. *Nie ma problemów, których nie mogłoby oddalić trzymiesięczne dziecko*, pomyślała Amy.

O ile, rzecz jasna, nie ryczy o czwartej nad ranem.
Przestań narzekać, zganiała się. *Przecież nie jest już tak źle.*

Wróciła z kawą.

- A jak tam Lukę? - zapytała Claire.

- W porządku, David ma na niego oko. Poza tym nie ma tam niczego więcej poza trawą, drzewami i robactwem.

- No ale mieszkanie nad morzem, co nie?

- Oddalonym o pół mili. Myślisz, że wypuści się tak daleko?

- Wątpię, rzadko bywa na wsi.

- Jeśli chcesz, możemy pójść razem na klify, pokażę wam widoki. Naprawdę zapierają dech w piersi.

- O nie, nie chcę, żeby łąził po skałach.

- Kiedy tylko zobaczy klify, nawet nie pomyśli, by po nich skakać.

Zadzwoił telefon. Amy wstała, żeby odebrać.

Melissa znowu ścisnęła palec Claire, gaworząc przy tym wesoło.

Trzymając w ręce słuchawkę, Amy, zupełnie zaskoczona, słuchała, co mówił rozmówca, i nie wiedziała nawet, co ma odpowiedzieć, choć w głowie kłębiły jej się setki myśli.

Tamten ktoś po drugiej stronie linii mówił jeszcze przez dłuższą chwilę.

- Zaczekaj - odezwała się wreszcie.

Kiedy wróciła do stołu, trudno jej było opanować złość, choć, dla dobra Claire, próbowała. *Jak on śmie?* - pomyślała. Wzięła dziecko na ręce.

- Do ciebie - oznajmiła. Claire wyglądała na zmieszaną.

- To on - wyjaśniła przyjaciółce. - To Steven. Mówi, że właśnie do nas jedzie. Zaraz tutaj będzie.

14:43

Dzień był coraz gorętszy i nieco zbyt wilgotny jak na tę porę roku.

David stał z Willem Campbellem pod tarasem. Wcześniej odciągnął plandekę, aby Campbell mógł ocenić stan drewna.

Towarzyszył im Luke. Zapytał Davida, czy może pogrzebać w skrzynce z narzędziami, i uzyskał jego zgodę. Większość z nich należała jeszcze do ojca Davida - co oznaczało, że były praktycznie nieużywane - lecz David nie widział nic złego w tym, że dzieciak trochę się pobawi. Ponieważ drzwi warsztatu pozostawił otwarte, mógł mieć na niego oko. Luke wyciągnął ze skrzynki papier ścierny i szufladki z gwoździami i śrubkami, aby dostać się do spoczywających pod nimi młotków, pilników i śrubokrętów. Wiedział, że Luke podsłuchuje, co mówią, z jakiegoś powodu

zainteresowany ich dyskusją, choć wątpił, czy chłopak cokolwiek z niej rozumie.

Stali obok sterty długich na dwanaście stóp, zielonkawych desek z sosny smołowej, które miały posłużyć za dolną warstwę, zabezpieczającą przed szkodnikami i wilgocią.

Will Campbell był szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki, z twarzą tak mocno opaloną i poznaczoną zmarszczkami, że Davidowi wydawało się, iż ma stale ponurą minę.

Przydeptał rzuconego na ziemię pall maila i przesunął delikatnie dłonią po desce, której się przyglądał.

- Całkiem dobre - powiedział.

Takie słowa to u Campbella nie lada pochwała. David nie znał się na deskach nic a nic, więc był tym bardziej zadowolony.

- Musimy jednak szybko się z tym uwinąć - dodał Campbell. - Poleżą dzień na słońcu i zwiną się jak słomki w ognisku. A tak to dadzą radę. Zobaczmy te drugie...

Podszedł do znacznie większej sterty desek, wysokiej na jakieś cztery i pół stopy, a szerokiej na cztery - świerk i drzewo balsamowe o różnej długości, od ośmiu do dwudziestu stóp. Posłużą za szkielet konstrukcji, wsparcie dla desek, z których zbudują pierwsze piętro.

-... te też są *niezłe* - powiedział.

- Niezłe? - uśmiechnął się David.

Nigdy nie słyszał, żeby Campbell użył takiego słowa.

- Porządne, miejscowe dechy prosto z Wielkich Lasów. Praktycznie żadnych odkształceń. Dobre i gładkie.

- Co to są Wielkie Lasy? - zapytał Luke.

Stał w drzwiach do warsztatu, trzymając w ręce młotek, który był dla niego zbyt ciężki, i wbijał nieporadnie niewidzialne gwoździe.

- Można powiedzieć, synu, że właśnie w nich stoisz - odpowiedział Campbell. - Co prawda tutaj mamy jedynie niewielki kawałeczek Wielkich Lasów, ale ciągną się od Bangor na północ. To stare drzewa, obszary wyrębowe. Czerwone świerki, czarne świerki, białe świerki i cedry. Rzeki, jeziora, strumienie. Pełno tam pstrągów, a można też dojrzeć niedźwiedzia czy łosia, jeśli się dobrze przypatrzysz.

- Naprawdę?

- Czasem tak.

- Chciałbym zobaczyć niedźwiedzia! - Luke zamachnął się młotkiem, jakby chciał nim rozbić zwierzęciu głowę.

Campbell wybuchnął śmiechem.

- Niedźwiedzia w lesie? Oj, nie chciałbyś.

- A właśnie, że chciałbym.

- Niedźwiedzie potrafią zachrzaniać na krótkich dystansach tak szybko, jak samochody, a przyśpie-

szają nawet jeszcze bardziej. Mówisz, synu, że wygrałbyś wyścig z autem?

Lukę zasmucił się i pograżył w myślach.

- No to może chciałbym zobaczyć niedźwiedzia, jakbym stał daleko. Tak przez lornetkę.

- Ano - odparł Campbell. - To jest myśl. Czemu nie?

- Spójrz na pierwszą półkę za sobą - powiedział David.

Lukę wszedł z powrotem do warsztatu. David wiedział, że da radę dosięgnąć do najniższej półki. Był całkiem wysoki jak na swój wiek i odziedziczył po matce długie, szczupłe ręce. Odwrócił się i zobaczył lornetkę. Sięgnął po nią i zreflektował się, że powinien zapytać.

- Mogę? - powiedział.

- Pewnie, że możesz - odparł David. Lornetka również należała do jego ojca i choć była

już stara oraz niezbyt mocna, działała bez zarzutu.

Lukę zarzucił sobie pasek od lornetki na szyję, odłożył hałaśliwie młotek z powrotem do skrzynki i spojrzał przez soczewki.

- Wiesz, jak ustawić ostrość? - zapytał David. Lukę pokręcił głową. David podszedł do niego.

- Widzisz, masz tutaj dwa różne obrazy. Teraz ze-gnij lornetkę do siebie albo rozegnij, aż zleją się w jeden - powiedział. - Teraz pokręć pokrętłem, aż obraz stanie się ostry i przejrzysty.

Lukę zrobił wszystko zgodnie z instrukcjami i skierował lornetkę w stronę Campbella.

- Ej - uśmiechnął się.

- Działa, co? -Aha!

- Dobrze.

Odwrócił się w stronę pól i wyregulował ostrość.

- *Radykalnie!*

Oho, znowu Żółwie Ninja, pomyślał David. Zastanawiał się, który z nich był ulubieńcem Luke'a, Michelangelo czy Donatello. Osobiście wołał Leonarda, choć żółw to żółw, każdy miał taką samą moc. W przeciwieństwie do tych, co posiadli na przykład Moc Posepnego Czerepu.

- Podoba ci się?

- Pewnie!

- Możesz ją sobie pożyczyć na czas pobytu.

- Czas pobytu?

- Czyli na tak długo, jak zostanieie u nas.

- A potem będę musiał ją oddać?

- Zobaczymy.

Lukę popatrzył na niego z nadzieją i David przypomniał sobie, że dzieci w tym wieku bardzo mocno przywiązują się do rzeczy.

- Pójdę się rozejrzeć, dobra?

- Jasne, leć.

Pobiegł w kierunku dębów, a potem na pola. Zatrzymał się, odwrócił, ustawił ostrość i spojrzał

w okna domu. Campbell zapalił papierosa i przez chwilę obserwował chłopca.

- Wydaje się fajnym dzieciakiem - powiedział Campbell.

- Bo nim jest - odparł David.

- Nie jestem jednym z tych, którym małolaty przeszkadzają - ciągnął Campbell - więc jeśli będzie chciał pokreć się przy mnie, kiedy będę pracował, nie widzę problemu. Zresztą to dobrze, jak chłopak czuje się potrzebny. Szczególnie kiedy ma problemy.

- Problemy?

David nie powiedział Campbellowi ani słowa o Luke'u, a tym bardziej o Claire i Stevenie. Mówił jedynie, że chłopiec był jego chrześniakiem i że zostaną tutaj z Claire przez jakiś czas.

- Sam wychowałem dwóch synów i córkę. No i zbudowałem wiele domów, a wtedy często widzi się różne rzeczy, czasem i takie, których nie chciałoby się zobaczyć. Pewnie przez stres, bo w grę wchodzi większe pieniądze. Dom to spora inwestycja, trzeba podjąć wiele decyzji, które jedynie wydają się mało znaczące, ale w rzeczywistości są kluczowe. Nie mówię, że widziałem już wszystko, ale raz na moich oczach całkiem porządny facet skopał swojego psa tylko dlatego, że zamówione przez niego okna nie przyszły w terminie. Dzieciakom też się dostaje. Naprawdę.

David nigdy wcześniej nie słyszał tak długiej wypowiedzi Campbella na jakikolwiek temat.

Campbell wyciągnął z paczki pall maila i pokazał palcem na taras.

- Połączymy to na pióro i wpust, damy jodłę - powiedział.
- Wszystko będzie pięknie. Zobacz pan.

Lukę dotarł do skraju polany, przyłożył lornetkę do oczu i spojrzał na las. Nagle wydał mu się niezwykle gęsty.

Zastanawiał się, czy bezpiecznie jest wejść w las, skoro mogły tam krążyć niedźwiedzie. Był ciekaw, czy potrafią wspinać się po drzewach, czy ma ich szukać jedynie na ziemi.

Podjął decyzję - wejdzie. Był odkrywcą, traperem wypatrującym Indian i niedźwiedzi, a więc wejdzie.

Nie zaszedł jednak daleko.

Las był wilgotny, ale spodobała mu się ta rześ-kość, chłodny dotyk na jego twarzy i nagich ramionach. Podobał mu się zapach. Ucieszył się, że nie miał na sobie szortów, bo miejscami krzaki były na tyle gęste, że musiał się przez nie przedzierać. Pamiętał, że ma się trzymać z daleka od krzewów dzikiej róży i zrećźnie je wymijał. Czasem, gdy rośliny nie tworzyły zbyt gęstej ściany, rzucał się do przodu biegiem, jakby gonił go szybki jak samochód niedźwiedź. Zatrzymywał się dopiero przy jakiejś porośniętej drzewami polance i nasłuchiwał, jak miękkie, brązowe igły trzaskają pod podeszwami jego reeboków.

Teraz znalazł się właśnie w jednym z takich miejsc.

Stał na niewielkim wzgórzu pośród rzucających przyjemny cień sosen.

Popatrzył przez lornetkę. Omiótł okolicę wzrokiem tak dokładnie, jak to możliwe, wypatrując skradających się wśród drzew Indian.

Miał z tego niezły *ubaw*.

Ale też i *bał się*.

Po części dlatego, że ta zabawa była straszna, bo Indianie i niedźwiedzie byli z natury straszni, no i chodziło też o las, dzikie miejsce; miejsce, w którym nigdy wcześniej nie był - a więc stał się w pewnym sensie odkrywcą. To akurat prawda.

Usłyszał ruch w krzakach po lewej stronie, jakiś chrzęst, ale zanim się odwrócił i dokładnie się przyjrzał, coś, cokolwiek tam było, zniknęło.

Nad jego głową latały ptaki; słyszał, jak się nawołują. Postanowił, że poszuka ich gniazda. W końcu był odkrywcą i w dziczy dopadł go głód, potrzebował więc ptasich jaj, aby przetrwać.

Umierając z głodu, mozolnie pomaszerował na szczyt pagórka.

Wycieńczony, spojrział przez lornetkę i omiótł wzrokiem korony drzew.

Od razu zobaczył platformę.

Była wciśnięta pomiędzy gałęzie dębu rosnącego na wzgórzu obok, nieco wyższym od tego, na którym

znajdował się teraz. Stamtąd będzie mógł zobaczyć dosłownie wszystko.

Natychmiast zapomniał o głodzie.

Zbiegł z pagórka. Zwolnił dopiero, kiedy ziemia pod jego stopami zrobiła się grząska i śliska. Wyminął krzaki dzikiej róży. Zbocze wzgórza było kamieniste i niezbyt strome, więc z łatwością znalazł oparcie dla stóp.

No i wdrapał się wreszcie na samą górę.

Domek na drzewie był stary - Luke nie potrafił ocenić jak bardzo, ale drewno wyblakło i wytarło się jak deski na ganku Davida. Zastanawiał się, czy platforma była stabilna, w końcu zbudowano ją dość wysoko. Może nawet była pięć razy wyższa niż on sam.

Straszne.

Nie chciałby stamtąd spaść.

Przybite do pnia, służące za schodki deseczki wyglądają jednak w porządku. Były dość grube, a na każdą z nich przypadały aż dwa duże gwoździe. Z tego, co widział, żadna nie była nawet pęknięta.

Zdecydował, że zacznie wchodzić na górę i zobaczy, co się będzie działo.

Drzewo wyrosło na zboczu i lekko odchyłało się w bok, więc wspinaczka nie była trudna. Nie patrzył w dół, tylko w górę, aby upewnić się, że każdy kolejny stopień jest nieuszkodzony. Zauważył, że jedna z deseczek jest pęknięta przy gwoździu, złapał ją więc

i pociągnął, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie odpadnie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wchodził wyżej.

Aż doszedł na samą górę.

Platformę otaczała drewniana barierka wsparta na czterech drewnianych słupkach, mniej więcej na wysokości jego bioder. Chwycił jeden ze słupków i potrząsnął. Słupek lekko się zachwiał, ale wyglądało na to, że i tak trzymał się dość mocno.

Spojrzał, czy platforma nie jest nigdzie popękana, lecz sporą jej część przykryły liście i nie widział całości, ale to, co zdążył zobaczyć, zachęciło go do wejścia.

Podciągnął się i stanął w domku na drzewie, mrużąc oczy w słońcu.

Czuł się, jakby stanął na szczycie świata.

Widział stąd całą drogę, którą niedawno przebył z domu Davida. Nieco zaskoczyło go, że przeszedł tak znaczną odległość i dotarł aż tak daleko. Przyłożył do oczu lornetkę, żeby sprawdzić, czy uda mu się wypatrzeć stąd Davida albo pana Campbella, ale widok zasłaniały mu drzewa.

Spojrzał w dół i zdziwił się po raz drugi.

Stał naprawdę wysoko.

Z jakiegoś powodu rozglądanie się wokół nie było tak straszne, jak patrzenie w dół, więc poszedł, mierząc każdy krok, by zerknąć na widoki po drugiej stronie platformy. Deski wytrzymały. Wyda-

wało mu się, że spomiędzy drzew spogląda na niego niebo.

Można zobaczyć stąd morze.

I kiedy o tym pomyślał, od razu poczuł słonawy zapach wody i wodorostów, który przyniósł ze sobą wiatr. Skojarzył mu się z kocim oddechem - niby przyjemnym, ale zalatującym zgnilizną.

Przypomniał sobie o dniu, kiedy ojciec zabrał go do Sandwich. Większość czasu spędzili w barze z jego kolegą. Interesy, powtarzał, choć nie brzmiało to jak rozmowa o interesach. Później tata puścił go samego nad kamienisty brzeg oceanu, gdzie mógł patrzeć na chodzące w wodzie kraby. Może wtedy ojciec załatwiał w barze interesy, trudno mu było stwierdzić. Wypatrzył kilka krabów i obserwowanie ich sprawiło mu przyjemność, więc kiedy ojciec przyszedł go zabrać, nie chciał iść.

Rozpłakał się, a tata po prostu sobie poszedł.

Był ciekaw, jak daleko stąd jest ocean, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Samo wspomnienie taty wystarczyło, aby zezłościł się i zasmucił. Znał dobrze to dziwne uczucie osamotnienia, kiedy miał ochotę coś kopnąć i rozwalić. Jakby nie było wokół nikogo więcej, ni żywego ducha, tylko on. Taki nastrój dopadał go niezależnie od tego, gdzie był, czy w domku na drzewie, faktycznie sam, czy siedząc w szkolnej ławce obok kolegów i nauczyciela. Sądził, że to uczucie nie jest

fair, bo wiedział, że tak *naprawdę* nie jest sam. Zdawał sobie sprawę, że to głupie, ponieważ zawsze była przy nim jego mama, miał też Eda i Tommy'ego, przyjaciół, ale i tak towarzyszyło mu to durne uczucie wyobcowania i nadal miał ochotę kogoś walnąć.

Nie odważył się jednak na to, kopnął jedynie kilka listków, i choć wiedział, że na niewiele się to zda, to i tak to zrobił.

I coś potoczyło się deskach.

Coś białego.

Kucnął i zaczął przetrząsać liście. *Kości!*

Nie potrafił rozpoznać jakie, ale wiedział na pewno, że to gnaty. Większość z nich była niewielkich rozmiarów, wyglądały jak kostki plastikowego modelu tyranozaura, który stał na jego biurku w domu. Były trochę brudne od leżenia pod liśćmi i oblazły je małe czerwone mrówki.

Odgarnął insekty, zebrał kości i włożył je sobie do kieszeni.

Zapyta Davida, co to za gnaty. David będzie wiedział. A jak nie on, to pan Campbell. Super!

Co za świetne miejsce! *Jego* miejsce. Jego *sekretnie* miejsce.

Złapał za jeden ze słupków i zaczął schodzić w dół.

Ledwie opuścił się na drugi szczebelek, kiedy coś zatrzęsło gałęziami nad nim.

Poczuł drzenie, jakby to drzewo się wzdrygnęło. Zamarł i spojrział w górę.

Jakieś dziesięć stóp ponad platformą kołysała się jedna z gałęzi, lecz nie mógł niczego dojrzeć przez liście. Ktoś tam był.

Ale może już sobie poszedł.

Pewnie wiewiórka.

A może i nie.

Ziarno strachu zostało jednak zasiane, poczuł, jak lęk podszczypuje go od stóp do głów. I uznał, że tym samym domek stał się jeszcze atrakcyjniejszy, bo miał w sobie coś przerażającego.

Co za miejsce!

Pośpiesznie zszedł po prowizorycznej drabinie.

15:25

- Nic nie mogę zrobić - powiedziała Claire - skoro już jest w drodze.

Było dość wcześnie, ale wódka z tonikiem pomagała nawet o takiej porze. Amy również naląła sobie drinka, bowiem Melissa leżała już w łóżku.

- Gdzie dokładnie?

- Nie wiem gdzie, nie powiedział. Rzucił tylko, że chce się dzisiaj z nami zobaczyć i porozmawiać.

Jeżu, o niczym innym nie marzę, tylko o pogawędce ze Stevenem. Może przystałabym na taką propozycję dwa miesiące temu, chociażby dla dobra Lukea, ale teraz...

Usłyszała, jak pikap Campbella wyjeżdża z podjazdu. Poczła się przez to dziwnie wyobcowana, opuszczona, choć nawet nie знаła tego mężczyzny, rozmawiała z nim jedynie jakieś dziesięć minut w kuchni. Ale był on jedną z oznak normalności, rutyną w spokojnym życiu Davida i Amy - jeszcze jedną osobą stojącą po ich stronie, a dokładniej poje/ stronie. To *wariactwo*, pomyślała, lecz i tak wolałaby, żeby nie odjeżdżał.

- Nie ogarniam tego - powiedziała Amy. - On nie chce rozwodu?

- Nie mam pojęcia. Powiedział, że chce o tym pogadać. Jest wkurzony, mówił tym swoim głosem, takim sztucznie opanowanym, cedził słowa. Przeważnie oznacza to, że ma do załatwienia coś, na co nie ma ochoty, ale wie, że musi się za to wziąć, i ma zamiar to zrobić. No i chyba był podpity.

- Dobrze. Może wpierdzieli się na drzewo. Claire sięgnęła po swój kieliszek. Cudem opanowała drżenie dłoni.

- Nie chcę, żeby Lukę go widział - powiedziała. - Złał święta, złał jego *urodziny*.

- A myślisz, że Lukę chce się z nim spotkać?

- Nie wiem, ale pewnie tak. Będzie po prostu pod-

ekscytowany, że widzi ojca, i zapomni o minionych sześciu miesiącach. W końcu to jego tata.

Że też mając takiego ojca, Lukę wyrósł na porządnego dzieciaka... *Cóż za genetyczny psikus!* - pomyślała.

Pewnie, on też miał swoje problemy. Chłopak miewał napady złości, buntował się przeciwko matce. Winić można za to nie tylko jego wiek, ale też zmieszanie i frustrację z powodu odejścia Stevena, zostali bowiem tylko we dwójkę. No i dochodził do tego strach; jej strach. A także gniew i podenerwowanie, które Lukę kumulował w sobie i trawił.

A jednak było w nim mnóstwo życzliwości, troski i serdeczności. Widać to było po tym, jak patrzył na Melisę, jak traktował inne dzieci. Nie dokuczał nikomu i nie lubił tych, którzy to robili, a przecież był na tyle wysoki i silny, że jeśli by chciał, z łatwością mógłby to wykorzystać. Ba, był nawet miły dla dziewczyn ze swojej klasy.

W jego wieku to nie lada osiągnięcie.

- Wiesz, że on nadal trzyma u siebie w pokoju zapakowany prezent dla Stevena? Takiego niebieskiego ceramicznego ptaka, którego zrobił w szkole. Koszmar, musiałabym ci *powiedzieć*, że to ptak, bo sama nigdy byś się tego nie domyśliła. Ale zrobił go dla Stevena.

Wyglądała, jakby miała się za moment rozplakać.

Tylko nie rozbecz się tutaj, pomyślała.

Amy przyszła z pomocą. Wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Claire tym samym delikatnym gestem, dzięki któremu udawało jej się zatrzymać łzy przyjaciółki setki razy przez te wszystkie lata. Czasami uścisk oznaczał także pozwolenie na odrobinę smutku.

Otworzyły się tylne drzwi i Claire poderwała się, sądząc, że to może być Luke. Nie była jeszcze gotowa na to, żeby powiedzieć mu o Stevenie. *Nienawidzę tego*, pomyślała. *Minęło pół roku, a ja mam tak nagle pozwolić im się zobaczyć¹?*

W progu pojawił się jednak David. Spojrzał na nie i jego uśmiech zniknął. Zatrzymał się w drzwiach.

- Co tam? - powiedział.

- *Steven* tutaj jedzie - powiedziała Amy.

- Że co?

- Dzwonił jakieś pół godziny temu.

David zamknął za sobą drzwi, podszedł do ich retro lodówki, wyciągnął z niej piwo i otworzył je. Bardzo ostrożnie zamknął lodówkę, zresztą wszystkie te czynności wykonał z nadmierną uwagą, jakby drzwi, lodówka i butelka z piwem były zrobione z jakiegoś niezwykle kruchego materiału i mogły pokruszyć się od samego dotyku.

- A co z zakazem zbliżania się? - zapytał.

- Wygląda na to, że nic sobie z niego nie robi - odparła Amy.

- Tak? No to zobaczymy.

Podszedł do telefonu i zaczął wykręcać numer.

- Do kogo dzwonicz?

- Na policję, do Vica Manettiego.

- Czekał, czekał chwilę - powiedziała Claire. David spojrzał na nią wyczekująco. *To porządny*

człowiek, pomyślała Claire, *i troszczy się o mnie, ale nie jestem pewna, czy to dobry pomysł*. Odłożył słuchawkę.

- To co?

- Luke - powiedziała. - Myślę o Luke'u.

Podszedł do stołu. Czują jego wściekłość i oburzenie, które kotłowały się w nim, choć trzymał je w ryzach.

- Co z nim, Claire? Luke widział, jak pewnej nocy pijany Steven przycisnął cię do ściany w kuchni i walił po twarzy. Czy to właśnie nie dlatego dostał sądowy zakaz zbliżania się?

-Tak.

- No więc o co chodzi?

- Steven jest ojcem Luke'a i nie widzieli się od sześciu miesięcy.

- I co w związku z tym?

- Luke za nim tęskni. Już co prawda o tym nawet nie wspomina, ale to jego forma obrony. Tęskni za nim. Chciałabym, żeby było inaczej, ale nic na to nie poradzę. No i nie jestem pewna, czy mam prawo...

- Oczywiście, że masz prawo. Masz *całkowite* prawo do...
- Steven był pijany tamtej nocy.
- Teraz też może być - powiedziała Amy. Claire poczuła nagłe zmęczenie. Nie wiedziała,

jak zaprzeczyć temu wszystkiemu. Głos po drugiej stronie linii brzmiał jak pijacki bełkot - Stevenowi raz plątał się język, a raz wydawał się dobierać słowa z przesadną uwagą. Pamiętała tamtą noc w kuchni, kiedy wrzeszczała do Luke'a, żeby wrócił do swojego pokoju i kładł się do łóżka. Chłopak uciekł do siebie w milczeniu, zbyt przerażony, aby cokolwiek powiedzieć. Pamiętała, jak sama obecność Stevena przytłoczyła ją niczym widmo krwawej śmierci albo czegoś jeszcze gorszego. Czuła się, jakby ją zgwałcił, kiedy wymierzał jej ciosy w twarz, a potem w żebra, brzuch i piersi, wręcz *celował* w piersi, jakby miały dla niego jakieś specjalne, chore znaczenie. I chyba miały, wiedziała o tym, bo przez ostatnie miesiące nie chciał się z nią kochać, wołał pić. Tamtej nocy zapytała go o to, nie wiedząc, że jest pijany, i odpowiadał jej, za każdym razem ponownie uderzając ją w piersi, mówił, że nienawidzi jej za kobiecość, dostaje mdłości, myśląc o jej obrzydliwym ciele.

- Ja zadzwonię - powiedziała.

- Pozwól mi to zrobić - odparł łagodnie David i położył jej rękę na ramieniu. - Znam tych ludzi osobiście.

Z powrotem podszedł do telefonu i wykręcił numer. Claire spojrzała na Amy, a ta skinęła głową, mówiąc, że to dobry ruch, jedyny, jaki można w tej chwili zrobić. I znowu ścisnęła jej dłoń.

- Halo? Gloria? Czy jest Vic? Dzwoni David Halbard z River Road.

Wydawało się, że nagle powietrze znieruchomiało, a dom zamilkł. Nareszcie to się stało, dzwoniли na policję, by utrzymać Stevena z daleka.

Przypomniała sobie wczorajszy sen. Steven był w nim jakimś wampirem albo wężem, albo psem. Leżał na niej, a ona nie mogła się ruszyć z łóżka. Wbił jej zęby w szyję. Tak, był psem i zaczął szarpać łbem, a w pysku trzymał kawał jej ciała.

Podobne sny o psie towarzyszyły jej od dzieciństwa, budziła się wtedy w mokrej pościeli.

Po raz pierwszy psem okazał się Steven.

- Aha. Okej. No my też tutaj mamy niefajną sytuację. Chodzi o naszych gości, przyjaciółkę z ośmioletnim synem. Znamy ją od lat i rzecz w tym, że aktualnie przechodzi przez trudną sprawę rozwodową. Sąd wydał zakaz zbliżania się. Tak, chodziło o przemoc fizyczną. Ma się z nimi nie widywać pod żadnym pozorem. Żadnym. A teraz zadzwonił i powiedział, że jedzie do nas z Connecticut i będzie tutaj pod wieczór. Nie wiemy, kiedy dokładnie, i nie mamy pojęcia, co zrobić, gdy już tutaj zajedzie.

David wyglądał na zaskoczonego.

- Co masz na myśli, pytając, czy mam broń? Gloria, żartujesz?

Słuchał, z początku uśmiechając się półgębkiem. Patrzyły na niego. Odezwał się głosem cichszym niż poprzednio.

- Możesz mi powiedzieć czemu? - zapytał. - Rozumiem. No dobrze, spróbujemy, ale nie jestem pewien, czy to dobre rozwiązanie. Czy jeśli coś się stanie, możemy liczyć, że... Okej... Dzięki, Gloria. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę, podszedł do stołu, usiadł i napił się piwa.

- To było naprawdę *dziwne* - powiedział.

- Co takiego? - zapytała Amy.

- Gloria powiedziała, że Vic i reszta biura szeryfa prowadzi sprawę jakiegoś morderstwa, zaangażowana jest też policja stanowa. Na miejscu został jedynie niezbędny personel. Powiedziałem jej, w czym rzecz, i odparła, że właściwie to nie mogą nic zrobić, dopóki Steven się u nas nie pojawi, czego się w sumie spodziewałem, ale kiedy zapuka i będzie się domagał spotkania z Claire, mamy do nich przedzwonić, a oni zrobią wszystko, żeby kogoś tutaj wysłać. Tak powiedziała. Mamy nie wpuszczać go do domu, a jeśli się uda, namówić, żeby zawrócił i pojechał z powrotem do siebie.

- A o co chodziło z tą *bronią*?

- To właśnie było dziwne. Gloria czasem jest zwa-

riowana i bóg jeden wie, czy odgrywała po prostu jakiś melodramat, czy co, ale zasugerowała, żebym pogroził mu pistoletem. I każdemu, kto będzie się tutaj kręcił wieczorem. Wyobrażacie sobie, jak stoję na ganku i mówię Stevenowi, że ma się stąd wynosić, mierząc do niego ze strzelby jak Elvis w *Płonącej gwiazdzie*? Kto tutaj ma przy sobie broń? Zresztą nawet gdybym miał...

Zatrzasnęły się drzwi. Claire aż podskoczyła.

Luke. Uradowany.

- Hej! Patrzcie! Patrzcie, co znalazłem! Wyciągnął przed siebie rękę i podszedł do matki. Gdyby to był inny dzień, pewnie zganiałaby go za przerwanie im rozmowy, ale tym razem *chciała*, żeby im przerwano, nie pasowała jej ta pogawędka o morderstwach i pistoletach, szczególnie że zbliżał się Steven i przed chwilą rozmawiali z policją. Uśmiechnęła się więc do syna, szeroko i promieniście, i spojrzała na leżące na jego dłoni małe, białe kosteczki, ułożone jakimś cudem niemalże tak jak jego własne, odzwierciedlające kości jego palców i ręki, jakby chciały się zagłębić, wgryźć się w ciało. W *niego*. Wykorzystać jego kruchość.

Jego śmiertelność.

CZEŚĆ TRZECIA

WIECZÓR

17:35

Steven Carey zobaczył ją na moście, zaraz przy wjeździe na autostradę od strony Kennebunk. Obok jej stóp leżał plecak.

Dzisiaj rzadko widywało się samotną dziewczynę łapiącą okazję. Jechał ledwie sześćdziesiąt pięć na godzinę i nadal miał niezły refleks, zdążył więc wyhamować i zjechać na pobocze.

W lusterku wstecznym widział, jak autostopowiczka podnosi plecak, zarzuca go sobie na ramię i biegnie w jego kierunku. Niesiony ciężar sprawił, że truchtała przechylona, jakby miała stracić równowagę. Wyglądała trochę jak kot, którego potrafił pewnej nocy po zabawie w średniej szkole. Jechał wtedy starym pontiakiem swojego ojca. Kiedy zobaczył zwierzaka, zatrzymał się i gapił na niego,

obserwując, jak idzie niemrawo w świetle reflektorów. Kotu coś się stało, w głowie miał dziurę, przez którą wyciekał płyn mózgowy. Próbował uciekać i biegł pod kątem.

Wcisnął przycisk umieszczony na panelu drzwiowym swojego mercedesa, otworzył tylne drzwi, a za pomocą innego guzika opuścił okno z przodu, po stronie pasażera. Dziewczyna zajrzała do środka i spojrzała na niego.

Widać, że była czujna i ostrożna, lecz zaimponował jej morski garnitur od Paula Stuarta i ciemnoniebieski mercedes.

Podobno odcienie niebieskiego wzbudzą zaufanie ławy przysięgłych.

- Cześć - powiedział i uśmiechnął się. - Rzuć plecak do tyłu i wskakuj.

Dziewczyna zrobiła tak, jak jej kazał. Obserwował ją we wstecznym lusterku. Nie była jakoś wyjątkowo ładna - miała zbyt ostry nos i zaokrągloną twarz. Na oko jakieś osiemnaście lat i około dziesięciu kilogramów nadwagi. Cienkie brązowe włosy. Zwyczajne jeansy i sprana, zielona koszulka z napisem „Gdzie, do cholery, jest Montserrat?” z przodu i mapą Karaibów z tyłu.

Była silna, z łatwością radziła sobie z ciężkim plecakiem. No i dobrze wychowana - zamknęła drzwi bardzo ostrożnie. Nosła stanik.

W dzisiejszych czasach wszystkie nosiły.

Wskoczyła na siedzenie pasażera i ruszyli. Steven sięgnął po winstona.

- Dokąd pan jedzie? - zapytała.

Miała lekko zachrypnięty głos, nie lubił takich.

- Aż do samego wybrzeża - odparł i zaśmiał się. - Zapomniane przez Boga i wszystkich zadupie zwane Dead River. A ty?

- Portland. Kiwnął głową.

- Zjazd jest niedaleko.

- Wiem - powiedziała i wreszcie też się uśmiechnęła. - Dzięki. Fajne auto.

- Dziękuję.

Ruch nie był duży, prowadził z łatwością, pewnie, nie przekraczając sześćdziesiątki piątki.

Chciał odpalić papierosa, ale zapalniczka samochodowa nie zadziałała. Wyciągnął ją z uchwytu i zobaczył, że nawet nie była ciepła. Zepsute cholerstwo. W pierwszym odruchu chciał wywalić zapalniczkę przez okno. Wyciągnął z kieszeni marynarki pudełko zapalek i zapalił winstona.

Zapadał zmrok i choć nie było jeszcze potrzeby, włączył reflektory.

- Co jest w Portland? - zapytał ją. Zaczęła obgryzać paznokiec.

- Mój facet tam studiuje. A więc miała chłopaka. A to znaczy, że się rucha.

Jak zdejmuję stanik, facet na pewno ssie jej cycki.

- Też jesteś studentką? - zapytał.

- Wzięłam dziekanę. Chciałam popracować przez rok.

Wracam na uczelnię we wrześniu.

- Pewnie. Będiesz jeszcze miała mnóstwo czasu na pracę

- powiedział.

Przytaknęła:

- Pewnie i tak.

Mnóstwo czasu, pomyślał. *Wiem coś o tym*. Akademia wojskowa, college, szkoła prawnicza, praktyka, staż...

Dziewczyna znowu zaczęła gryźć palce. Marion tak robiła. Bardzo zły nawyk.

Każdego ranka łapał ją na tym. Siadywała na łóżku z nogami zawiniętymi w prześcieradło, pochylona nad notowaniami giełdowymi w porannej gazecie, jej chude cycki zwisały nad wałeczkami tłuszczu, w które zwijał się jej brzuch, a czarne włosy zasłaniały twarz. Żuła wtedy paznokieć swojego palca wskazującego lewej dłoni i kiedy już go odgryzła, wrzucała do popielniczki stojącej obok paczki Virginia Slim Menthol Light.

Zobaczył, jak to robi, kiedy wyszedł spod prysznic, i już wtedy zastanawiał się nad tym, co z nią zrobić. Właściwie to zaczął nad tym dumać już poprzedniego wieczora, kiedy powiedziała mu, że firma nie będzie mogła już z nim dłużej współpracować, jedynie

do końca miesiąca, nieważne czy oficjalnie, czy nieoficjalnie, a plan ponownego zatrudnienia spalił na panewce raz na zawsze, ponieważ Linfield widział go w zeszłym tygodniu w biurze i zapytał, jakim cudem nadal pracuje tutaj gość, który stracił tyle jego kasy, i powiedział, że nie chce go tutaj widzieć i że nie zapomni mu tego ani nie da się udobruchać. W końcu pan Chujogłowy B. Linfield był ich trzecim najważniejszym klientem.

Zastanawiał się więc, co z nią zrobić - z kimś, kto pragnął jego kutasa, kiedy tylko słońce zaszło, ale nie miał za grosz wierności i honoru. Papieros tlił się w popielniczce, paznokcie czerniał. Czuł jego smród. Odór palonego ciała. Siedziała na łóżku - naga, gruba. Sprawdzala notowania giełdowe w porannej gazecie.

Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy. Następnie napiął i rozluźnił palce.

Dziewczyna zamyśliła się.

- Wydaje mi się, że chyba wiem, gdzie jest Dead River - powiedziała. - Czy to przypadkiem nie w okolicy Lubec? Zaraz przy granicy?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Lubec, ale faktycznie, z tamtego zadupia jest rzut beretem do Kanady. Właściwie to nigdy tam nie byłem. Sprawdziłem tylko na mapie i uznałem, że mam jechać dziewięćdziesiątką piątką do Brunswick, potem ściąć przez autostradę numer jeden, minąć Boothbay Harbor od

północy i już. - Uśmiechnął się do dziewczyny. - Zgadza się?

Przytaknęła.

- Mój starszy kuzyn pracował kiedyś na kutrach rybackich i jeździł tędy każdego lata. Udało mu się odłożyć w ten sposób na szkołę. Stąd wiem. To całkiem ładna okolica. Czemu właściwie pan nie poleciał?

- Czemu nie poleciałem?

- No tak. Chodzi mi o to, że to naprawdę długa droga. Mógł pan lecieć chociaż do Machias, poza tym wydaje mi się, że w okolicach Lubec jest niewielkie lotnisko. Nie pamiętam. - Posłała mu nieśmiały uśmiech. - Zresztą nie wygląda pan na osobę, której nie byłoby stać.

Zaśmiał się i zgasił winstona.

- Problem w tym, że nie lubię latać. Kiedyś wpadliśmy w silne turbulencje nad Kennedym i nieźle się wystraszyłem. Lepiej nie kusić losu, wiesz? Tak przynajmniej myślę.

Lubią, kiedy facet wydaje się delikatny, pomyślał. No i ta historyjka była prawdziwa.

- Kennedym? Jedzie pan aż z Nowego Jorku?

- Dokładnie z Connecticut. Odwiedzałem tam... przyjaciela.

- Rozumiem.

Musiał uważać, podawał jej zbyt wiele informacji. I tak już teraz zapamiętała pewnie aż za

dużo: garnitur, czerwony, jedwabny krawat, mercedesa.

W ogóle nie powinien był jej zabierać, ale potrzebował towarzystwa.

Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Słuchaj, może mogłabyś mi pomóc w jednej sprawie. - Uśmiechnął się rozbijając i pokręcił głową. - Chodzi o to, że kompletnie nie wiem, *gdzie* jadę, i jestem beznadziejny w odszyfrowywaniu znaków nocą. Nie pojechałabyś ze mną? Teraz? Pomogłabyś mi trafić do Dead River, a ja odwiozę cię na lotnisko do Machias albo Lubec, albo gdziekolwiek chcesz, i wsadzę cię w samolot do Portland. Oczywiście jeśli nie boisz się latania. No i płacę za wszystko, i dorzucę pięćdziesiąt, nawet siedemdziesiąt pięć dolarów za fatygę. Za kilka godzin zrobi się ciemno, naprawdę mi pomożesz. Co ty na to?

Dziewczyna patrzyła na niego zdziwiona, wziął ją z zaskoczenia. Cóż, przecież był nieznanym kierowcą, więc dokładnie tego się spodziewał.

-No...

- O której się ciebie spodziewają? Może dasz radę do kogoś zadzwonić i powiedzieć, że będziesz trochę później? Do swojego chłopaka? Zatrzymamy się gdzieś przy telefonie. Oczywiście ja płacę. Naprawdę będę bardzo wdzięczny. Sama mówiłaś, że to ładna okolica.

- No ale jak... To znaczy, Portland jest niecałą godzinę drogi stąd.

- I co w związku z tym?

- Dead River leży jakieś dwieście mil na północ, a może nawet więcej. Zanim tam dotrzemy, będzie dziewiąta, jeśli potem mam złapać samolot do Portland, to będę miała szczęście, jeśli zalecę tam na północ!

Steven wybuchnął śmiechem.

- Pomyśl o tym jak o przygodzie. Spojrzała na niego.

Gapienie się było niegrzeczne, a więc dziewczynie brakowało manier.

Naprawdę nie rozumiał, w czym tkwił problem, w końcu to tylko kilka godzin, przyjemna przejażdżka po wsi. Przecież podwoził ją, jechała w jego samochodzie, więc wisiała mu przysługę, co nie?

- Niech będzie stowa - powiedział. - Przemyśl to. Skrzywiła się, kiedy sięgnął tuż nad jej udami do

schowka na rękawiczki i wyciągnął stamtąd butelkę. Zdziwił się, widząc jej minę.

Co za bojaźliwa mała.

Z uśmiechem zaproponował jej łyk wódki.

- A może postawić ci drinka? - zaproponował. Pokręciła głową.

- No daj spokój. Chyba nie pozwolisz, żebym pił sam, co? Tak w ogóle, to jak masz na imię?

- S-Susan.

- Susan. Ładne imię. Suzie. Suzie Creamcheese. Leniwa Susan. Suzeren. Suzeren to pan feudalny,

wiedziałaś? Ktoś, komu należna jest lojalność. Zobaczmy. Och, Susannah. Słodka Sue. Mówi tak na ciebie? Twój facet? Słodka Sue? Napił się z butelki.

- Chciałabym... Chciałabym wysiąść... - powiedziała. -
Mógłby się pan zatrzymać?

- Wysiąść? -Tak.

- Przecież jedziesz do Portland, tak?

- Tak, ale...

- Chcesz wysiąść? -Tak.

- Czemu?

- Bo pan pije.

- To prawda, piję.

Upił kolejny łyk. *Jebać to*, pomyślał. Albo będzie chciała jechać, albo nie będzie chciała, ale w każdym razie nigdzie nie idzie.

To był bardzo zły dzień i na pewno nie pozwoli, aby stał się jeszcze gorszy przez tę cholerną, pieprzoną dziewczynę, która sprawia mu problemy i pewnie nadal będzie to robić. A na dodatek zapalniczka wysiadła.

Z jednej strony dzień był nieudany, ale z drugiej wręcz przeciwnie.

Sporo czasu minęło od ostatniego razu. Naprawdę sporo.

W każdym razie nie robił tego od czasu Jimmy'ego jakiegoś tam. Na Livingston Avenue.

Bawili się w sadzie, wśród jabłoni, kilku z nich znał ze szkoły. Która to była klasa? Trzecia? Chyba tak. Udawali żołnierzy, małe, zielone jabłka, które spadły z drzewa, służyły im za granaty. Rzucali je w górę i padali na ziemię, w wysoką trawę. Kryli się i czołgali, niczym na froncie. Nikt nie słyszał, jak nadchodzi, i nikt go nie widział. Z początku nikt nie wiedział też, że rzuca kamieniami, a nie zielonymi jabłuszkami, tak jak pozostali. Aż do chwili, kiedy jeden z nich trafił Jimmyego w głowę i chłopak upadł na ziemię, krwawiąc.

Zmarł w śpiączce. Nigdy nie dowiedzieli się, że to on rzucał kamieniami, a on im o tym nie powiedział.

Był niezły w dochowywaniu sekretów, poza tym i tak nie było sensu nikomu o tym mówić, skoro Jimmy wykorkował.

Obecnie nie istniały też powody, dlaczego ktokolwiek miałby dowiedzieć się, że Marion również nie żyje. Padła ofiarą mordercy, który we wczesnych godzinach porannych udusił ją kablem od suszarki, ukradł sprzęt stereo, odtwarzacz CD oraz telewizor i biżuterię, a potem wyrzucił wszystko do kosza na śmieci nieopodal Hartford w Connecticut.

Tym razem też nikt go nie widział.

Dzień wcześniej do mieszkania przyszła sprzątaczką i wyszorowała wszystko bardzo dokładnie, więc nie martwił się zbytnio odciskami palców. Wie-

dział, jak ma postępować, i zawczasu wytarł szmatką wszystko, czego dotknął. Miał niezłą pamięć, jeśli chodzi o szczegóły.

No i trzymali swój romans w tajemnicy.

Marion na to nalegała, chodziło o etykę biurową.

Zrobił to delikatnie, nie w złości, mimo że zasługiwała na śmierć, w końcu tak łatwo go zdradziła. Poza tym *chciał* to zrobić.

Była gruba, miała obwisłe piersi. Chciał to zrobić.

Uznał, że to udany dzień, i faktycznie tak było.

Me zrobił niczego głupiego, był tego pewien. Policja nie zapukała do jego drzwi. Poszedł do pracy jak każdego dnia, a biżuterię, telewizor i całą resztę zapakował do bagażnika, a więc zrobił całkiem sporo jak na jeden ranek, toteż czuł lekkie zdenerwowanie, kiedy prawnik Claire wręczył mu papiery na oczach całego biura.

To przecież zupełnie normalne, niczym niewyróżniające się zachowanie. Rozwodzi się, więc jesteś zdenerwowany.

Nikt nie podejrzewałby go o żadną zbrodnię.

Zastanawiał się, czy już ją znaleźli.

Oczywiście po wszystkim nie omieszkał odbyć stosunku ze zwłokami, aby całe zajście stało się bardziej autentyczne. Szczerze mówiąc, sam czuł się zaskoczony, że tak się podniecił, chyba nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, gdy z nią był. Chciał, aby

wyglądało to na klasyczny skok typu raz-dwa-trzy, czyli *napad, kradzież, gwałt*. Takie coś zdarza się codziennie. Policja zacznie szukać złodziei z ciągotami do przemocy seksualnej i pewnie do takich osobników zawężą krąg podejrzanych.

- I co zdecydowałaś? - zapytał.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie dalszej jazdy ze mną.

Dziewczyna mówiła teraz ciszej, z jeszcze większą chrypą. Podobało mu się to. Znaczyło, że zaczyna nabierać szacunku.

Claire miała głęboki, niemal męski głos.

Jechał zobaczyć się z Claire. Jechał porozmawiać z nią.

- Jadę do żony i syna, jeśli o to chodzi. Jestem żonatym facetem. Zobacz.

Pokazał jej obrączkę.

- Muszę... muszę jechać prosto do Portland. Czekają tam na mnie.

- O której miałaś być?

- Za... za godzinę.

Kłamała. Łapała stopa, więc czas przyjazdu zależał od tego, czy ktoś ją ze sobą weźmie, czy nie. Nie wiedzieliby więc, kiedy się jej spodziewać.

Wypił z butelki kolejny łyk.

- A więc nie chcesz ze mną jechać? Nie chcesz wyświadczyć mi przysługi?

- Naprawdę nie mogę.

- Pewnie, że możesz, ale po prostu *nie chcesz*. No przyznaj się. Dalej. Powiedz, że nie chcesz.

-Ale...

- Powiedz „nie chcę”.

- To znaczy...

Była naprawdę przerażona, srała po gaciach.

- *Powiedz to!*

- Nie chcę! Uśmiechnął się.

- Teraz lepiej, bo mówisz prawdę. Okej. Wsiadaj.

Zmierzchało. Przed nimi, ale w znacznej odległości, jechało jakieś auto, inne widział we wstecznym lusterku, równie daleko. Spojrzał na szybkościomierz. Nadal nie przekraczał sześćdziesiątki piątki.

- No dalej - powiedział. - Wsiadaj.

- Musi pan... musi pan się zatrzymać.

- Nie, nie muszę. Wsiadaj. Wsiadaj. Wypierdalaj.

Mówił spokojnie, z uśmiechem. Napił się jeszcze wódki. Spojrzał na dziewczynę. Płakała, ale to nic, przynajmniej się nie darła.

- Nie mogę...

- Dobra. Wywał więc plecak.

- Słucham?

Nacisnął odpowiedni przycisk na panelu i otworzył tylne okno od strony pasażera.

- Wyrzucić plecak przez okno, wtedy się zatrzymam. Obiecuję.

- Ale czemu? Czemu każe mi pan to zrobić?

- Ot tak sobie. Mam się zatrzymać? Wypieprz plecak.

W pierwszej chwili pomyślał, że jest *aż za bardzo* wystraszona, że tego nie zrobi, że będzie siedziała i wpatrywała się w niego. Musiała jednak przemyśleć swoją sytuację, bo wychyliła się do tyłu i zaczęła podnosić ciężki plecak, i kiedy już udało jej się wypchnąć go do połowy, wyciągnął rękę, złapał dziewczynę za pierś i lekko ścisnął. Zamarła i zamknęła oczy, nadal trzymając plecak. Płakała. Ścisnął ją mocniej.

- Wypchnij go - powiedział cicho. Dziewczyna wypchnęła plecak.

Przez lusterko wsteczne widział, jak odbija się od jezdnii na całkiem sporą wysokość. Wygiął się aluminiowy stelaż. Plecak otworzył się, a na drogę wypadły ubrania, książki i jakieś papiery, które rozwiały pęd powietrza.

Śmiał się, aż wyrzucony za okno plecak stał się małą kropeczką w lusterku. Zwolnił i zatrzymał się.

Wcisnął kolejny przycisk i otworzył dziewczynie drzwi.

Wyglądała na zaskoczoną, nie wiedziała, co ma zrobić. *Czy faktycznie była już wolna? Zastanawiał*

się, czy zachowa na tyle zimnej krwi, żeby zapamiętać jego numery, ale wątpił w to.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu.

- Witaj w Portland - powiedział. - Miłego dnia!

Obok niego śmignęło jakieś auto. Wjechał z powrotem na autostradę.

Nadchodzę, Claire, pomyślał.

Zbliża się dzień zapłaty.

19:50

Przykucnęła i zaczęła ostrzyć nóż zaraz przy wejściu do jaskini, choć na dworze było już ciemno i ponuro. Znajdujący się trzydzieści pięć stóp nad ziemią wyłom w skale porośnięty był mchem torfowcem.

Na zewnątrz darły się mewy, a wysokie fale obmywały głazy.

Ostrzyła nóż za pomocą ukradzionego przed laty kawałka karborundu, który trzymała w etui zawieszonym przy pasie, by był zawsze pod ręką. Z jednej strony był gładki, z drugiej szorstki. Kolistymi, pewnymi ruchami gładziła ostrze, przechylając lekko nóż, kiedy dochodziła do jego czubka, aby miał ostrą krawędź. Potem przejeżdżała całą powierzchnią ostrza po kawałku ostrzałki i odwracała na drugą stronę, wygładzając krawędzie. Robiła to perfekcyjnie, odruchowo.

Myśli Kobiety kierowały się w stronę każdego z osobna, były niczym stadko bystrookich ptaków znających wszystkie zakamarki krajobrazu, zdolne zauważyć najmniejszą zmianę. Obserwowała swoją rodzinę i - pomijając głupstwa, które wyczyniają jej dzieci - nie znalazła w niej skazy.

Spojrzała na męczyznę przerzucającego noże, toporki, siekiery, śrubokręty, młotki, tasaki i inne narzędzia walające się pod tylną ścianą jaskini, obok niewielkiego ogniska, w którym płonęło twarde, mało dymiące się drewno. Męczyzna wiedział, co robi, dokładnie sortując broń i wybierając to, co miało być im potrzebne dzisiejszej nocy.

Na stercie leżały także pistolety i strzelby różnego rodzaju, lecz już dawno skończyła im się amunicja. Mimo wszystko zachowali broń.

Patrzyła, jak w jasnym blasku ognia pod skórą drżą jego napięte mięśnie.

Pierwszy Zabraną był idealnym wyborem.

Od razu zobaczyła jego ducha.

Był silny.

Miał ze sobą kotka. Chłopiec pociągnął za sznurek i wprowadził zwierzę do wody, aż zaczęło się drzeć, kiedy przewróciły go fale. Poluzował wtedy sznurek i pozwolił na chwilę wyjść kotu na brzeg, a potem powtarzał cały proces, aż wreszcie wzrok zwierzaka stał się mętny i nie miał nawet siły miauczeć. Chłopiec się nie śmiał, nie wydawało się, że w ogóle czerpał

jakąkolwiek przyjemność z tego, co robił. Tylko patrzył.

Zapadł wieczór, a on był sam na plaży. Kiedy nadeszła, spojrzał na nią i zobaczyła, że był zdenerwowany, bo został nakryty na czymś, czego nie powinien był robić.

Zaczął mówić. Jak oni wszyscy, wydawał z siebie zbyt wiele słów. Próbował odciągnąć jej uwagę od tego, co robił ze zwierzęciem. Zadawał jej pytania, pytał o imię, gdzie mieszka. Mówił, że jego rodzice mają wielki dom na wzgórzu, wskazał go palcem i powiedział, że nienawidzi matki i ojca, i stwierdził, że kot należy do niego i może z nim zrobić to, co zechce.

Uśmiechnęła się. Podniosła zwierzę, weszła z nim do wody i przytrzymała chwilę pod powierzchnią. Kot nawet nie podrapał jej tak bardzo. To stało się jedenaście lat temu, zaledwie kilka miesięcy po Nocy Pierwszych Łez, a rana w jej boku jeszcze się nie zagoiła pomimo okładów ze skorupki jajek, które sobie aplikowała, oraz diety złożonej z kradzionego, lekko spleśniałego chleba.

Chłopiec był ciekaw, skąd wzięła się rana, i kiedy szli wzdłuż plaży, zasypywał ją pytaniami.

Wiedziała, że będzie zmuszona nauczyć go milczenia, ale to akurat nietrudne. Miała wtedy piętnaście lat, a więc była starsza od niego o cztery. Była też silniejsza, nawet pomimo rany, i wiedziała, że już zawsze tak będzie.

Patrzyła, jak sięga po największą siekierę i opiera ją o ścianę obok siebie, a potem wraca do przerzucania pozostałych rzeczy i wsadza młotek za swój wytarty pas. Zawsze wybierał młotek i siekierę.

Miał obnażony tors i widziała, że jego ciało wykształciło silne mięśnie. Popatrzyła na niego jeszcze chwilę i przypomniała sobie, jak się czuła, dotykając go.

Został ojcem w wieku dwunastu lat. Powiła jego pierwsze dziecko, Dziewczynę, na łożu z wodorostów, na plaży. Była noc, a księżyc świecił tak jasno jak dzisiaj.

Kobieta nadal musiała go wiele nauczyć.

Myśląc o nim, przesunęła ostrzem noża po swoim ciele - od nagich piersi do ud, potem pomiędzy nogami.

Dziewczyna, ich córka, siedziała przy ognisku obok ojca, wygrzebując wszy z włosów dwóch samców, którzy urodzili się rok po niej. Wrzucała wyłuskane wszy do ognia; skwierczały, płonąc w cieniutkiej smużce dymu.

Na szyi Dziewczyny kołysał się zawieszony na sznurku okrągły wisiołek z wypolerowanego kamienia, który połyskiwał w blasku płomieni. Nieco niżej lśnił naszyjnik z kości. W długie, ciemne włosy miała wplecione pióra sów, egret i mew.

Dziewczyna dbała o wygląd bardziej niż pozostali.

Wokół swojej talii nosiła napiętą skórę ściągniętą z piersi. Została zdjęta przed wieloma laty, więc miejscami była już pożółkła i popękana, szczególnie przy lewym sutku, gdzie już się niemal przetarła. Dziewczyna nie miała jeszcze własnych piersi, więc nosiła te z dumą.

Skrzywiła się, wyłuskując kolejne wszy z włosów samców. Ignorowali ją, koncentrując się na tłustych kościach, które zostały z wczorajszej uczyty.

Ich drugie wspólne dziecko, sześciolatek Chłopiec, bawił się w głębokim cieniu jaskini z Krową. Dźgał go zardzewiałym pogrzebaczem w żebra. Krowa próbował się osłonić, walczył z krępującymi go łańcuchami.

Chłopiec widział tylko na prawe oko i przez cały czas przechylał głowę na bok. Wkrótce po jego narodzinach w okolicy lewego oka użądlił go szerszeń i Chłopiec nigdy już nie odzyska w nim wzroku.

Chłopiec męczył Krowę już od jakiegoś czasu, był silniejszy, niż sądził. Krowa będzie jutro cały posiniaczony w okolicy żeber. Krzyczał.

Chłopiec nieczęsto bawił się z Krową w ten sposób, ale Druga Zabrana musiała mieć już dość tych wrzasków, gdyż podeszła do dzieciaka, wyrwała mu pogrzebacz i zdzieliła go nim po tyłku. Chłopiec spojrzał na nią z wyrzutem, ale nie zapłakał... choć jutro również będzie miał sińce.

Podbiegł do Ziemiajada i zaczęli bawić się wspólnie na ziemi, rzucając wybielonymi przez słońce

szczurzymi kośćmi, grając w jakąś wymyśloną przez siebie grę, której nie rozumiał nikt poza Chłopcem, Ziemiojadem i Królikiem.

Kobieta nie miała nic przeciwko temu, że Druga Zabrana sprząła Chłopca. Nie miało dla niej znaczenia, że to jej syn, dla niej wszystkie dzieci były takie same. Traktowała tak samo dzieci, które miała z Pierwszym Zabranym, i Królika, który był siedmioletnim synem Krowy. A Królika traktowała tak samo jak Ziemiojada - nazywali ją tak, bo kiedy zgłodniała, zjadała wszystko, nawet ziemię - córkę Pierwszego Zabranego i Drugiej Zabraney. Ziemiojada traktowała z kolei tak samo jak malutkie jeszcze dziecko Drugiej Zabraney i Krowy, które spało niemowlęcym snem przy ognisku, na prowizorycznym łóżku z sosnowych igieł.

Nie było żadnego wstydu w tym, że Krowa był jej ojcem. W końcu po to go trzymali.

I tak teraz korzystała z niego Druga Zabrana.

Kobieta uśmiechnęła się. Najwyraźniej wcale nie chodziło jej o krzyki i nie z ich powodu odgoniła Chłopca.

Kobieta nie znała pojęcia piękna.

Sama też nie była urodziwa. Chyba że piękno sprowadzało się do siły, a ona była silna. Miała ponad sześć stóp wzrostu, długie ramiona i nogi, niemalże małpie. Ale jej duże szare oczy pozbawione były wy-

razu, o ile akurat nie przypatrywała się czemuś z uwagą. Cere miała bladą od braku światła, była brudna tak jak i pozostali, skórę miała poznaczoną ukąszeniami owadów i śmierdziała krwią jak sęp. Szeroka, gładka blizna biegła od jej prawej piersi aż do biodra. Przed jedenastoma laty raniła ją tam wystrzelona ze strzelby kula, która oderwała kawałek jej ciała. Nad lewym okiem, do ucha, rozciągała się druga szrama - zasługa kolejnego pocisku. Od tamtej pory w tym miejscu nie rośla jej brew ani włosy.

Wyglądała, jakby poraził ją piorun.

Kobieta nie była urodziwa, ale nie znała pojęcia piękna. A jednak dostrzegła w Drugiej Zabranej coś delikatnego. Władza, którą dzierżyła nad Krową, była dla niej niemalże piękna i niezwykle satysfakcjonująca.

Patrzyła na znajomy rytuał.

Krowa jęknął, kiedy podeszła do niego Druga Zabrana. Robił tak za każdym razem w ciągu ostatnich ośmiu lat, które z nimi spędził.

Kobieta nigdy nie wiedziała, czy Krowa jęczał z powodu bólu, czy przyjemności na myśl o tym, co ma nastąpić, i nie obchodziło jej to.

Druga Zabrana właśnie się umyła. Po raz pierwszy od bardzo dawna, ale było to konieczne. Rozebrała się. Krowa zawsze był nagi.

Oddychał coraz szybciej, jego pierś unosiła się i opadała. Widziała, jak Druga Zabrana łapie obwisłą skórę na jego brzuchu i ściska, a potem sięga niżej.

Innymi słowy, Druga Zabrana złapała Krowę za wymię. Aż zaczęło się podnosić.

Był sporo starszy od Kobiety, ale nadal można było mieć pewność, że stanie mu szybko - nawet szybciej niż Pierwszemu Zabranemu, który czasem bywał rozkojarzony, nawet wtedy, kiedy go potrzebowali. Krowa nie myślał, nie mógł więc stracić koncentracji. To, co robił, było dla niego jedyną czynnością, jaką znał.

Patrzyła, jak Druga Zabrana oplata Krowę nogami, łapie za ramiona i wkłada jego członka w siebie.

Po kilku minutach wzdrygnęła się, co oznaczało koniec.

Kobieta pomyślała, że to dobry znak, iż Druga Zabrana znalazła czas, żeby dosiąść Krowę. Dzisiaj czeka ją trudna noc. Bolesna. A ból nie był jej obcy. Sama wymierzyła sobie karę, gdy wczorajszej nocy nie udało jej się znaleźć dzieci, a potem ukarali ją ponownie Kobieta i Pierwszy Zabranany, kiedy dowiedzieli się, na co tamte sobie pozwoliły.

Nic, nawet zaangażowanie w łowy, nie usprawiedliwiło tego, co zrobiły dzieci. Każde otrzymało

stosowną karę, ale Druga Zabrana najsurowszą, bowiem kończyła siedemnaście lat, więc była najstarsza, a i tak nie zdołała ich powstrzymać.

Nawet teraz prześladował ją duch noworodka.

Dzieci nie mogły się doczekać, kiedy udowodnią, że również są pełnoprawnymi łowcami, a Kobieta wiedziała, jakie tkwi w tym niebezpieczeństwo. Istniał w końcu powód, dla którego ich rodzina niemalże przestała istnieć jedenaście lat temu. A wczoraj miała uczucie, że zbliża się do nich jakieś nieuchronne nieszczęście, że dzieci wcale nie gonią za królikami i nie wypatrują krabów w blasku księżyca, ale uczestniczą w zupełnie innym polowaniu. Ryzykownym.

Wsunęła nóż do pochwy i spojrzała na białą torbę leżącą w odległym kącie jaskini nieopodal miejsca, w którym siedział Krowa, i poczuła nagły chłód.

W pewnym sensie to była i jej wina. Mówiła im zbyt często i przez zbyt wiele dni i nocy o tamtym dziecku - tym na wzgórzu - oraz o mocy drzemiącej w krwi noworodków. To przez nią stali się niecierpliwi, zdawała sobie z tego sprawę.

Dlatego wzięli inne dziecko, zabili matkę i tę dziewczynę.

Nie chcieli zrobić tego w taki sposób, ale jednak dokonali wszystkiego w ten najgorszy z możliwych.

Dziecko zmarło *wewnątrz* torby. Nie mogło oddychać.

Krew nie została przelana.

Ani kropla.

A to przecież w niej kryła się moc. Upuszczenie krwi to wyzwolenie ducha i jego mocy. I choć ciało mogło walczyć, duch zawsze był z tego powodu wdzięczny.

Teraz jednak duch siedział w torbie, za towarzysza mając zwłoki dziecka, jego kał i mocz. Był wściekły, uwięziony w małym ciele.

Stwarzał dla nich zagrożenie.

Duch był tak młody, że nie zdążył jeszcze pożyć. Będzie miał do nich żal, nasiąknie gniewem.

Nie było mowy o rozejmie, już stała się krzywda. Teraz mogli jedynie wyrzucić go do morza, aby odpłynął od nich, niesiony przez fale.

Jutro wyniosą się na północ. Woda zabierze zwłoki na południe.

A dzisiaj odbiorą moc innemu dziecku. Będzie im potrzebna na drogę. Wzmocni Kobiętę i jej rodzinę.

Jutrzejszej nocy opuszczą to miejsce.

Ta jaskinia była dobra, ale znajdą inną.

Już czas na nich.

Przyzwała gestem Pierwszego Zabranego. Podeszedł i stanął obok niej. Pozostali przerwali to, czym akurat byli zajęci, wiedzieli, co nastąpi. Tylko Królik uśmiechał się szeroko, ale był idiotą, którego mózg rozwinął się tak samo nieznacznie jak zbrązowiałe zęby.

Królik zawsze się uśmiechał, a jego zepsute zęby irytowały ją niezmiernie. Wolą te, które Dzew-

czyna sprawiła innym dzieciom, choć były brzydkie i krzywe, cienkie i pożółkłe.

Kobieta skinęła na Drugą Zabraną, aby również do niej podeszła. Kazała jej odwrócić się plecami i podnieść ręce nad głowę.

Plecy, a także pośladki oraz uda były ciemne od zakrzepłej krwi, a podczas kąpieli otworzyły się niektóre rany.

- Nie - powiedziała Kobieta.

Nie chodziło o wymierzenie kary, ale o polowanie. Wiele wymagała od Drugiej Zabranej i zdawała sobie z tego sprawę. I dlatego Druga Zabrana nie chciała spojrzeć im w twarz, wiedziała, że to będzie bolesna wyprawa.

Ale wreszcie odwróciła się i stanęła do nich przodem.

Ponownie podniosła w górę ręce, a Kobieta i Pierwszy Zabranę podnieśli z ziemi cienkie brzozone witki.

Nie rozplakała się, kiedy zaczęli ją chłostać, bili po brzuchu, udach, szyi i ramionach - nawet i po twarzy, choć uważali, żeby nie zranić jej w oczy czy uszy. Oszczędzili też sutki, aby mogła wykarmić niemowlaka. Nie próbowała robić uników, choć Kobieta widziała, że krzywi się z bólu, ale to dobrze, bowiem zarówno odczuwanie bólu, jak i jego zadawanie to naturalna kolej rzeczy. Druga Zabrana знаła powód tego bólu i sądziła, że nie ma w tym nic złego. Nie mogło być.

A dzieci patrzyły na tę scenę, ucząc się.

Krowa zagrzechotał łańcuchami.

Kiedy skończyli, cała trójka stała spocona w wilgotnym cieple jaskini. Druga Zabrana stała przed nimi cała we krwi, jakby wymalowali jej ciało sokiem z jagód. Brzozowe gałązki ociekały krwią.

Teraz potrzebowali już tylko broni.

Kobieta założyła na siebie koszulę w kratę, którą kiedyś zdjęli z jakiegoś rybaka; ucięła mu głowę jednym, perfekcyjnym ciosem siekierą, aby pokazać Pierwszemu Zabranemu, jak sprawnie może to zostać zrobione. Nóż tego mężczyzny nadal nosiła przy pasie.

Dzieci wstały ze swoich miejsc, podeszły do sterty z rzeczami i już po chwili były gotowe.

CZEŚĆ CZWARTA

NOC

20:20

Szli plażą. Piasek pod ich stopami lśnił w blasku księżyca, gdzieś połykiwały kamienie. Kobieta знаła to miejsce.

Niedaleko stąd znajdowała się jaskinia, w której żyli aż do Nocy Pierwszych Łez.

Za kanałem, niewidoczna w ciemnościach, leżała wysepka, gdzie się narodziła.

Pamiętała ją jak przez mgłę. Kołatało jej się po głowie, że przez wiele dni ukrywali się tam przed ludźmi z bronią, aż wreszcie wypłoszyli ich inni, szukający tamtych drugich. Kobieta nie wiedziała wtedy wiele o pistoletach i strzelbach, lecz starsi rozumieli zagrożenie i dlatego uciekli na stały ląd.

Pamiętała, że trudno im było cokolwiek złowić, a i ptaków było tam niewiele, więc prawdziwe uczy

zdarzały się dość rzadko, ale za to polowania były bezpieczne.

Teraz to ona była starszyzną i przewodnikiem rodziny, a łowy najeżone były niebezpieczeństwami - wszyscy mieli broń palną. Musieli planować swoje działania z wyprzedzeniem i rozwagą.

Pierwszy Zabranany lubił myśleć, że to on jest przywódcą, bo był najstarszym mężczyzną w rodzinie, lecz nie miał cierpliwości i zdolności organizacyjnych. Nigdy nie był przewodnikiem i nigdy nim nie zostanie. Duma i głupota kazały mu iść krok przed nią, z zarzuconą na ramię siekierą. Pod wieloma względami był jeszcze dzieckiem.

Druga Zabrana, która szła obok nich naga, była rozważniejsza.

Wyczuwała w niej jakiś nieokreślony spokój i zdolność do akceptowania losu. Umiejętność logicznego rozumowania i cierpliwość.

Jednak nie zawsze tak było. Przez pierwszy miesiąc po tym, jak ją pojмали, Kobieta zmuszona była trzymać ją związaną w ciemnej dziurze na tyłach jaskini i bić każdego dnia, gdyż płakała głośno za matką - nigdy za ojcem, co dziwne - choć miała już sześć lat i powinna być silniejsza.

Potem przestała płakać i zaczęła zachowywać się tak, jakby była w rodzinie od zawsze.

Kobieta spojrzała na morze. Był przypiływ, zupełnie tak jak w dniu, w którym odeszli z wyspy.

A potem rodzina zniknęła z powierzchni ziemi. I to ona ją odbudowała. Znowu byli silni.

Dzieci szły po jej obu stronach. Królik - który mimo swojej głupoty i innych przywar był najlepszym łowcą - szedł zaraz obok niej, potem Dziewczyna, Ziemiojad i ślepy na jedno oko Chłopiec.

Poczuła, że ich siła promieniuje na nią i rozwija się w niej.

Rodzina była jak wodorosty podczas odpływu - pokurczone od słońca, wyschnięte na wiór, praktycznie można było je wziąć w ręce i połamać. A teraz ponownie nadchodziła fala, dawała im życie, sprawiała, że znowu nabrały koloru, były odżywione i mięsiste.

Morze było krwią.

Noc przeciął huk fal, który brzmiał w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka.

20:45

- Niedobrze - powiedział Manetti. - Zrobiło się cholernie ciemno. Ktoś wreszcie rozwalił sobie głowę na tych kamieniach.

Peters przyznał mu w myślach rację. Poszukiwania utrudniał przyływ, plaża skurczyła się do wąskiego, piaszczystego pasa, zmuszając ich do wycofania się na granitowe klify. Poza tym erozja rozkru-

szyla niektóre skały, przez co łatwo było się poślizgnąć na morskiej pianie. Woda wypełniła dołki i szczeliny. Starali się je wymijać albo przechodzić nad nimi. Ubranie i włosy Petersa były wilgotne od morskiej wody. Na ustach czuł sól. Wszyscy byli wyczerpani.

Padali z nóg.

Stając pod tym kątem, blisko skał, i tak nie mogli niczego zobaczyć. Trudno z tej pozycji ocenić, co było jaskinią, a co nie - nie mówiąc nawet o głębokości, wszak nie we wszystkich dało się mieszkać - i grotty myliły im się z pęknięciami czy szczelinami.

Policja stanowa wyposażyła ich w duże, ciężkie latarki Maglite Six-Cells - które kosztowały cztery dychy za sztukę - lecz ich jasne promienie tylko prześlizgiwały się po kamiennej ścianie, więc wszystko i tak zlewało się w jedno. Zupełnie jakby próbowali wypatrzyć dziurę po gwoździu w ścianie czyjejs sypialni, przyciskając do niej twarz. Zadanie nie do wykonania.

- Równie dobrze możemy odwołać pozostałych - powiedział Peters. - Wątpię, czy ktoś miał więcej szczęścia od nas.

- Cholera! - zaklął Harrison.

Gapił się na skalną ścianę, wciąż idąc, przez co wdepnął w kałużę, a but wypełniła mu morska woda.

Na podwórku Petersa mówili na to *chlapeć*.

116

Manetti wyciągnął swoje radio i nawiązał połączenie. Wszystkie jednostki mają przejść do etapu drugiego. Natychmiast.

Etap drugi to powrót do bazy.

Trochę czasu zajmie im przeorganizowanie się - cholera, zanim zjedzą z tej plaży, miną wieki - ale każda jednostka ma zaznaczone na mapie swoje terytorium. Dostali rozkazy, żeby

powiadomić wszystkich mieszkańców o niebezpieczeństwie. Kazali im pozostać w domach i upewnić się, że dysponują działającym radiem i telefonem, oraz powiadomić policję, jeśli zobaczą coś nietypowego.

Pewnie zejdzie im na tym cała noc.

Był na nogach od wpół do czwartej i już nie czuł zmęczenia ani nawet wyczerpania, dawno przekroczył obie te fazy. Działał teraz na swoistym autopilocie i połowa rzeczy, na które patrzył, nie wyglądała tak, jak powinna. Jakby zaraz miał się zgubić i w ostatniej chwili zdążył się otrząsnąć i zapytać samego siebie, gdzie, do cholery, się znalazł. A przecież znał wybrzeże jak ganek własnego domu.

Kątem oka widział różne rzeczy wyłaniające się z cienia, ludzkie sylwetki; a kiedy spojrzał w tamtą stronę, znikaly.

Nie chodziło o alkohol, ten już dawno uleciał z jego głowy.

W samochodzie, w schowku na rękawiczki, miał jeszcze pół butelki gorzały, którą trzymał tam w razie

nagłych wypadków, ale auto zostawił przed domem, przyjechali radiowozem Manettiego. Był ciekaw, czy Vic zgodzi się na mały postój, ale wątpił w to.

Mozolnie parli do przodu przez piach, lecz i tak była to dla nich ulga, wytchnienie od śliskich kamieni. Harrison szedł na przódzie w towarzystwie czterech innych policjantów, Manetti i Peters maszerowali kilka stóp za nimi. Manetti spojrzał na niego. *No to jedziemy*, pomyślał. Zresztą sam dobrze wiedział, jak musi teraz wyglądać.

- George, zrozumiem, jeśli chcesz już iść do łóżka i wypocząć.

- Chcę jak cholera, ale nie sądzę, żebym to zrobił. Pewnie jakbym zapadł w śpiączkę, zostawiłbyś mnie w radiowozie.

- Jak myślisz, zostaną dzisiaj w domu i będą oglądać telewizję czy wypuszczą się na łowy?

- To drugie. Nie zmarnują takiego jasnego księżyca na rzecz telewizji.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu. *I znowu kątem oka zobaczył coś, co przypominało idącego obok człowieka.*

Malca, którego tak naprawdę tam nie było. Potrzebował drugiego oddechu, i to szybko. Peters westchnął.

- Mamy przeczesać okolice Point, co nie?

- No tak.

- Słuchaj, to niedaleko mojego domu. Wyrzucisz

mnie tam na chwilę? Będę czuł się bezpieczniej, mając przy sobie trzydziestkę ósemkę.

Warto spróbować, pomyślał.

Manetti spojrział na niego uważnie. Peters wiedział, że nikogo nie oszuka, słyszał przecież swój ton głosu, ale Manetti nie dał nic po sobie poznać. Skinął jedynie głową.

- Pewnie, George.

Wiedział, że to z jego strony ogromna przysługa. Gliniarze nie powinni pić na służbie, a cywile nie powinni pić i nosić ze sobą broni.

Peters właściwie nie był już gliną, ale w tej chwili nie mógł nazwać się też cywilem. Zastanawiał się więc, czy łamie tylko dwa przepisy, czy może nie łamie żadnego. Domyślał się, że Manetti optował za tym drugim, a może po prostu nie chciał go oceniać.

Bo jak w ogóle ocenić podobną sytuację? - pomyślał.

Był zbyt zmęczony, aby znaleźć odpowiedź. Miles Harrison odnalazł ścieżkę. Odwrócił się do Petersa i uśmiechnął.

- Przychodziliśmy tutaj kiedyś za gówniarza - powiedział.

- Paliliśmy ogniska na plaży, obmacywaliśmy się. Piliśmy po piwku albo i po dwa.

- Wiem - powiedział Peters. - Musiałem się tutaj po ciebie fatygować.

Harrison wybuchnął śmiechem.

- Ale nigdy nie udało ci się mnie nakryć.

- Bo tego nie chciałem, miałem tylko przegonić was z plaży. Myślisz, że po co paradowaliśmy tam i z powrotem z włączonymi latarkami?

- Sądziłem, że gliniarze byli głupi.

- Byli. I teraz ty też jesteś. Wszyscy gliniarze to kretyni, zapomniałeś?

- Zawsze wracaliśmy tutaj dzień czy dwa później.

- A my znowu was przeganialiśmy. Wiem.

Szli pod górę, Petersowi trudniej było złapać oddech, sapał ciężko.

- Zawsze myślałem, że po prostu mieliśmy farta -powiedział Harrison. - Że nas nie złapaliście.

Peters zatrzymał się i spojrzał na niego, oddychając głęboko.

- I faktycznie mieliście — odparł.

Cholernego farta, pomyślał. Większego, niż sobie wyobrażasz, biorąc pod uwagę, co się tutaj kryje.

Poszli dalej.

21:15

- Poczekaj chwilę! Zaczekaj! Nie...

- *Do łóżka, Luke. W tej chwili!*

Problemy pojawiały się zawsze, kiedy przychodziła pora spania, i dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem.

Claire nie wiedziała, czy rozłożyć bezradnie ręce, czy raczej zacisnąć mu je na gardle.

Wcale nie pomagał też fakt, że sypialnia była dla niego nowym miejscem. Zdążył już wcześniej porozrzucić swoje zabawki - żółwie ninja, figurki z Dicka Tracyego - po całym pokoju i teraz nie mógł niczego znaleźć.

Stał więc w pidżamie i grymasił.

Wyczynem samym w sobie było odzianie go w tę koszulkę i spodnie. Upierał się, że pójdzie spać w brudnym T-shircie, w którym biegał przez cały dzień. Był to jego ulubiony, z napisem Post Nukes, który kupił w Kalifornii. Widniał na nim szkielet z deską surfingową, stojący na tle jaskrawo czerwonego nieba.

Potem przez pełnych pięć minut bawili się w *czy umyłeś zęby*.

Luke dreptał w miejscu, jakby chciało mu się do toalety, choć wiedziała, że tak nie było, załatwił swoje potrzeby dosłownie przed momentem.

Obojętnie jak późno by nie było, dla niego każda pora wydawała się zbyt wczesna, aby pójść spać. Rozpierała go energia. Półmaruda, półtyran.

Ośmioletni chłopcy, pomyślała. *Niech ktoś da mi siłę.*

- Nic na to nie poradzę! Nie mogę znaleźć *Flat-topal* Nie pójde do łóżka, aż go nie znajdę! Nie zmusisz mnie. To nie moja wina...

Gadał jak najęty. Była ciekawa, czy w ogóle wiedział, co mówi, kiedy tak nawijał.

Dziecko z piekła rodem.

Zwykle pozwalala mu się pobawić przed snem. Kiedy już wskoczył pod kołdrę, zasypiał w mgnieniu oka. Problem polegał na zagonieniu go do łóżka.

- Obędziesz się dzisiaj bez Flattopa, Luke. Marsz do łóżka.

- Nie rozumiesz, muszę...

- *Nie mam zamiaru się powtarzać.*

- Ale ja muszę mieć Flattopa! -Raz.

- Mamo!

Był już bliski płaczu.

- *Dwa.*

I w ryk. *Mój Boże!* — pomyślała. *Co za szopka!*

- Ty mnie *nienawidzisz*^.

- *Nie nienawidzę cię, Luke. Ale jeśli policzę do trzech i nadal nie będziesz w łóżku, nie wyjdiesz na dwór przez tydzień. Rozumiemy się? Do ilu już zdążyłam doliczyć?*

- Do dwóch.

Stał bez ruchu i sprawdzał jej wytrzymałość.

- No to dobra. Dwa i...

Wskoczył szybko do łóżka. Miała nadzieję, że nie było ich słycać na dole. I że mają wygodne materace.

- Trzy. Dziękuję ci bardzo, Luke, za ułatwienie wszystkiego.

I ten jego sardoniczny uśmiezek.

On się dobrze bawi, pomyślała. Jakby prowadził jakąś dziwną grę o władzę.

Kiedy ona z kolei ledwie trzymała nerwy na wodzy.

- Kocham cię, mamusiu. Nienawidzę cię, mamusiu. -
Zaśmiał się. - Żartowałem.

Claire westchnęła. Usiadła obok niego na łóżku.

- Posłuchaj mnie, Luke. Chcę, żebyśmy spędzili jutro fajny dzień i żebyś był grzecznym chłopcem, takim jak dzisiaj. Nie sprawiaj trudności ani mi, ani Davidowi i Amy. Chciałabym, żebyśmy dobrze się rozumieli. Okej?

Przytaknął.

- I żebyś nie odstawiał takich numerów jak dzisiaj. Dostaniesz szlaban, jeśli jutro powtórzysz takie przedstawienie. Żadnej telewizji, żadnego wychodzenia na dwór. Jasne?

-Aha.

- Okej. Jakby co, twoje figurki są na podłodze. Daj buziaka, skarbie.

Pocałował ją i uśmiechnął się. Znowu był grzecznym chłopcem. Zniknął jego upór i fochy. *Jekyll i Hyde Junior*. Przytuliła go.

- Kocham cię, mały.

- Ja ciebie też, mamusiu.

Wstała i wyłączyła światło. Wystarczy mu zapalona lampka w korytarzu, choć dawała jedynie nikły promień.

- Będę zaraz obok, dobrze? Wiesz, gdzie jest łazienka, prawda?

-Aha.

Przymknęła lekko drzwi, zostawiając wąską szparę.

- Dobranoc. Kocham cię.

- Dobranoc.

Słyszała, jak zbiera z podłogi swoje figurki i rozpoczyna swoją cwieczorną zabawę, gadając sam do siebie cichym, zmienionym głosem.

Weszła do swojej sypialni i usiadła na łóżku, morzył ją sen, ale David i Amy czekali na nią na dole, mieli dokończyć razem jakiś film na wideo. Wcześniej obejrżeli go do połowy, ale Claire ledwo wiedziała, o co w nim chodziło, i nie była to wina filmu.

Rozpraszało ją oczekiwanie na przyjazd Stevena.

Ciągle myślała o tym, co mu powiedzieć.

Zastanawiała się, czy powinna obudzić Luke'a.

Dlatego tak upierała się, żeby położył się już do łóżka, w ten sposób miała jakąś kontrolę, jakiś wybór.

Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej.

Nadjedzie lada chwila.

Czuła, że jest kompletnie nieprzygotowana na spotkanie z nim.

Zaczęła boleć ją głowa.

Przywiozła ze sobą aspirynę, leżała gdzieś tutaj. Pomyślała, że ma taki sam problem jak Luke ze znalezieniem swoich zabawek.

Przypomniała sobie minę leżącego w łóżku Luke'a. To badawcze spojrzenie.

Kocham cię, mamusiu. Nienawidzę cię, mamusiu.

Żartowałem.

Problem w tym, że wcale nie żartował. Albo raczej żartował w mniejszym stopniu, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Oczywiście, że ją kochał. I na pewno nienawidził. Z jego perspektywy była minimum w połowie odpowiedzialna za rozpad ich rodziny. A skoro ona była tutaj, a Steven daleko, więc jej wina była automatycznie większa. Czasem Luke potrafił zapomnieć o złości w stosunku do ojca na długie tygodnie, a ona była przy nim każdego dnia, niczym żywe wspomnienie tego, że nie udało im się zbudować prawdziwego domu. No i myśli, że on także zawiódł — w swoim mniemaniu nie był wystarczająco ważnym ogniwem, aby utrzymać ich razem - nie miał siły, by wpłynąć na swoją własną przyszłość. Ona była symbolem jego straty.

Lecz i tak ją kochał, choć czasem okazywał to w dziwaczny sposób. Czytała kiedyś, że nawet dzieci ze szczęśliwych rodzin bardzo polegają na matkach i dużo od nich wymagają. Ciągłej uwagi, ciągłych *rozmów*, ciągłej akceptacji.

Te słowa nie dawały jej spokoju.

Jednocześnie Luke odtrącał ją.

Wstała i zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu aspiryny. Znalazła w bocznej kieszeni. Połknęła trzy tabletki, żałując, że nie ma Advilu. Aspiryna smakowała jak gorzki żwir.

Przy Lukeu potrafiły jej puścić nerwy.

Kilka tygodni po swoich urodzinach chciał, żeby kupiła mu nowego Żółwia w K-Martcie. Wtedy akurat liczyła każdy grosz, żeby starczyło im na jedzenie, poza tym dopiero co dostał mnóstwo prezentów. Powiedziała więc *nie*. Luke zaczął wrzeszczeć, że go nie kocha, że nie dba o to, czy jest szczęśliwy, zachowywał się jak wariat i nawet gdy już się uspokoił, nadal bolało ją to, co usłyszała.

Przecież to nie jej wina, a Stevena - przypominała sobie o tym w chwilach spokoju. Pracowała ciężko, starając się, aby wiązali koniec z końcem.

Nie była to też wina Luke'a, on również cierpiał.

Widziała to po tym, jak chodził, lekko zgarbiony, ze wzrokiem utkwionym w ziemię i nieprzyjemnym grymasem na twarzy, który przybierał aż nazbyt często. No i te jego nieustające próby bycia miłym dla każdego, nawet najdziwaczniejszych dzieciaków ze szkoły. Tych z prawdziwymi problemami.

Przez to wszystko Luke nie miał o sobie najlepszej opinii. Czuł się jak ofiara.

A ja nie jestem wcale lepsza, pomyślała. Ofiara.

Długo myślała o tym słowie.

Kiedyś wzięła nawet do ręki książkę, z której dowiedziała się, że pochodzi ono z terminologii związanej z magią i zaklęciami - z czarownikami i wiedźmami - a także z chytrą, podstępem.

Pamiętała, że czytając, uśmiechała się. Bo na swój sposób to wszystko doskonale opisywało to, co zrobił im Steuen.

Sądziła, że wie, jak postąpić w sprawie męża. Nie ma powodu, dla którego jej syn miałby być tak traktowany nawet przez swojego ojca. Szczególnie przez niego.

Nie miała zamiaru na to pozwalać. Wyłączyła światło w sypialni i zeszła na dół, do Davida i Amy.

Obejrzą film jak normalni ludzie.

W szarym blasku postawionej w korytarzu lampy Dick Trący walnął pałąk Prunefacea. Gra skończona, choć Pruneface uzbrojony był w pistolet maszynowy, rewolwer, nóż i obuch. Po raz kolejny udowodniono, że prawo jest prawem i kara dosięgnie tych, którzy ośmielają się je łamać.

Chyba że było się Freddym Kruegerem albo kimś takim.

Jego matka nie znosiła Freddy'ego Kruegera.

Dzisiaj znowu na niego nakrzyczała. Ostatnio często jej się to zdarzało.

Domyślał się, że wielokrotnie faktycznie na to zasłużył, bo zachowywał się niegrzecznie i niemiło, ale to nie jego wina, po prostu musiał zrobić coś, czego nie lubi. Nie wiedział, czemu tak się działo. Musiał i już. I wtedy ogarniał go strach, że już go nie kocha, że takiego dziwaka nie da się kochać, i choć w głębi serca wiedział, iż może liczyć na jej miłość, nadal bał się, że pewnego dnia ktoś ją zabierze. Chciałby mieć siłę, żeby tego nie robić, ale nie miał, i nikt nie mógł mu pomóc.

I przez to się wściekał, był dla niej niedobry, mówił jej niedobre rzeczy. Nieraz nawet czuł chęć, aby ją uderzyć, tak *naprawdę* uderzyć, albo wrzeszczeć na całe gardło, kiedy rozmawiała przez telefon, albo zakrywać jej oczy, kiedy próbowała coś napisać, albo wołać ją, gdy była pod prysznicem i ledwo go słyszała, musiała więc co chwilę zakręcać wodę.

Ciągle robił takie rzeczy. Tylko po to, żeby wyprowadzić ją z równowagi.

Nie mógł się powstrzymać.

Kocham cię. Nienawidzę cię. Nie wiedział, czemu to powiedział. Aż sam się wystraszył.

Nawet podobała mu się ta sypialnia.

Kiedy bawił się swoimi figurkami, nie zastanawiał się nad tym, czy mu się podoba, czy też nie, ale teraz zwrócił uwagę na pokój, w którym miał spać.

Był mniejszy niż jego własna sypialnia i nie stało tutaj dużo mebli. Jedynie komoda z szufladami, stół i krzesło oraz drugi, mniejszy stolik przy łóżku. Podobał mu się zapach świeżego drewna. Pewnie dlatego, że na dole znajdował się warsztat.

Nie pachniało tutaj perfumami, jak w pokoju mamy. Tutaj panował męski zapach. Pewnie tak pachniało też w sypialni jego ojca.

Kto wie?

Kto wie cokolwiek o jego tacie?

Nieważne. Teraz on był mężczyzną, a nie jego ojciec, i to on leżał w pokoju pachnącym drewnem. Kiedy będzie starszy, też będzie miał taką sypialnię. Własną, tylko jego, ale czasem będzie zapraszał tam mamę. Będzie mogła spędzać tam nawet i całe dni i na pewno jej się tam spodoba, polubi też ten zapach, pomimo że to nie perfumy. Polubi, bo to będzie jego zapach.

Przewrócił się na bok. Świerszcze hałasowały za oknem. Nagle poczuł zmęczenie. Na stoliku położył wcześniej kostki, które znalazł w domu na drzewie. Spojrzał na nie i poczuł, że opadają mu powieki.

Świerszcze na moment zamilkły. Nasłuchiwał lekko zaniepokojony, zastanawiając się, co one teraz robią. Poczuł, jakby stanęło mu serce.

I znowu zaczęły.

Kiedy upewnił się, że nie mają zamiaru przestać, zasnął.

21:37

Szli przez pola, stąpając cicho, oblani księżycowym światłem. Ich sylwetki wydawały się szare na tle wysokiej trawy, jakby to sama ziemia obleczona została w ciało i maszerowała w stronę migających światel widocznego w oddali domu.

Kiedy dotarli do linii drzew, podzielili się na dwie grupy. Pierwszy Zabraną miał unieruchomić auto i przeciąć linię telefoniczną, Druga Zabrana miała stać naga i zakrwawiona w cieniu, pod drzwiami prowadzącymi do kuchni, i czekać, aż Kobieta da znak pozwalający rozpocząć akcję.

Dzieci wdrapały się na drzewa szybko, sprawnie i cicho niczym jaszczurki i przysiadły na gałęziach rozciągających się nad tarasem. Przyczyły się i przez szklane drzwi przesuwne obserwowały widocznych wewnątrz ludzi.

Nie poruszali się. Siedzieli w fotelach i patrzyli na kolorowe, jaskrawe światła. Czasem odzywał się mężczyzna, a czasem któraś z kobiet. I to wszystko.

Kobieta czekała pod domem, obok pali, które umacniały dom od strony zbocza, a po chwili dołączył do niej Pierwszy Zabraną. Skinął głową, uśmiechając się, co oznaczało, że wykonał już swoje zadanie.

Widziała, że niedawno zaostrzył sobie zęby - nie miała jednak pojęcia, kiedy to zrobił.

Siekiera, którą miał ze sobą, przewiązana była na trzonie i obuchu długim, skórzanym rzemieniem, dzięki któremu mógł zarzucić sobie broń na plecy i bez problemu wspiąć się po palach na taras.

Pierwszy Zabranany i Kobieta byli zbyt ciężcy, aby wejść na gałęzie.

Wspinaczka wydawała się prostym zadaniem.

Kobieta spojrzała na drzewa i zobaczyła, że dzieci są już gotowe. Przyłożyła ręce do ust i syknęła jak kot. Od strony drzwi prowadzących do kuchni usłyszała Drugą Zabraną, która zaczęła krzyczeć, jęczeć i wrzeszczeć ze strachu. Walila pięściami w drzwi, a ze środka domu dobiegły odgłosy nagłego poruszenia, zaalarmowani ludzie rzucili się biegiem w kierunku, z którego dochodził hałas.

Prosto w pułapkę.

Nad ich głowami dzieci poruszyły się niespokojnie, przygotowane do skoku.

Kobieta i Pierwszy Zabranany zaczęli wspinaczkę.

21:40

Steven wreszcie znalazł zjazd na Scrub Point Road, choć mijał go wcześniej trzykrotnie. Cholernie ciężko było śledzić mapę w ciemnościach - akurat w tej sprawie nie okłamał autostopowiczki, poza tym i tak nie był dobry w czytaniu map. Dopiero w Lubec zorientował się, że już dawno minął Dead River.

Musiał więc wrócić, ale i tak ponownie ominął miasteczko i znowu dopiero w Trescott zrozumiał, że powinien skręcić wcześniej.

No ale wreszcie był na miejscu. Pieprzony mały znak. Trudno byłoby go zauważyć nawet za dnia.

Z początku droga została wylana asfaltem, ale po kilku minutach zmieniała się w zwyczajną żwirówkę, musiał więc zwolnić, obawiając się, że jego mercedes nie znieś takich wybojów. Same dziury i pagórki.

Jeśli płaci się taką kasę za auto, to się o nie dba.

Jechał straszliwie wolno, ale przecież Claire nigdzie się nie wybierała. Mogła poczekać.

Pomyślał o Claire - o wydupczeniu jej, jeśli miał być szczery - i poczuł, że jego kutas powoli twardnieje w spodniach.

Minęło już trochę czasu od ostatniego razu.

Zabawne, że wieść o rozwodzie rozpałała w nim taką chciwą na Claire. Nigdy wcześniej nie pragnął jej aż tak mocno. Oczywiście swoją rolę odegrał też alkohol. Jak trochę wypijesz, od razu ci staje, chce ci się dymać, a potem strzelasz jeszcze kilka kolejek i się odechciewa. Zresztą kiedyś uznał, że za ruchanie własnej żony też się płaci, bo kiedy kobieta czuje, że jest kochana i że się o nią dba, wykorzystuje to. Lepiej pójść z chłopakami do knajpy i od czasu do czasu wyrwać jakąś laseczkę.

Nie chodziło o to, że Claire nie była atrakcyjna. Ba, większość dziewczyn, jakie udało mu się pode-

rwać przez te wszystkie lata, nawet nie grała w jej lidze. Ale były łatwe, można je było pieprzyć, a potem o nich zapomnieć. Gdy chodziło o Claire, trzeba było wziąć ją z całym inwentarzem. Jeśli dała ci dupy jednej nocy, to oczekiwała, że na drugi dzień zajmiesz się bachorem, bo ona zaplanowała sobie jakieś pierdolone spotkanie z koleżankami ze szkoły średniej albo coś takiego. Potem chce czegoś od ciebie nie od święta, ale codziennie, przez całe życie. Aż wreszcie należysz do niej.

Nawet Marion była łatwiejsza, a przecież miała swoje wymagania. Zaśmiał się. Nadal miał zadrapania, które potwierdzały jego myśli.

A jednak dobrze pamiętał ciało Claire. Szczupłe i zgrabne.

Ta kobieta była niczym modelka. Idealne cycki i tyłek - ten stan rzeczy utrzymał się nawet po urodzeniu Luke'a - a skóra tak gładka i miękka, że można było się nią owinać i zasnąć.

Wiedział jednak, że pewnie nie chciałyby pójść z nim do łóżka, pewnie nadal jest wściekła. W porządku, dojdzie do siebie. Jak zawsze. A nawet jeśli nie, to i tak ją wydyma.

Pieprzyć zakaz zbliżania się. *I co robi? Napuści policję na ojca swojego syna?*

Może to nawet lepiej, jeśli będzie się opierała. Wyobraził sobie, jak przyciska ją do łóżka, zrywa z niej ubranie, ściska nadgarstki i kładzie się na niej. Była

silna, ale on o wiele silniejszy, mierzył ponad sześć stóp wzrostu i nikt nie nazwałby go ułomkiem -grywał regularnie w piłkę ręczną - ważył o sto funtów więcej niż ta suka.

Mógłby też użyć swoich zębów.

Claire nigdy nie lubiła gryzienia.

Teraz jego erekcja stawała się bolesna i zastanawiał się, czy nie powinien był jednak wyruchać tamtej autostopowiczki. Jechał powoli wąską dróżką, a jego amortyzatory ledwo zipsały. Włączył długie światła i wypatrywał domu, który krył się gdzieś przed nim w szarym odcieniu nocy.

21:41

David jako pierwszy zerwał się z miejsca, ale Amy biegła zaraz za nim. Dźwięki dochodzące zza drzwi sugerowały jednoznacznie, że ktoś wpadł w niezłe tarapaty i miał nie lada kłopoty. Głos zdecydowanie należał do kobiety, była wyraźnie wystraszona, ranna. David dopadł do drzwi i zaczął je otwierać, kiedy przypomniał sobie, że ledwie kilka godzin temu biuro szeryfa ostrzegło go, żeby każdego gościa trzymał na muszce, i nie chodziło tylko o Stevena, ale każdego nieznajomego. Było jednak za późno, gdyż szok wywołany opłakanym stanem dziewczyny wyparł wszelkie podejrzenia, zostały zastąpione przez jeden tylko impuls, każący przyjść jej z natychmiastową pomocą.

W końcu to była tylko nastoletnia dziewczyna.

Dosłownie wpadła do domu przez otwarte drzwi. Niechybnie uderzyłaby głową w próg, gdyby David jej nie złapał i nie przytrzymał. Pomogli jej wejść do środka.

Wyglądała, jakby bito ją przez kilka dni bez przerwy jakimś batogiem, bali się dotknąć jej ciała.

Niektóre z ran były już zasklepione, inne świeże, głębokie.

Amy poczuła nagły strach, myśląc o tym, co może się czaić na zewnątrz, w ciemnościach. Claire stała przy niej.

- Claire. Drzwi - powiedziała. Claire zamknęła drzwi na zamek.

- Zadzwoń na policję - oświadczyła.

- Numer do szeryfa jest na wizytówce leżącej przy telefonie.

- Jezu - powiedział David i pomógł dziewczynie usiąść na krześle.

Miała poranione piersi, wewnętrzną stronę ud - całe ciało.

- No już w porządku - powiedziała Amy. - Zaraz damy ci koc, przyniesiemy trochę wody i pomożemy ci się umyć, dobrze?

Dziewczyna skinęła głową, próbując złapać oddech, jakby przebiegła jakiś dłuższy dystans i nie mogła wykrztusić nawet słowa.

Amy minęła w kuchni Claire, która wykręcała

numer z wizytówki. Pobieгла obok klatki schodowej do swojej sypialni i ściągnęła leżący w nogach łóżka koc.

Rzuciła okiem na leżącą w kołysce Melissę. *Spała.* Wróciła do pokoju.

- Możesz mówić? Powiedz mi, co się stało? - pytał David.

Dziewczyna pokręciła głową. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

- Nie mogę się dodzwonić - powiedziała Claire i otworzyła szeroko oczy. - Boże. Nie ma sygnału.

Amy spojrzała najpierw na Claire, a potem na Davida. Z ich oczu wyczytała, że również są przerażeni. Dziewczyna wyciągnęła swoje blade ramiona i objęła Davida.

Dzieci po cichu opadły na taras, niczym dojrzałe owoce, a Kobieta i Pierwszy Zabraný wspięli się tam w tej samej chwili. Podeszli do przesuwanych drzwi i popatrzyli na ludzi wewnątrz domu - uwaga wszystkich skupiła się na Drugiej Zabranej, która siedziała na krześle, trzęsąc się gwałtownie. Przy drzwiach nie było nikogo, nawet kiedy Kobieta położyła rękę na chłodnej tafli szkła, a potem metalowym uchwycie. Drzwi syknęły jak wąż, kiedy przesunęła jedno skrzydło.

- Mamo?

Lukę stał na szczycie schodów. Wyglądał chudziej

niż zwykle w tej swojej pidżamie. Claire pomyślała nagle, że *w tym domu jest dziecko*, lecz nie miała pojęcia, czemu właśnie to przyszło jej na myśl. Nadal trzymała w ręku słuchawkę. Zrobiła krok do przodu, gdyż jej syn zaczął schodzić na dół.

Nie chciała, żeby tutaj był. Usłyszała jakiś wewnętrzny głos mówiący, że powinna go zatrzymać tam, gdzie stał. Usłyszała, jak Amy wzdycha zaskoczona, a David krzyczy, zresztą Lukę także. Dziwne hałasy zatrzymały go w pół kroku na schodach, znieruchomiał z rozdziawionymi ustami. Claire pomyślała o chłopcu, a zaraz potem o dziecku, które dzisiaj po południu ścisnęło jej palec. Pobiegnęła do sypialni Amy i wzięła rozbudzone niemowlę w ramiona. Dziewczynka patrzyła na nią zdziwiona, a gdzieś z oddali dobiegały krzyki jej przyjaciółki, z dołu dochodziły odgłosy bitego szkła, przewracanych rzeczy, jakiegoś niszczycielskiego wiatru. Pognęła po Luke'a, złapała go i zaciągnęła do jego pokoju.

Druga Zabrana wyciągnęła ręce ku mężczyźnie, objęła go i przycisnęła do swoich piersi. Niemal wybuchnęła śmiechem, kiedy zobaczyła, że nie wie, co zrobić z rękoma. Poczowała, jak wodzi nimi po jej plecach, były jak spłoszone ptaszęta.

Mężczyzna obawiał się, że ją zrani. Nie wiedział, co ma myśleć o tym uścisku.

Nasłuchiwała odgłosów dochodzących od strony drzwi i wiedziała, że są już w środku.

Poczuła, że są jednością, zrodzoną z krwi i nienawiści, ale nie zdawała sobie sprawy, że część tej nienawiści skierowana jest przeciwko nim - za chłosty, za to, że wykorzystywał ją Pierwszy Zabranany, za to, że ukradziono jej życie, za którym, co prawda, wcale nie tęskniła, ale o którym wciąż mogliście pamiętać. Nie miało to jednak znaczenia, bo teraz miała inne życie, liczył się tylko odczuwany przez nią głód i buzowanie krwi w żyłach.

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że wchodzą do pokoju, i usłyszała zaskoczone westchnięcie mężczyzny, którego nadal obejmowała.

Spojrzała na przesuwne drzwi. Na nich. Na swoich ludzi.

Objęła mężczyznę jeszcze mocniej. I ugryzła.

Zaczął się opierać, próbował się wyrwać i zamiast na miękkiej szyi, jej zęby zacisnęły się na kości, ale to wystarczyło, i tak miała go w garści. Wzmocniła uścisk szczęk, wwierała się w jego obojczyk, jakby próbowała wgryźć się *do środka*. Kły Drugiej Zabranej wbiły się w kość, poczuła słonawy smak krwi, gdy przełknęła ślinę. Mężczyzna zaczął krzyczeć, złapał dziewczynę rękoma za głowę, próbował odepchnąć, strząsnąć ją z siebie.

Lecz był zbyt słaby, miał za mało siły.

Gdy wbiła się w niego wystarczająco głęboko,

szarpnęła i, korzystając z jego własnej wagi, puściła go i rzuciła na ziemię. Usłyszała dźwięk przypominający łamaną gałąź, gdy mężczyzna zwałił się na podłogę, krzycząc i trzymając się za potrzaskany obojczyk. Zbladł, a lśniąca krew płynęła fontanną z jego rany.

Druga Zabrana podniosła głowę i zobaczyła Ziemiogada i Królika. Pozostali byli zajęci kobietą.

Wszyscy, poza Pierwszym Zabranym, który szedł na górę, po dziecko. W jednej ręce trzymał siekiere, w drugiej młotek.

Ziemiogad i Królik patrzyli na nią niecierpliwie. Drugi z chłopców oczywiście się uśmiechał.

Usłyszała krzyk jednej z kobiet.

- Moja - powiedziała i nachyliła się nad mężczyznę.

Leżąc na podłodze, patrzył na Amy, na swoją żonę, swoją partnerkę, na ciało, które znał tak dobrze, że mogłoby być *jego* ciałem. Krzyczał, czuł palący ból, który pulsował tak mocno, że każde uderzenie serca wydawało się ostatnim, walczył sam ze sobą, żeby nie zemdleć, jakoś to przetrzymać. Widział, jak trzech brudnych chłopców odzianych w jakieś szmaty ciągnie Amy do kuchni. Była z nimi jeszcze dziewczyna o płowych włosach, ubrana w popękana, pożółkłą (*to niemożliwe*) skórę. Amy wrywała się, krzyczała, a tamta kobieta (*ich matka? To rodzina?*) szła za nimi

i wskazała kuchenny zlew czubkiem noża. Pozostali pociągnęli jego żonę w tamtą stronę.

Patrzył na rozgrywającą się scenę i próbował połączyć się myślami z Amy, aby w jakiś sposób dać jej siłę i nadzieję, choć sam został ich pozbawiony, uleciały z niego wraz z bólem, ale i tak pragnął znaleźć w sobie jeszcze odrobinę energii, aby otoczyć ją pancerzem, zbroją złożoną z jego nieskończonej miłości. I choć czuł to, co ona, Amy była sama. Odcięta od niego murem rozpacz i strachu.

Zanim jego głowa eksplodowała straszliwym bólem, promieniującym tak, jak gdyby patrzył prosto w słońce, poczuł się samotny jak nigdy wcześniej.

Amy pomyślała, że jest w komputerze.

Koszmarne obrazy nadchodziły seriami, jeden po drugim. Jakaś jej część uczestniczyła w tym wszystkim, a inna tylko patrzyła z boku na to, co się dzieje — przypominało to oglądanie czegoś na podzielonym ekranie, czytanie dwóch dokumentów naraz.

W innych okolicznościach pomyślałaby, że zwariowała.

Dziewczyna zarzuciła na niego ramiona, jakby chciała go przytulić, i nagle na jej twarzy pojawił się nowy, chytry grymas, a w pokoju znaleźli się inni ludzie. Widziała, jak wchodzi przez drzwi prowadzące na taras - dzieci, kobieta w kraciastej koszuli i mężczyzna z siekierą. Dzieci miały w rękach noże, tasaki

i młotki, a jedno z nich, mała dziewczynka, niosło coś przypominającego rydel.

Złapali ją. Dwóch bliźniaków chwyciło ją za prawe ramię, a dziewczynka i trzeci chłopiec za lewe. Zaciągnęli ją do kuchennego zlewu. Byli silni i choć szarpała się i wyrywała, nic nie osiągnęła, nadal odciągali ją od Davida, który leżał na podłodze przy biurku i wykrwawiał się.

Ta dziewczyna go ugryzła, wyszarpała kawałek jego ciała, widziała, jak jego kość pęka i przebija skórę.

Odciągnęli ją od Davida, straciła go z oczu. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje, co mu robią...

Melissa! Gdzie była Melissa? Gdzie są Claire i Luke, i Melissa, i... mężczyzna z siekierą!

Ich przywódczyni miała całe ciało poznaczone bliznami, okropnymi i długimi. Była wyższa niż jakakolwiek inna kobieta, którą spotkała. Patrzyła, jak idzie w jej kierunku z nożem w ręce.

Poczuła, jak plecami uderza w krawędź zlewu i rozchylają się poły jej szlafroka, i widzą jej nagość; miała na sobie jedynie majtki i biustonosz. Kobieta trzymała w ręce skórzane rzemienie, które przywiązała do jej nadgarstków. Z posępnym wyrazem twarzy zacisnęła je tak mocno, że werżnęły się w jej skórę, poraniły ręce. Za to dzieci wreszcie ją puściły, a kobieta obróciła jej ciało o sto osiemdziesiąt stopni, teraz krawędź zlewu wbijała się w jej brzuch. Po-

ciągnęła ramię, najpierw lewy, potem prawy i przywiązała jej ręce do kranów z zimną i ciepłą wodą. Dzieci podniosły ją za nogi tak, że uderzyła w zlew klatką piersiową, teraz tylko żebra i ręce podtrzymywały ciężar jej ciała. Dzieci trzymały ją w górze i przywiązywały jej kostki do nóg stojącego za nią kuchennego stołu. Amy krzyczała i krzyczała, szarpała się i walczyła z rękawicami, ale jedno z nich wsadziło jej w usta szmatę, a pozostałe owinięły jej głowę taśmą klejącą, żeby nie mogła już wrzeszczeć. Miała też poważny problem ze złapaniem oddechu.

Usłyszała dochodzący z piętra hałas i dopiero teraz zauważyła, że brakuje w kuchni mężczyzny z siekierą. Zaczęła płakać. Melissa, jej dziecko. Claire. Nagle nawiedziło ją wspomnienie Claire, która pocieszała i tuliła ją, *kiedy wyplakiwała sobie oczy po rozstaniu z Dannym, jej pierwszym prawdziwym chłopakiem. Stało się to na pierwszym roku w college'u. Pamiętała dotyk jej silnego, ale miękkiego ramienia, sądziła, że pęknie jej serce. A teraz David.*

Boże, David.

Me płacz, pomyślała. Udusisz się. Umrzesz.

Usłyszała jego udreńczony krzyk, a potem kolejne dochodzące z góry hałasy i dźwięk jakiegoś spadającego na podłogę przedmiotu.

Dziewczyna była ubrana w skórę, zobaczyła to od razu i wiedziała, co to jest.

Ludzka skóra.

Spękana, pożółkła skóra zdjęta z kobiecych piersi, z poczerniałymi sutkami. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej, ukazując dwa rzędy brudnych, brązowych zębów, i postawiła pod nią wielki, lśniący nowością aluminiowy gar, w którym gotuje się homary.

Ustawiła go dokładnie pod jej szyją.

Nawet kiedy zamknęła drzwi na zamek, wiedziała, że nie wytrzymają. Słyszała krzyk Davida, Amy wrzeszczącą: *nie, nie, nie* i nieustający płacz.

Płacz Melissy.

Sprowadzi ich prosto do tego pokoju.

Lukę stał nieruchomo, nie odzywał się. Zbladł i wpatrywał się w nią. Widział jej strach. *Co się dzieje? Co mamy robić?*

- Potrzyмай Melisę - powiedziała i wcisnęła dziecko w ramiona swojego syna.

Dziewczynka przestała na moment płakać, ale po chwili znowu zaczęła wyć.

Próbowwała nie słuchać dochodzącego z dołu hałasu.

Próbowwała nawet nie myśleć o Amy.

Podeszła do okna, otworzyła je i wyjrzała. Na dole leżała sterta drewnianych desek, wysoka na trzy stopy i szeroka na cztery. Dzielilo ją od niej jakieś dziesięć stóp. Być może dwanaście.

Musiąla podjąć próbę, nie mogła zrobić nic więcej.

- Mamusiu...?

Podniosła palec do ust i nasłuchiwała. Ktoś szedł po schodach. Nie śpieszył się.

- Luke - szepnęła. - W domu są pewni ludzie, którzy chcą nas skrzywdzić. Melissę również. Musimy wyskoczyć przez okno, ukryć się.

Chłopiec spojrział na okno i ledwo powstrzymał się od płaczu. Wiedział, że nie może sobie teraz pozwolić na histerię.

- Mamusiu...? Boję...

- Wiem, że się boisz. To nic złego, ale musisz być dzielny. Pomogę ci, nie martw się. Połóż Melissę w kojcu i wejdź na parapet z komody.

Usłyszała kolejne kroki, tym razem już na szczycie schodów. Coraz bliżej.

Luke zrobił to, co mu kazano. Postępował z dzieckiem tak delikatnie, że poczuła w stosunku do niego nagły przypływ miłości, aż zabołało ją serce.

- Dobrze, a teraz usiądź na parapecie, wystaw nogi za okno i podaj mi rękę.

Łzy leciały mu po policzkach, ale ufał swojej mamie, więc zrobił to, co mu kazała. Złapała go za nadgarstki, pochyliła się nad komodą i zaczęła opuszczać Luke'a w dół.

- Mamo! - Słyszała w jego głosie panikę. Kroki dochodziły już sprzed drzwi.

- Potrzy mam cię, aż będziesz już cały za oknem,

rozumiesz? Potem cię puszczę. Nie jesteś aż tak daleko od ziemi, bo pod tobą jest wysoka sterta desek, więc skoczysz na nią. Nic ci nie będzie, jesteś już dużym chłopcem. Pamiętaj, żeby lekko ugiąć nogi, zanim wylądujesz, dobrze?

Luke skinął głową. Jego nadgarstki były zimne i mokre od potu.

Położyła się na komodzie i wyciągnęła ramiona, jak mogła najdalej, aż jej stopy oderwały się od podłogi. Szczęśliwie jej ciężar wystarczył, aby utrzymać równowagę. Wyciągnęła się tak mocno, że mogła wyjrzeć za krawędź parapetu. Widziała stertę drewna. Czekwała, aż nogi Luke'a przestaną się kołysać.

Czy da radę to zrobić¹? Czy on da radę? Czy odważę się na to, żeby go puścić?

Dziesięć stóp dla niespecjalnie wysportowanego chłopca to znaczna odległość.

Oczyma wyobraźni widziała, jak leży na dole ze skrzyconym karkiem, rozciągnięty na deskach.

Przeleciało jej przez myśl, że powinna wciągnąć go z powrotem, objąć, przytulić z całych sił i poczekać, aż to wszystko wreszcie się skończy i znowu będą razem, zapomną o tej nocy i nawet Steven nie będzie mógł ich już skrzywdzić.

Melissa leżała cicho.

Z dołu dochodziły krzyki Amy.

Ktoś szarpał za klamkę.

Musisz, pomyślała.

- Ugnij kolana, Luke - powiedziała, a jej głos brzmiał spokojniej, niż się spodziewała, był tak opanowany, że aż się wystraszyła.

Musisz. Dla niego.

- Kocham cię. Skoczę zaraz po tobie. Na trzy, dobrze? Raz. Dwa.

Lukę zacisnął mocno palce na jej nadgarstkach, a potem poluzował chwyt. -Trzy.

Puściła go. I nawet kiedy siekiera wbiła się w drewniane drzwi za jej plecami, obserwowała swojego syna, który z przyprawiającą o ból głowy prędkością uderzył w stertę desek, zwinął się w kulkę i niemal stoczył na ziemię. Dzięki bogu nie spadł, był jak postrzelony żołnierz, który wstaje na równe nogi i krzyczy, że nic mu nie jest.

Odwróciła się, aby zabrać Melisę, i zobaczyła, jak ostrze siekiery po raz kolejny zagłębia się w drzwiach i rozłupuje drewno na tyle, że mogła zobaczyć napastnika - to sporych rozmiarów mężczyzna nagi od pasa w górę, skórę miał natartą czymś, co wyglądało jak tłuszcz. Śmiał się, a jego zęby przypominały małe, czarne gwoźdźniki, kły.

Zerwała koc z łóżka Luke'a i owinęła nim Melisę. Siekiera uderzyła w drzwi po raz trzeci. Mężczyzna śmiał się coraz głośniej, patrząc na nią przez wyrąbaną dziurę. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co Claire ma zamiar zrobić, domyślił się, widząc, że

wdrapuje się na komodę, a z niej przechodzi na parapet.

Zaczął wściekle uderzać narzędziem w drzwi, raz po raz, a huk grzmiał w jej uszach, nawet kiedy już wyszła za okno, trzymając się jedną ręką górnej części ramy, a drugą obejmując Melissę. Odepchnęła się, zahaczając plecami o ramę.

Poczuła falę bólu przemykającą po jej kręgosłupie, lecz trwało to jedynie krótką chwilę, bowiem mogła myśleć jedynie o tym, że właśnie skoczyła z okna. Cieszyła się nabytą nagle wolnością, a jednocześnie nie opuszczało jej przerażenie. Wolną ręką próbowała złapać równowagę, jakby nurkowała w wodzie, a nie leciała w powietrzu, i instynktownie przycisnęła do siebie Melissę. Uderzenie zważyło ją z nóg, padła na plecy, wiedząc, że coś poszło nie tak. Rozgwieżdżona, ciepła, pachnąca świerkiem noc wzięła ją w ramiona.

David leżał otumaniony na podłodze i gapił się w stojący na biurku, wygaszony monitor.

Po głowie chodziły mu znajome słowa, choć nie miał pojęcia, skąd się wzięły.

Mroki lasu. Las jest mroczny.

Przez chwilę słyszał jeszcze odgłosy wydawane przez telewizor, aż wreszcie ktoś kopnął odbiornik, który spadł na ziemię. W powietrzu wisiał teraz cierpki zapach spalonych przewodów elektrycznych.

To wystarczyło, aby wybudził się ze snu i przypomniał sobie, kim jest i gdzie się znajduje, mógł także rozpoznać chirurga, który go operował; chirurga z obnażonymi, umazanymi krwią piersiami.

Nie pamiętał, kiedy zdążyli rozerwać mu koszulę, ale musieli to zrobić, i nie wiedział, co jest z nim nie tak, że muszą przeprowadzić jakiś zabieg. Kobieta przesunęła po jego ciele skalpelem, zostawiając cienką czerwoną linię od jego obojczyka, przez mostek, aż do brzucha. Potem usłyszał dźwięk rozrywanej skóry, kiedy rozdzieliła jego klatkę piersiową rękoma.

Ten anestetyk, który mu podali, był niesamowity. Popatrzył na swój tors i zobaczył własne organy, tkwiące w krwawej brei. Płuca, serce, przeponę, żołądek i wątrobę.

I nie czuł żadnego bólu.

Jedynie łaskotanie w okolicy obojczyka i dziwny chłód, jakby przed chwilą połknął łyk pokruszonego lodu, który dodaje się w lecie do drinków - zdjęło go przejmujące zimno, które zmroziło całe jego ciało od stóp do głów.

Pomyślał, że musi być jakiś problem z jego sercem, może potrzebna była transplantacja, ponieważ zobaczył, jak lekarka sięga powoli do środka i bierze do ręki jego serce, nadal ciepłe i bijące... chyba znowu zapadł w sen, bo to, co zobaczył potem, było kompletnie nieprawdopodobne, ponieważ kobieta

podniosła serce do ust i wgryzła się w nie, a dwoje jej młodocianych asystentów zaczęło grzebać w jego wnętrzu brudnymi paluchami w poszukiwaniu wątroby.

Otumaniony anestetykiem uznał, że to koszmar, gdyż lekarka zaczęła żuć jego serce.

Odwrócił głowę i ponownie spojrzął w czarny ekran monitora, który teraz wydał mu się podobny raczej do sprzętu mierzącego pracę serca. Wyświetlał ciągłą linię. David dowiedział się, że jest martwy.

- Mamusiu! Obudź się! Mamusiu!

Lukę potrząsnął matką. Claire nadal trzymała w ramionach córeczkę Amy.

Spadła na stertę desek, ześlizgnęła się z niej i wylądowała przy ścianie domu. Uderzyła się w głowę i straciła przytomność, lecz nie na długo. Melissa nadal leżała przytulona do niej.

Spojrzała w górę, na okno i zobaczyła to, czego się obawiała. Mężczyzna patrzył prosto na nich i nagle zniknął.

Wstała, złapała Lukę'a za ramię i rzuciła się biegiem przez trawnik.

- Znam pewne miejsce! - powiedział.

Melissa płakała głośno, ale Claire nie mogła nic na to poradzić.

- Pokaż - odparła.

Dziewczyna przyciskała ostrze noże do gardła matki dziecka i już miała wykonać cięcie, kiedy Pierwszy Zabraný zeskoczył ze schodów i rzucił się do podwójnych drzwi przesuwanych. Zatrzymała go Kobieta. Na twarzy miała pytający, wściekły grymas.

Zawiódł, pomyślała Dziewczyna. Pierwszy Zabraný zawiódł!

Cieszyło ją to.

Mężczyzna pokazał na drzwi.

- Dziecko... kobieta, chłopiec!

Pierwszy Zabraný również był wściekły. I zakłopotany. Gestykulował, nadal trzymając w ręku młotek.

Kobieta nie powiedziała im, że w domu był jakiś chłopiec i inna kobieta, poza tą, którą ona sama trzymała teraz za rude, kręcone włosy. Ich obecność była niespodziewana.

I to również ucieszyło Dziewczynę. Znaczyło bowiem, że Kobieta może się mylić.

Kobieta wykonała pojedynczy gest, którym wezwała wszystkich - nawet Drugą Zabraną, Królika i Ziemiójada, którzy pożywiali się leżącą na podłodze zdobyczą.

Idźcie! Za nimi!

Dziewczyna schowała nóż, a Pierwszy Zabraný wychodził już na taras, ale zamarł niczym jelen w połowie skoku, gdyż przez kuchenne okna wlał się blask samochodowych reflektorów i oświetlił Dziej-

czynę oraz związaną ofiarę, po czym światło przemknęło do pokoju obok. Wiedzieli, że nie są już dłużej sami.

Znalazłem ten dom, do cholery!

Steven skręcił w lewo ze Scrub Point Road i wjechał na jeszcze węższą drogę szutrową, na której stała skrzynka pocztowa z wypisanym nazwiskiem *Halbard*. Pojechał w górę wzgórza, aż dotarł na szczyt, a potem zjechał ostrożnie w dół po niewielkim zboczu. Zobaczył stojący w odległości kilkuset stóp dom. Wewnątrz paliły się światła, z przodu stał samochód Claire oraz jeszcze jakiś inny. Zaparkował za samochodem żony i zaciągnął hamulec ręczny.

Zgasił silnik i wyłączył reflektory.

Nagle otworzyły się drzwi od domu i widział, że wychodzą z niego ludzie, sylwetki sugerowały, że to dorośli, a za nimi szły mniejsze postacie, dziecięce.

Wysłali komitet powitalny.

Co to miało być, pieprzone cocktail party?

Ilu ich tam było? Wychodzili i wychodzili!

Szli w jego stronę aż nazbyt szybko, byli już przy samochodzie Claire i zachodzili jego mercedesa od obu stron... przyszło mu do głowy, że to zwiastuje kłopoty. Może jego żona wynajęła jakichś zbirów, aby dali mu łupnia, żeby zostawił w spokoju ją i Luke'a. Nie było to w jej stylu, ale nigdy nic nie wiadomo.

Poza tym nic się nie kleiło, gdyż połowa tych domniemanych osiłków wyglądała jak karły. Nie mógł pojąć sytuacji, w której się znalazł, ale tak czy inaczej nie podobało mu się to, co widział.

Na wszelki wypadek zamknął wszystkie drzwi i ponownie włączył światła. W samą porę, bowiem zdążył zobaczyć ostatnią wybiegającą z domu osobę.

Trzymającą topór.

No i nie była żadnym pierdolonym karłem.

Sięgnął do stacyjki. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w swoim życiu był przerażony, nawet kiedy patrzył na leżące nieruchomo, martwe ciało Marion, i zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, i zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Teraz z pewnością czuł strach. Adrenalina buzowała w jego ciele, pędziła w żyłach niczym ekspresowy pociąg do Waszyngtonu, a zwieracz zaciskał się mimowolnie. Mercedes wreszcie ożył i już miał wrzucać wsteczny, kiedy przypomniał sobie o hamulcu ręcznym; schylił się, żeby go zwolnić.

Obrócił się i zobaczył kobietę - *Boże, była większa od niego!* - wyciągającą rękę po siekiere, którą podawał jej mężczyzna. W tej samej chwili ktoś wskoczył na bagażnik auta i samochód zakołysał się pod jego ciężarem. Nagle nastąpiły dwie równoczesne eksplozje, z tyłu i z przodu, wszędzie poleciały kawałki szkła, a srebrzysta mgiełka osiadła na jego włosach, twarzy i ubraniu.

Złapał za drążek zmiany biegów. I choć z jego przedniej szyby została tylko ogromna pajęczyna pęknięć, dostrzegł zarys sylwetki tamtej kobiety.

Podnosiła siekiere do powtórnego uderzenia i walnęła w samochód po raz z drugi z taką samą, ogromną siłą. Kiedy Steven wreszcie wrzucił wsteczny, szyba spadła na jego kolana. Krzycząc, nacisnął nogą pedał gazu i samochód wystrzelił do tyłu. Zarzuciło nim, a tylny zderzak zarył o kamienisty podjazd. Zobaczył chłopca - dostrzegł go dopiero teraz - który stoczył się z bagażnika.

Przez wybitą szybę widział kobietę, mężczyznę i kilku innych. Próbowali go dogonić, a on nieprzerwanie jechał do tyłu, mając nadzieję, że nie ma za nim żadnych cholernych drzew, a przez popękana tylną szybę nie widział dosłownie niczego. Zresztą i tak nie potrafił oderwać oczu od tych ludzi. Większość była na wpół naga; piersi tej kobiety podskakiwały podczas biegu, a chłopiec, który skoczył na jego bagażnik, miał wyraźną erekcję. Widać, że to uwielbiali, byli jak jakieś niezniszczalne, dzikie zwierzęta albo duchy, nie nosili żadnych ubrań, jakby nic się ich nie imać. Po prostu biegli wprost na niego, nie dbali, że może ich rozjechać, że kamienie ranią ich stopy, a ryk silnika jest nie do wytrzymania. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że cały czas krzyczy, i przestał dopiero, gdy światła jego auta omiotły skrzyżowanie ze Scrub Point Road.

Nacisnął hamulec. Tamci, a przynajmniej ci, których widział z tej odległości, byli jakieś sto jardów od niego i biegli dalej, nie poddawali się, zbliżali się szybko. Wrzucił bieg, poczuł, jak wyrywa do przodu. Próbował wymanewrować, kiedy przed maską pojawił się mężczyzna. Facet rzucił czymś w jego stronę, odskoczył w bok i zniknął. Poczuł nagły ból zaraz nad lewym okiem. Młotek szczęśliwie przeleciał koło jego głowy i rozbił tylną szybę, uderzając w nią obuchem. Tkwił tak w szkle niczym oskarżycielski palec wymierzony w jego stronę.

Kręciło mu się w głowie bardziej, niż gdy był pijany w sztok, i ledwie udało mu się wyminąć kilka brzózek, które wyrosły spod ziemi, brakowało dosłownie kilku cali. Jego dłonie krwawiły, powbijały się w nie kawałeczki szkła, palce przylepiły mu się do kierownicy.

Poczuł mdłości, przewróciło mu się w żołądku.

Tracił przytomność, ulatywała przez jego palce wraz z krwią, spływała po czole. Walczył z utratą świadomości tak mocno, jak nigdy wcześniej. Nadal byli zaraz za jego plecami, całkiem niedaleko. A wokół jedynie czarna jak smoła noc.

22:05

Mercedes jechał prawie siedemdziesiąt na godzinę. I choć nikt nie miał zamiaru tej nocy przejmować

wać się wypisywaniem mandatów za przekroczenie prędkości, na drodze numer sześć było wystarczająco dużo ostrych zakrętów, że nie mogli przymknąć na tego błazna oczu, inaczej rozwaliby się gdzieś po drodze. Poza tym samochód jechał całą szerokością drogi, raz jednym pasem, a raz drugim, jak ranny myszołów.

Kiedy przejechali obok zamkniętego na głucho budynku, w którym niegdyś mieścił się wielobranżowy sklep Harmona, Harrison postawił na dachu koguta, włączył syrenę i kazali zatrzymać się delikwentowi na poboczu.

Staął tak nagle, że prawie w niego walnęli.

A potem wysiadł z auta.

Peters doznał olśnienia, kiedy to zobaczył. Tak właśnie różni wariaci strzelają do gliniarzy, którzy siedzą jak kaczki w swoich radiowozach, podczas gdy tamci strzelają przez przednią szybę. Odruchowo przygarbił się i sięgnął po swoją trzydzistkę ósemkę. Manetti i Harrison wysiedli z auta, klękli za otwartymi drzwiami i wycelowali broń w kierowcę. To samo zrobiłby Peters, tyle że był już zbyt stary, zbyt wolny i zbyt tłusty.

- Nie ruszaj się! - powiedział Manetti i gdyby nie lekkie drżenie jego policzków, nie sposób byłoby poznać, że jest wystraszony jak cholera. - Odwróć się i połóż obie ręce na dachu samochodu! W tej chwili! Już!

Mężczyzna stał nieruchomo i patrzył na nich niewidzącym wzrokiem.

Na moment zrobiło się naprawdę nerwowo.

Manetti powtórzył instrukcje.

Facet wyglądał na zaskoczonego, ale wreszcie odwrócił się i zrobił to, co mu kazano.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Peters wysiadł z radiowozu. Manetti i Miles Harrison podeszli już do kierowcy.

Miał na sobie przyzwoity garnitur, lecz i tak wyglądał niczym upiór - twarz miał zalaną świeżą krwią, która zachlapała mu drogą koszulę. Obsypany był jakimś świecącym proszkiem. Kiedy Peters podszedł do niego wystarczająco blisko, zobaczył, że jego dłonie również są całe we krwi.

Nie tego oczekuje się po facecie zatrzymanym za przekroczenie prędkości.

Ba, nie tego oczekuje się po kimkolwiek.

Manetti trzymał go na muszce, a Harrison obszukiwał.

Wiedzieli już, czym był ten srebrzysty proszek. W mercedesie brakowało przedniej szyby.

- Opowie nam pan, co się stało? - zapytał Manetti.

Facet zaczął coś bełkotać, jakby kompletnie mu odbiło.

Minęła chwila, zanim zdołali wyłapać z tej paplaniny coś sensownego, ale kiedy im się to wreszcie

udało, ich zainteresowanie tym mężczyzną jeszcze bardziej wzrosło.

Peters wziął z domu butelkę, ale jeszcze nie zdążył jej tknąć i w sumie był z tego zadowolony.

- Chwila, chwila - przerwał mu Manetti. - Mówi pan, że tam są dzieci? Dzieci... kto? Kobieta?

- Tam kobieta, jakieś *pierdolone* monstrum! Rozbiła mi *calajebaną* szybę! - Pokazał palcem na przód samochodu. - Mówię wam, tam był facet z cholernie wielką siekierą i... bóg jeden wie, ilu ich tam było. Biegli ze wszystkich stron! Przysięgam, że połowa z nich była naga jak...

- A czemu w ogóle pan tam pojechał?

- Zobaczyć się z żoną.

- Tam jest pańska żona? Może się pan już odwrócić, już w porządku.

Mężczyzna był biały jak prześcieradło.

- Nie widziałem jej - odpowiedział. - Nie wiem. Nie zdążyłem nawet wysiąść z auta.

- Pańska żona tam mieszka? - zapytał Peters. -Odwiedza... znajomych.

- Których? Jak się nazywają?

- Amy i David... jak oni... jak mają na nazwisko, do kurwy nędzy! Jezu, nie pamiętam... znamy się od., od...

Gadał nieskładnie, jakby ktoś włożył mu w dupę papryczkę jalapeno.

- Niech się pan spróbuje uspokoić - powiedział

Manetti. - Skąd się wzięła krew na pana rękach?

- Szkło! Mam na sobie wszędzie pieprzone szkło. Patrzcie, wywalili na mnie całą szybę!

Wyciągnął przed siebie ręce. Nie miał żadnych głębokich skaleczeń, Peters widział, że to w większości małe odłamki. Trochę zejdzie, zanim uda się je powymować, szczególnie że czekały na nich pilniejsze rzeczy.

Ludzie z tamtego domu przeżywali teraz piekło.

- Przypomniał pan sobie ich nazwisko?

- Pewnie, tak. Pamiętam. David i Amy... Jezu... Kurwa!

Kurwal

- A jak pan się nazywa? Proszę nam powiedzieć swoje imię.

- Steven. Steven Carey.

- Czy teraz jest pan w stanie powiedzieć nam, jak nazywają się znajomi?

-No...

Petersowi nie podobał się ten koleś. W jego spojrzeniu było coś dziwnego.

- Dobrze, a może nas pan tam zabrać? Pamięta pan drogę?

- No tak... ja...

- To w tamtym kierunku, skąd pan przyjechał, prawda? - Manetti wskazał palcem drogę za nimi.

- Tak. Wąska droga polna. Chyba trafię. Ale nie chcę... nie chcę tam wracać. Rozumiecie?

Jeszcze chwila i się rozpłacze.

- Proszę pana - powiedział Manetti - pańska żona i przyjaciele mogą mieć teraz kłopoty. Prawdziwe kłopoty.

- Wiem - odparł. - Dziecko też.

- Jest tam dziecko?

- Tak. Mój syn. Luke.

- Powinien pan spróbować nas tam zabrać. Ze względu na żonę i syna.

- Wiem.

- Spróbujmy.

- Kurwa, mówię wam, że nie chcę tam wracać. Nie macie pojęcia, jakie to jest pojebane... nie chcę...

Facet cały się trząsł, Peters miał wrażenie, że zaraz nogi odmówią mu posłuszeństwa. Widywał ludzi w stanie szoku, a temu tutaj niewiele już brakowało.

- Spokojnie - powiedział. - Hej. Spójrz pan na mnie. Niech pan na mnie patrzy.

Mężczyzna spojrzał na Petersa, który pokazał mu swoją trzydziestkę ósemkę. Potem powiedział do niego spokojnym, opanowanym głosem.

- Wszyscy mamy broń. Widzi pan? Poza tym zgłaszamy to od razu przez radio, komunikat pójdzie do każdej jednostki w okolicy, zanim się pan obejrzy. Nikt pana nie skrzywdzi, zadbamy o to. Po to jest w końcu policja. Okej?

Facet nie wyglądał na przekonanego.

- Czy widział pan tam jakąś broń? Mieli ze sobą strzelby, pistolety? Cokolwiek?

- Nie.

- Nic takiego? -Nie.

- No i widzi pan, o czym mówię.

- Mieli noże i siekiery.

- Ale żadnej broni palnej, tak? Mężczyzna przytaknął.

- No właśnie. Jest pan bezpieczny. Steven Carey nadal się wahał.

- Niech pan nie zwleka i wsiada do samochodu. Pokaże nam pan, gdzie jest ta droga, i znajdziemy pańskiego syna. No już. Zabandażujemy panu ręce i głowę, dobra? W radiowozie mamy apteczkę. Słyszysz mnie pan?

-Tak, ale...

- No to dobra. Idziemy.

Jeszcze trochę i facet spanikuje. Jeśli dozna szoku, to nigdy nie znajdą tej drogi, musieli się pośpieszyć i to cholernie. Peters wiedział aż za dobrze, że dla tamtych ludzi może być już za późno.

Wziął mężczyznę pod ramię i poprowadził do radiowozu. Ruszał się jak lunatyk.

- Proszę tutaj - powiedział i otworzył przed nim drzwi.

Wsiedli razem na tył.

Harrison i Manetti byli gotowi, aby ruszać.

Peters spojrział na siedzącego obok, wysokiego, dobrze zbudowanego i przerażonego faceta. *Słyszę cię*, pomyślał.

Włączyli syrenę, zawrócili i pojechali w stronę, z której przyjechał Steven Carey.

22:10

Naga dziewczyna prowadziła Amy jak niesfornego psa, szarpiąc za skórzane rzemienie, którymi przewiązano jej nadgarstki. Brnęli w ciemność.

Ścieżka była wąska, a nad nimi drzewa tworzyły naturalny dach, niby altankę, która nie przepuszczała zbyt wiele światła. Czuła się, jakby szła tunelem, długą, ciemną i krętą tubą, od czasu do czasu rozjaśnianą blaskiem księżyca.

Wszystko potęgowało jej przerażenie.

Gałąz muskająca jej policzek. Kolejne szarpnięcie za poły szlafroka.

Trzepot skrzydeł spłoszonego ptaka nad jej głową.

Miękkie i śliskie, rozkładające się *coś* pod jej posiniaczonymi i pokaleczonymi stopami.

Smród śmierci unoszący się z ich ciał.

Przeszli przez pole, a teraz szli w górę delikatnego zbocza. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Noc była ciepła, ale Amy i tak drżała na całym ciele. Wietrzyk szczypał jej odsłoniętą skórę, była to dla niej istna tortura.

Szli dalej skąpani w świetle księżyca. Zauważyła, że roślinność nad nimi nieco się przerzedziła. Znaleźli się na małej polanie na skraju lasu. Zbocze robiło się coraz bardziej strome. Na wzgórzu widziała ciemne zarysy wysokich drzew, odcinające się od jaśniejszego nieba.

Zobaczyła też napastników i natychmiast tego pożałowała, lepiej było ich nie widzieć.

Naga, nastoletnia dziewczyna. Dwóch bliźniaków, którzy biegli przed nią, jakby to wszystko było jakąś grą, przyjemną grą.

Co oni ze mną zrobią? Pomyślała. Z każdym krokiem powracało do niej to pytanie, krążyło jej po głowie niczym nieznośny ból, migrena.

Co mają zamiar zrobić?

Prócz tego zdolna była martwić się jedynie o Me-lisę, i nie potrafiła zebrać myśli, uwolnić się od całej lawiny przypuszczeń. Melissa była z Claire. Melissa *nie* była z Claire. Znaleźli Melisę, ale nie znaleźli Claire. Znaleźli tylko Claire i Lukea, ale nie Melisę. Każda z tych myśli, prócz pierwszej, była nie do zniesienia.

Zresztą temu pytaniu nie było łatwo się przebić, dominowała migrena, zaskakująco egoistyczne, wewnętrzne błaganie o pomoc, poszukiwanie jakiegoś wyjścia.

Co mają zamiar zrobić? *Ze mną.*

Wcześniej, kiedy szli po trawniku przy domu,

pozwoliła sobie - ale tylko raz - obejrzeć się za siebie. Nie było z nimi wysokiej kobiety, mężczyzny i może dwójki z tych dzieci. Nie wiedziała, gdzie poszli, i nie mogła nawet się nad tym zastanowić, bo wybiło ją z równowagi to, co zobaczyła.

Umorusanego chłopca z opadającą powieką.

I dziewczynę ubraną w skórę.

Chłopak niósł parę rąk uciętych w okolicy ramion.

Rąk Daida.

Widziała jego obrączkę ślubną i zegarek.

Dziewczyna w skórze miała pióra wetknięte we włosy i zawieszony na szyi diamentowy pierścionek, który kołysał się przy każdym kroku.

Niosła nogi jej męża.

Zarzuciła je sobie na ramiona i trzymała za stopy.

Idąca przed nią naga nastolatka miała w ręce żółte plastikowe wiadro, które Amy trzymała w szafce pod zlewem. Nie widziała, co było w środku.

I nie śmiała nawet o tym myśleć.

Prawie straciła przytomność, już czuła, jak osuwa się w ciepły, bezpieczny, ochronny kokon nieświadomości, czuła mgiełkę otaczającą jej myśli, która mogłaby otulić ją całą, gdyby tylko na to pozwoliła.

Jednak ponownie przyszły do niej nieproszone pytania - Co się ze mną stanie? Co mają zamiar mi zrobić? I czy mogę coś na to poradzić?

Zwały się one w jedno i podjęły zwycięską walkę z kokonem, rozrywając go od środka, aż nie pozostało

ani jedno włókno, które mogło się wokół niej owinać.

Poczuła wzbierający w sobie gniew za to, co zrobili Davidowi, wcześniej nie zdawała sobie sprawy ze złości płynącej w jej żyłach, a teraz wściekłość była częścią niej. Czowała też niewiarygodny wręcz strach, lecz i on został przysłonięty przez nurtujące ją pytania.

I choć jej ciało aż nazbyt odczuwało, przez co właśnie przeszła, miała czysty umysł. Widziała i słyszała wszystko.

Świerszcze, szum drzew, kłujący w oczy blask gwiazd.

Cieszyła się, że była w pełni świadoma, co się dzieje, nawet bolesny wiatr smagający jej nieosłonięte nogi wydawał się błogosławieństwem. Orzeźwiał ją. Dawał jej siłę.

Nie dbała już o to, czy sprawia jej ból, czy też nie; czy pomoże jej przetrwać. Myśli Amy zespoliły się z jej ciałem.

Nie przestała jednak zadawać sobie pytania, które wciąż tkwiło w jej głowie.

- Tędy, mam... tak sędzę. Jestem prawie pewien.

Zdawał sobie sprawę, że drży mu głos. Nie mógł nic na to poradzić. W nocy wszystko wyglądało zupełnie inaczej, nawet w blasku księżyca.

Poza tym uciekali przed kimś, spieszyli się. Był przerażony, a przez to zakłopotany. Wściekał się na siebie i chciało mu się płakać.

Claire nie niecierpliwiła się jednak ani nie rugała go w żaden sposób. Posłusznie dreptała za nim.

- Nic się nie dzieje, Luke - powiedziała. - Rozejrzyj się, na pewno znajdziemy.

Nawet nie był pewien, czy ten domek na drzewie to taki dobry pomysł, lecz mamie się chyba podobał - więc może nie jest taki zły - a to mu wystarczyło. Zawładnęło nim podniecenie graniczące ze strachem, bo czuł się teraz w pełni mężczyzną, mama ufała mu, że to, co robi, jest dla nich dobre. Nareszcie w ogóle *coś* robił.

Przeszli przez gęste krzaki i tym razem mieli szczęście, bo udało im się ominąć większość krzewów dzikiej róży, a mama zezłościła się na niego tylko raz, kiedy nadepnął na jeden z nich i krzyknął; powiedziała mu wtedy, żeby był cicho, ale potem, już spokojniej, dodała, że nie wiedzą, jak blisko nich są tamci ludzie i że mogą ich usłyszeć.

Powiedziała to tak poważnie, że od razu się uspokoił. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego mama szła na bosaka i miała na sobie jedynie cienką sukienkę. Była nieodpowiednio ubrana, ale on też - miał na sobie tylko swoją pidżamę. Po tym wypadku nie krzyknął już ani razu.

Choć chciał, bo bolało.

Ale teraz pod nogami mieli tylko mech i igły. Wchodzili po zboczach na szczyt wzniesienia, gdzie -jak mu się wydawało - był jeszcze tego popołudnia i patrzył na domek na drzewie. Był tego niemal pewien. Platforma powinna być zaraz na wzgórzu obok, lecz kiedy stanął i rozejrzał się wokół dwukrotnie, nie zobaczył jej na żadnym z drzew. Zniknęła. Za to usłyszał człapanie podążających za nimi potworów.

- To tam? - szepnęła Claire - Gdzie? Melissa zaczęła gaworzyć. Co, jeśli ją usłyszą?

Co, jeśli platforma była na trzecim wzgórzu, a nie na drugim? *Co, jeśli spieprzył sprawę?* Znowu zebrało mu się na płacz.

- Gdzieś tutaj... - rzucił i już prawie zaczął płakać.

Nie!

Co, jeśli wcześniej przyszedł tutaj od drugiej strony?

Polana powinna być na dole po jego... lewej... zaraz za polacją wysokiej trawy za domem i skarlowa-ciałymi drzewami.

Spojrzał w lewo. Księżyc świecił jasno, więc widział wszystko bez większych problemów, ale nie zobaczył żadnej polany, więc to na pewno nie tam.

A jednak jest! *Po prawej!* Biegając po ciemku, zboczyli z trasy. Zamiast pójść prosto, skręcili w prawo i dlatego natknęli się na dziką różę.

- W tę stronę! - powiedział.

Zbiegł z pagórka i pomknął w stronę kolejnego wzniesienia, które wydawało mu się wyższe niż poprzednio - może sprawiła to ciemność? Mrok potrafił płatać figle.

- Widzisz? - Wskazał palcem. - To tam. Chodźmy!

- Ostrożnie! - szepnęła.

Lukę jednak pędził już co sił w nogach. Widział wystarczająco dobrze, aby przesadzić jednym susem krzak dzikiej róży, wbiec na górę i czekać na mamę pod drzewem.

Tryumfował.

Ludzie nigdy nie patrzą w górę, pomyślała Claire. Przynajmniej tak się mówi. Jeśli chcesz coś ukryć, schowaj to na górze.

Ich życie zależało od ludowych mądrości.

I tak kluczyki od samochodu nadal tkwiły w torebce na kuchennym stole. Nie mieli jak się stąd wydostać. Tylko tutaj mogli przetrwać.

Lepsze to, pomyślała, niż bieganie w nocy po lesie z ośmioletnim chłopcem i niemowlakiem.

Myślała, żeby wbiec na drogę, lecz wtedy byliby doskonale widoczni przez jakieś ćwierć mili, poza tym musieliby znowu okrążyć dom, żeby się tam dostać.

A w domu nadal byli *oni* i nie miała zamiaru zbliżać się do nich, póki nie musiała tego robić.

Domek na drzewie wydawał się ich jedyną nadzieją.

Miał niewątpliwą zaletę - z platformy światła okolicznych domów będą doskonale widoczne. Co prawda znacznie oddalone, ale jednak widoczne. Kiedy więc zobaczą, że zbliża się jakiś samochód albo gdzieś zapalają się światła, będą wiedzieli, w którą stronę biec.

Modliła się o to nie bez powodu, bowiem widziała reflektory jakiegoś auta, kiedy biegli przez pole obsadzone wysoką trawą. Zatrzymała się wtedy na sekundę, sądząc, że może przybyła pomoc. Myślała, że nie ma przecież innego wyjścia.

A potem usłyszała, że samochód odjeżdża.

Steven? Możliwe, w końcu zawsze się spóźniał.

Ktokolwiek to był, musiało mu się udać uciec, była tego niemal pewna, gdyż auto mignęło jej później w oddali i mogła myśleć tylko o tym, że ten ktoś czym prędzej wezwie policję.

- Kładź się - szepnęła. - Połóż się na samym środku. Platforma jest chyba na tyle szeroka, że nie będzie nas widać z dołu. I pamiętaj, żeby się nie ruszać.

Luke zrobił to, co mu kazała.

Melissa wreszcie zasnęła - dzięki Bogu noc była ciepła i pogodna - a i samą Claire powoli zaczął morzyć sen.

Spojrzała w niebo, odgradzając się w myślach od

wszelkich dźwięków i obrazów, które przemykały w jej pamięci.

Nawet teraz, nawet tej nocy, gwiazdy przynosiły jej pociechę. Gdyby spróbowała - i *spróbowała* - mogła wyobrazić sobie dzieci wypoczywające w tym domku w spokojne, letnie wieczory, z daleka od świata dorosłych, pogrążone w snach.

Zastanawiała się, co widzi w gwiazdach Luke.

Amy powiedziała, że w ich domu mieszkał wcześniej jakiś lekarz z żoną i że mieli co najmniej dwójkę dzieci. Jedno z nich mieszkało tutaj z matką po śmierci ojca. Ten domek zapewne należał do nich. Teraz pewnie byli w wieku Claire, albo i starsi.

Pomyślała o Amy. Tam, w domu, słyszała jej krzyki. Odepchnęła od siebie to wspomnienie.

W najgorszym razie zostaną tutaj aż do rana i dopiero wtedy wyjdą na drogę. O ile dom będzie wyglądał spokojnie.

Całkowicie spokojnie.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała. *Mc nam nie będzie.*

Problem tkwił w tym, że ręce nie przestawały się jej trząść, czuła się tutaj całkowicie odizolowana. Bo właściwie *byli* odizolowani.

Prawie że... *uwięzieni*.

Istniała tylko jedna droga w dół.

Przypomniała sobie coś i nagle zdjął ją chłód.

Kiedy była jeszcze dziewczynką, miała wujka,

który prowadził farmę na północy stanu Nowy Jork. Był wielkim, silnym mężczyzną, mierzył ponad sześć stóp. A oprócz tego był strasznie cięty na dzieciaki i miał okropne poczucie humoru. Reprezentował ten typ ludzi, którzy, jeśli byłaś dziewczynką, przytulał cię i ocierał się o twój policzek dwudniowym zarostem, aż się rozplakałaś. A jeśli byłaś chłopcem, witał się z tobą, podając rękę, i ścisnął tak mocno, aż poleciały ci łzy.

Claire miała wówczas jakieś dziewięć, może dziesięć lat, a jej brat Adam około dwunastu. Wujek zaproponował polowanie na szopy. Jej ojciec był chłopakiem z miasta, urodzonym w Bostonie, i nigdy nie miał okazji chodzić na podobne wyprawy, więc się zgodził. Oczywiście dziewczyny nie mogły wziąć w tym udziału, ale Adam poszedł z nimi.

Opowiadał później, że brzmiało to ekscytująco - bieganie po ciemnym lesie z ujadającymi w oddali psami. No i faktycznie *było* ekscytujące. Aż do czasu, kiedy psy złapały szopa, a wujek wręczył mu strzelbę i kazał strzelać.

Adam potrafił obchodzić się z bronią. Miał swoją własną strzelbę i ćwiczył czasem na lokalnej strzelnicy. Spojrzał na skulonego z przerażenia szopa, który leżał wyczerpany w odległości jakichś piętnastu stóp od niego, wyglądał niczym futrzana kula. Zaczaił się w miejscu, w którym korzeń łączy się z pniem drzewa - łatwy strzał nawet dla kogoś

o połowę mniej doświadczonego. Psy warczały, skakały wokół niego, ujadając i kłapiąc szczękami, próbując się dostać do zwierzęcia. Ślina leciała im z pysków.

Adam spojrzał na tę scenę i powiedział: *nie*.

Wujek roześmiał się i zapytał dlaczego, czy boi się, że nie trafi? Brat Claire odparł, iż z takiej odległości każdy zdołałby trafić.

Wujek zapytał, czy aby na pewno, czy trafiłby prosto między oczy, czy w głowę. Adam odpowiedział, że gdziekolwiek, ale po prostu nie chce. Bo to nie polowanie, a egzekucja, jak wyznał potem siostrze. Spojrzał na ojca, szukając u niego wsparcia, ale tata sądził najwyraźniej, że to jakiś wiejski rytuał przejścia, który trzeba zaliczyć, i nie opowiedział się po żadnej ze stron.

Wujek to zauważył i uśmiechnął się. Powiedział, że albo Adam strzeli mu między oczy, albo on sam wypali szopowi w łapę i rzuci psom, które będą się nad nim pastwić przez całą noc. Tak czy inaczej, umrze. Adam musiał jedynie wybrać jak.

Strzelił. I nigdy więcej już nie polował.

Wiele lat później wujek zmarł na raka, w bólach. Zadzwońiła wtedy do brata, żeby powiadomić go o jego śmierci.

Żadne z nich nie poczuło nawet ukłucia smutku. Pamiętała tę historię tak wyraźnie, jakby dopiero co ją usłyszała.

Wręcz przeżyła ją ponownie.

Teraz ona była jak tamten szop. W nocnej ciszy niemal słyszała ujadanie psów.

Gdyby ich tutaj znaleźli, byłiby bezbronni.

Ludzie nie patrzą w górę, pomyślała.

Melissa spała, ale co, jeśli obudzi się i zacznie płakać?

Miała wrażenie, jakby obudziła się z pijackiego snu i przypomniała sobie, że zrobiła coś strasznego.

To było głupie, nie powinno ich tutaj być.

W tej chwili zapragnęła zejść, być na ziemi, biec, uciec. Niemal zakreśliła jej się w głowie.

Gdzie jednak mieliby pójść? Gdzie było bezpiecznie? Podobno półtorej mili stąd mieszkali jacyś ludzie, ale w którym kierunku?

- Mamo? - szepnął Luke. Uciszyła go.

- Mamo? *Słyszysz to?*

I wtedy usłyszała. Niedaleko od nich, jakby kobiecy szloch wywołany nadmiernym wysiłkiem. Znała ten głos i ucieszyła się, że ona nadal żyje, lecz po chwili poczuła strach, nie wiedziała, co się z nimi stanie; myśli te złączyły się w jedno niczym narodziny i śmierć. Płacz przytłumiły nieco odgłosy przedzierania się przez krzaki.

Odwróciła się do Luke'a i przyłożyła palec do ust. Skinął głową.

Czekali.

Wszystkie te dźwięki otaczały ich niczym duchy, zbliżały się nieustannie, powoli. Kiedy usłyszała dochodzący z prawej strony śmiech, zamarła. Ktoś stał pod platformą.

Jeśli była jeszcze jakakolwiek nadzieja dla Amy, musiała wyrzucić i zobaczyć, w jakim kierunku ją prowadzą. Rozpaczliwie chciała wiedzieć.

Nie było jednak mowy, żeby podniosła głowę, miała wrażenie, że jest sparaliżowana. Bała się, że nawet najmniejszy ruch może zbudzić Melissę, a wtedy jej gaworzenie rozejdzie się echem po okolicy.

Była szopem. Unieruchomionym. Nagła śmierć zmaterializowała się pod postacią sfory. Mogła jedynie szeptać.

- Zobacz, gdzie idą! - powiedziała.

Luke odwrócił się i lekko uniósł, podpierając się łokciem. Widziała, że patrzy prosto na nich.

Kiedy położył się z powrotem, spojrzął na nią szeroko otwartymi oczami.

- Mamo, to była Amy - szepnął. - Mają Amy!

- Wiem - odparła - dlatego to my musimy się zaopiekować Melissą i sprowadzić pomoc tak szybko, jak tylko się da.

- Nie możemy pomóc jej *teraz*? - zapytał - Mogą ją *skrzywdzić*.

Była z niego dumna - nie z powodu jego odwagi, bo to była typowo chłopięca brawura, głupia i naiwna,

lecz dlatego, że był porządnym, dobrym człowiekiem. Poczwała, że do oczu napływają jej łzy.

- Ilu widziałeś? - zapytała. Pomyślał chwilę i policzył na palcach.

- Pięciu - odparł. - Nie licząc Amy.

- Był z nimi mężczyzna? Taki duży? Pokręcił głową.

- No to nie możemy jeszcze iść. Boże! Jeszcze nie możemy. Nadal gdzieś tutaj krąży.

- Ale *mamo*...

- Nie możemy, Luke. Kocham Amy, wiesz o tym. Kocham ją... bardzo. Ale nie możemy.

I nikomu nie pomoże, jeśli się rozpłacziesz, dodała w myślach.

I wiedziała już, co czuł tamten szop, w pełni zrozumiała też swojego brata i jego nienawiść do ludzi, którzy potrafili postawić cię w niewygodnej sytuacji - w sytuacji, w której nie można było podjąć jedynej słusznej decyzji. Decyzji, która sprawi, że wszyscy ujdą z życiem. I wiedziała, że nie powinna winić się za to, że nigdy nie płakała za swoim wujem.

22:17

- *Halbard*, do cholery! Nazywają się Halbard!

- Chodzi o Davida Halbarda - powiedział policjant. - Scrub Point Road. Zgłoszę to.

Przypomniał sobie nazwisko od razu, kiedy tylko zaczął myśleć o czymś zupełnie innym.

A konkretnie - gdy myślał o tym, w co się właśnie wpakował.

Nie zdążyli odjechać daleko, zanim skręcili, widział jeszcze przez tylną szybę to, co zostało z jego samochodu.

Może to nowojorski akcent szeryfa sprowadził go na ziemię. A może whiskey, którą podał mu ten stary i dzięki której mógł opanować drgawki na tyle, żeby pomyśleć. Siedział w radiowozie z trzema gliniarzami - uznał, że ten gruby obok niego też jest z policji, choć na to nie wyglądał. Po pierwsze, miał zbyt wiele lat na karku, a po drugie, nosił przy sobie butelkę whiskey. Założył jednak, że też jest gliną.

Trzech gliniarzy.

I on, siedzący z tyłu obok tego starego. Trzech pierdolonych gliniarzy. *Kurwa!*

Nie wiedział, czego boi się bardziej - powrotu do tamtego domu czy tego, że utknął tutaj z trzema gliniarzami.

- Okej - powiedział. - Teraz już wiecie, gdzie jechać, prawda? Może mnie wypuścicie? Naprawdę nie chcę tam wracać. Bóg mi świadkiem, że nie chcę.

Szeryf zdjął palec z przycisku nadajnika radiowego.

- Przeżył pan szok, panie Carey. Zdajemy sobie z tego sprawę. Kiedy to zgłoszę, wezwę dla pana karetkę i przyślą sanitariuszy, którzy pana stąd zabiorą. Niech pan mi uwierzy, w tej sytuacji lepiej pozostać z nami.

- Naprawdę, już czuję się dobrze. Przypomniałem sobie nazwisko, co nie? Mogę pójść do swojego auta i...

- Pańskie auto to złom, panie Carey. Może pan nim jechać jedynie do warsztatu. Jutro rano się tym zajmujemy.

- No to poczekam sobie tutaj. Naprawdę nie chcę...

- Rozumiem, co pan czuje. Już to zgłaszam. Wszystko będzie dobrze, panie Carey, proszę mi wierzyć.

I pozamiatane, pomyślał Steven. Gliny. Kurwa. Poczul na sobie wzrok tego starego. Jakiś walnięty.

Widział kobietę uderzającą w przednią szybę jego auta siekierą. Widział grubą Marion leżącą na łóżku, jej język wystawał z ust jak kawał wątróbki, a kabel od suszarki wpijał się w jej szyję.

- Chodzi o Halbardów ze Scrub Point Road - powiedział szeryf.

- A wy gdzie jesteście? - zapytała dyspozytorka.

- Na szóstce, przy starym sklepie.

- Najbliżej jest wóz dwanaście zero, na Horse Neck Lane. Powiadomię ich.

- Okej. I powiadom wszystkie jednostki, żeby się szykowały, być może będziemy musieli ruszyć na poszukiwania.

- Przyjęłam.

- I sprowadź mi karetkę. Rozległe, ale płytkie rany, możliwy szok. Poszkodowany to Steven Carey, tablice z Connecticut M zero dziewięć siedem dwa, jeden pięć, jeden osiem cztery, jeden jeden trzy pięć trzy. Albo lepiej przyślijcie dwie karetki. Nie wiadomo, na co się tam natkniemy. Bez odbioru.

- Załatwione. Bez odbioru.

Nie podobało mu się to, że gliniarz podał jego imię i nazwisko. *Po cholere to zrobił?* Pewnie rutynowe postępowanie, ale jednak coś mu się tutaj nie podobało. Czuł, jakby wewnątrz auta zaczynało się zmniejszać, przednie siedzenie naciskało mu na kolana i wydawało mu się, że siedzący obok gliniarz trochę się przysunął. Oczywiście w głębi ducha wiedział, że to pierdoły, ale...

Rozpoznał drogę, którą właśnie podążali, na pewno jechał wcześniej właśnie tędy, a potem gnał na ślepo, uciekając, nie mając pojęcia, gdzie się kieruje. Zepsuty traktor stał w przydrożnym rowie, niebezpiecznie przechylony. Billboard z reklamą Jima Beana. Obie te rzeczy wyglądały niesamowicie samotnie, za towarzysza mając jedynie rozległe, puste pola.

Wjeżdżali na wzgórze. Zjazd na Scrub Point Road

znajdował się gdzieś po prawej. Zaraz za drugim albo trzecim zakrętem.

Coś było nie tak. Czuł to w kościach.

Z głośnika rozległ się głos dyspozytorki.

- Szeryfie? Proszę powtórzyć nazwisko poszkodowanego.

- Carey. Cezar-Anna-Robert-Ewa-Yeti. Steven Douglas.

Po drugiej stronie zapanowała krótka cisza - dosłownie sekunda na wzięcie oddechu - i Steven wiedział, że to, co czuł wcześniej, to wcale nie pierdoły, ale czekające na niego za rogiem poważne kłopoty. Miewał już wcześniej podobne przeczucia, które dopadały go niczym grom z jasnego nieba. Jeszcze zanim udusił Marion kablem od suszarki, widział tę scenę oczyma wyobraźni. To było skomplikowane uczucie - zimno, strach, ale jednocześnie przyjemne mrowienie - i odbierał je całym ciałem.

Spokojnie, pomyślał. Ostrożnie. Pomyśl.

Wijąca się droga. Jedziemy sześćdziesiąt. Zbyt szybko. Przed nami ostry zakręt, na pewno będzie musiał zwolnić. Trawiaste, strome zbocze. Gdzie prowadzi?

Wokół ani jednego auta, żadnych świateł. Drzwi od radiowozu nadal otwarte. Ale zaczekaj. Być może nic się nie dzieje. Siedzący obok gliniarz wpatrywał się w niego badawczo.

Radiowóz zaczął zwalniać, wchodzili w zakręt.

To na pewno nie jest nic, skacz!

- No tak też usłyszałam - powiedziała dyspozytorka. - To ciekawe. Przed godziną dostaliśmy rozkaz zatrzymania Stevena Douglasa Careya. Jest poszukiwany w związku z morderstwem...

Otworzył drzwi, a chłodny wiatr próbował wepchnąć go z powrotem do środka. Wyskoczył i uderzył w ziemię, turlając się w dół zbocza. Kamienie obijały mu żebra i uda, toczył się po mokrej trawie. Usłyszał pisk hamulców. Ześlizgiwał się bezwładnie po zboczu, wleciał w wysoką trawę, pałki i grube kępy cięły go po twarzy, zaparł się rękoma i nieco zwolnił, aż wreszcie zatrzymał się na jakimś mchu. Z góry dobiegł go trzask zamykanych drzwi. Wstał, choć kręciło mu się w głowie jak cholera, ledwie mógł utrzymać się na nogach. Potrząsnął głową i poczuł, jak od twarzy odlepia mu się błoto.

Pod stopami poczuł twardą ziemię i zaczął biec.

Snopy światła z latarek sunęły po polu, policjanci schodzili za nim na dół.

Będą go ścigać?

Marion, ty kurwo. Nawet jak jesteś martwa, dalej mi szkodzisz.

Początkowo nic nie widział, pędził na oślep, ale nie miało to znaczenia. Biegł przez kałuże, nie mając nawet pojęcia, gdzie jest, po prostu biegł i biegł, przedzierał się przez trawę, ślizgał na kamieniach,

wymachiwał rękoma, torując sobie drogę przez zarośla.

Nieważne. Liczyło się jedynie to, że był od nich coraz dalej, nie mógł zwolnić, musiał po prostu biec - przygotowały go do tego miesiące gry w piłkę ręczną. *Kurwa*, był silny jak tur, nawet nie dostał zadyszki, i był pewien jednej rzeczy - ten gruby na pewno go nie dogoni.

Pieprzę ich, pomyślał. *Pierdolę*.

Nie, nie złapiecie mnie. O nie, nie dacie rady. Zanim zdołacie się zbliżyć, ja zniknę, zniknę, zniknę jak chłodny wietrzyk.

The Blues Project, rok 1967.

Nigdy wcześniej nie czuł się tak wolny.

Słyszał swój własny śmiech niosący się po okolicy oraz echo rozdeptywanej przez niego gliny na skraju strumyka.

Pierdolę ich.

Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, choć i tak było całkiem jasno, księżyc świecił mocno, a chmury rozstały się, zobaczył więc wokół siebie gęsty las. Otaczały go tylko drzewa.

O tak, pomyślał. Las. Wiele miejsc, w których można się schować.

Zdjął z szyi nowo zakupiony, jedwabny krawat, rzucił za siebie i pobiegł dalej.

22:25

Manetti znowu wziął do ręki radio.

-...okej. Powiedzcie chłopakom ze stanowej, że zwiął jakieś sto jardów od skrzyżowania Scrub Point Road z szóstką. Wygląda na to, że idzie wzdłuż strumienia. Słyszeliśmy, jak rechocze niczym pieprzony szaleniec. Nie będzie trudno go znaleźć, jeśli nadal będzie się tak śmiał. Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

Peter utkwiał wzrok w ciągnącej się przed nimi drodze, wyglądał jakiegoś ruchu w ciemności, której nie objęły światła reflektorów.

Cieszył się, że Manetti nie tracił czasu na tamtego łachudrę, znał bowiem gliniarzy, którzy nigdy nie darowaliby sobie tego, że Carey wymknął im się z rąk. Nie pozwoliłoby im na to ich ego. Manetti miał jednak jasne priorytety. Ludzie w tamtym domu byli ważniejsi. I nawet jeśli ten facet faktycznie popełnił morderstwo, to i tak nie znajdował się na szczycie listy.

Wjechali na podjazd. Wyglądało na to, że w domu paliła się połowa świeceł.

Manetti zostawił na chodzie silnik oraz włączone reflektory.

Zgodnie z procedurą powinni poczekać na wsparcie, ale Manetti nie miał zamiaru tego robić. Z tego, co mówiła dyspozytorka, wynikało, że inne jednostki

będą na miejscu dopiero za kilka minut, a teraz nawet sekundy mogą być kluczowe.

Peters czuł, że jego dłoń, zaciśnięta na kolbie trzydziestki ósemki, jest mokra od potu. Wyszedł ostrożnie z wozu.

Harrison z latarką w ręku rozejrzał się po okolicy. Na podjeździe zobaczyli szkło z wybitej szyby Stevena Careya. Poza tym - nic.

Peters poszedł za dom. Zobaczył strome wzgórze i pale podtrzymujące taras. Budynek miał dwa piętra i być może piwnicę.

Drzwi prowadziły do kuchni. Podeszedł do wyłożonej cedrowym sidingiem ściany i ostrożnie zajrzał do środka przez okno. W zlewie stał wielki gar na homary. Na podłodze wałały się porozrzucane sztucce i jedzenie w puszkach. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Odczekał chwilę, aż nabrał co do tego pewności, i skinął na Manettiego i Harrisona, którzy stali z bronią przy drzwiach.

Harrison pociągnął za klamkę. Drzwi były otwarte. Popchnął je, a Manetti wkroczył do środka. Harrison wypadł zza ściany i osłaniał kolegę. Peters skreślił za róg i wszedł do korytarza - widział stamtąd sypialnię i klatkę schodową - a Manetti wszedł do pokoju robiącego za biuro. Peters dołączył do niego. Zapach krwi podpowiedział mu, co zaraz znajdą. I gdzie.

Zostawił za sobą lekko uchylone drzwi.

Dla wentylacji.

Zwłoki leżały na podłodze przy jednym z komputerów. Monitor i biurko pokryte były krwią. Podobnie jak ściany, stary piec i szklane drzwi przesuwne.

Martwy mężczyzna nie miał rąk i nóg.

Był wypatroszony, można było zajrzeć do jego wnętrza. W klatce piersiowej brakowało serca, nie było też wątroby i nerek, a w miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się jego genitalia, ziała jedynie dziura, z której wylała się pokaźna kałuża krwi -jakby ją z siebie wyszczał. Pewnie znajdą jego fiuta gdzieś pod stołem.

Manetti wpatrywał się w ciało.

- Ja pierdolę - powiedział.

Peters doskonale wiedział, co teraz czuł jego towarzysz. Spóźnili się, dopadła ich beznadzieja i zniechęcenie.

- To był naprawdę porządny człowiek - dodał Manetti i pokręcił głową. - Kurwa mać.

Peters dał mu chwilę na oddech.

- Halbard, tak? - zapytał. Manetti przytaknął.

Miles Harrison zszedł ze schodów. Kiedy wszedł do pokoju, zbladł, widząc leżące na podłodze zwłoki.

- Masz coś? - zapytał Manetti.

Jakoś się pozbierał, nie dał niczego po sobie poznać. Maska profesjonalizmu. Znał swoich ludzi.

Harrison zmusił się, żeby oderwać wzrok od ciała. Przełknął ślinę.

- Drzwi do jednej z sypialni zostały wyłamane. Na pewno był tam jakiś dzieciak, wszędzie porozrzucone są zabawki. Okno otwarte na oścież, może ktoś tamtędy uciekł, albo przynajmniej próbował. W drugim pokoju leżą walizki z damską odzieżą, perfumy. W sypialni na dole stoi łóżeczko dla dziecka i duże łóżko małżeńskie. W szafie wiszą rzeczy męskie i damskie.

- Poczekaj - powiedział Peters. - Łóżeczko dziecięce? Mieli tutaj jakiegoś bajtla?

Harrison spojrzał na niego, zapewne myśląc nad tym, co usłyszał. Peters mógł się założyć, że doszedł do tych samych wniosków co on - jeśli coś mogło się spieprzyć bardziej, to właśnie się spieprzyło.

-1 ono tutaj było przez cały ten czas?

- Urodziło im się dziecko, chyba córka - powiedział cicho Manetti. - Kilka miesięcy temu.

Peters znowu poczuł uciskający ból, odzywający się gdzieś z tyłu głowy. Może czaił się tam już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności, dopuścił go do siebie. Westchnął i pomyślał o butelce, którą trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie, to zły pomysł. Może ci ludzie mają w łazience jakąś aspirynę.

- Zaraz wrócę - powiedział.

Stał w łazience z trzema tabletkami w ręce, kiedy

usłyszał jakieś poruszenie w korytarzu - głosy i szybkie kroki. Peters wyrzwał przez drzwi.

Manetti i Harrison stali na progu. Wyglądało na to, że mieli zamiar wyjść z domu.

- Hej, co się dzieje? - zapytał.

- Ktoś krzyczał - odparł Harrison i wyciągnął broń. - Tam, na zewnątrz.

Claire zobaczyła blask reflektorów i podziękowała w myślach Bogu.

Wydawało jej się, że są na tej platformie już od wieków. Modliła się o to, żeby Melissa nagle się nie obudziła, żeby żaden z napastników się tutaj nie zjawił i żeby wreszcie ktoś posłał jej jakiś znak -i otrzymała go. Samochodowe reflektory przedzierające się przez noc, oznaczające bezpieczeństwo i szansę ucieczki.

Lukę również je zobaczył.

- Świetnie! - powiedział.

Nie mogła liczyć na to, że policja przeszuka las, na pewno nie zrobią tego od razu, może nawet będą czekać aż do rana. A tamci ludzie nadal tutaj grasowali.

No i była z nimi Amy. Na pewno nie odeszli daleko.

Musiała zejść na dół.

Niemal natychmiast poddała w wątpliwość swój własny osąd, co z pewnością było efektem szoku po rozwodzie. Dziewięć lat temu wyszła na spotkanie czemuś, co wydawało jej się wtedy *prawdziwą* przygodą, którą może przeżyć wspólnie dwójka ludzi; pragnęła miłości, zaangażowania, domu i rodziny. Zdecydowała się na to, gdyż sądziła, że zna swojego partnera. Okazało się, że było zupełnie inaczej.

A skoro to schrzaśniała, to co jeszcze mogła spieprzyć? Pewność towarzysząca podjęciu właściwej decyzji była teraz niczym płochliwy żrebak - nie mogła nawet złapać lejców.

Miała jednak pewność, że gdzieś tam jest Amy. I dwadzieścia lat przyjaźni nie pozwalało na żadną wątpliwość odnośnie tego, co powinna teraz zrobić.

- Ja pierwsza - powiedziała.

Zawinęła Melissę w koc. Dziecko otworzyło oczy i uśmiechnęło się. Claire odwzajemniła uśmiech. Natrafiła stopą na pierwszy stopień i zaczęła ostrożnie schodzić.

Spojrzała na przyczajonego na platformie Luke'a. Patrzył na nią uważnie, gotowy złapać ją, gdyby omsknęła jej się noga. Łagodna bryza podwiewała jej lekką sukienkę.

Kiedy wcześniej wchodziła na górę, wyczuła tylko jeden luźniejszy stopień i właśnie na niego trafiła. Przyłgnęła do drzewa, usiłując postawić stopę wzdłuż przybitej do pnia deseczki. Melissa przypatrywała się

jej uważnie, marszcząc brwi i wybałuszając oczy. Stała wreszcie na stopniu, który zaskrzypiał pod jej ciężarem, ale wytrzymał.

Zeszła na ziemię. Zobaczyła sylwetkę wyglądającego z platformy Lukea.

- Schodź! - szepnęła.

Przeszedł z platformy na drabinkę. Claire rozejrzała się na boki. Poczła nagle irracjonalny, nakazujący im pośpiech lęk. Pomyślała, że policja zaraz stamtąd odjedzie, że kiedy dotrą do domu, ich już nie będzie i zostaną sami w pustym domu Amy, gdzie nadal unosiło się echo krzyków.

Lukę zeskoczył obok niej. Objęła go prawą ręką i przytuliła. Potrzebowała kontaktu, musiała upewnić się, że jej syn był przy niej cały i zdrowy.

Poszli razem wzdłuż ścieżki. Nachodzące na księżyc chmury zmusiły ich do przyśpieszenia kroku. Dróżka była ciemna i wąska. Przeszli powoli ciasnym przesmykiem pomiędzy wzniesieniami i wyszli po drugiej stronie. Melissa zaczęła płakać i wymachiwać rączkami. Claire przytuliła ją do piersi, głaskała i poklepywała, aż wreszcie dziewczynka uspokoiła się.

Gdy znaleźli się na szczycie kolejnego pagórka, spojrzeli w stronę przysłoniętego drzewami domu. Niebo nad nim było nieco jaśniejsze. Nadal widziała światła radiowozu.

Policja. Bezpieczeństwo.

Zaczęli schodzić.

Chmury odsunęły się na bok i przez moment szli w świetle księżyca, ale wkrótce gałęzie drzew zamknęły się nad ich głowami, przysłaniając światło.

Potknęła się, na drodze leżało pełno kamieni. Szybko stanęła na nogi, lecz Melissa wybuchnęła płaczem, ze złości i z zaskoczenia. Claire głaskała ją, poklepywała i kołysała delikatnie w zmęczonych ramionach.

Las ponownie przerzedził się, byli więc doskonale widoczni. Jeszcze kilka jardów i wyjdą na otwarte pole.

- Idziemy - powiedziała. - Pośpiesz się.

Lukę próbował ją wyprzedzić, ale coś kazało Claire go odepchnąć - walnęła go tak mocno, że prawie upadł. Nie miała jednak czasu na wyrzuty sumienia ani nawet na poświęcenie jednej myśli temu, co zrobiła, gdyż drogę zastąpił im mężczyzna, zasłaniając wpadające pomiędzy gałęzie światło księżyca.

Ty sukinsynu, pomyślała. Odsuń się.

To nieuczciwe. W myślach nadal widziała reflektory i sygnały, wyobrażała sobie delikatne ręce policjanta sięgającego po Melisę, widziała, jak biegną przez las z wyciągniętą bronią, biegną po Amy.

Strach i wściekłość walczyły ze sobą w jej ciele niczym wojujące roje czarnych i czerwonych mrówek. Nie wiedziała, co zrobić.

Odejdź.

Bała się go - jego siły, smrodu ekskrementów i pewności siebie. Jego oczu wściekłego psa. Lśniącego ostrza siekiery.

Złościła ją jego arogancja, to, że *ośmiela* się ich straszyć. Kobieta, chłopca i dziecko.

Złościło ją jego tchórzostwo.

Ale bała się jego siły.

Jednocześnie myślała o ataku i ucieczce, choć wiedziała, że żadne nie jest rozwiązaniem, nic w ten sposób nie zyska. Cokolwiek nie zrobi, padnie tutaj trupem, u jego stóp. Mogła wyobrazić sobie swoje własne, wijące się w przedśmiertnych drgawkach ciało. Wiedziała, że istnieje tylko jeden sposób, aby mogli przeżyć - musiała zrobić obie te rzeczy naraz, rozdwoić się, uciec i zaatakować w tej samej chwili. I to mogło okazać się możliwe, bo nie była tutaj sama. Nie była sama od wielu lat.

Było ich dwoje.

- Luke!

Chłopak skamieniał, gapił się na napastnika.

Wcisnęła mu dziecko w ramiona. Mężczyzna zrobił krok naprzód.

Omiotła wzrokiem ziemię. Żadnego kija, nic, czym mogłaby się zamachnąć, lecz na ścieżce leżało mnóstwo kamieni, przykucnęła więc i złapała jeden z nich, wbijając palce w twardą ziemię. Nie chciał jednak wyjść, siedział zbyt mocno i zbyt głęboko, ziemia nie chciała poluznić swojego uścisku.

Mężczyzna zbliżał się. Podniósł w górę siekiere.

Padła na kolana i pociągnęła kamień mocniej, dyszała, wywołane frustracją łzy leciały jej po policzkach.

Czuła, że Luke robi krok w tył. Dobrze. Odwróciła głowę.

- Biegnij! - krzyknęła. Melissa zaczęła ryczeć.

- Mamo?

- *Uciekaj!*

Mężczyzna był krok od nich. Zaczęła wstawać, aby od jej syna dzieliło go chociaż jej własne ciało - tyle mogła zrobić - i wzięła głęboki oddech, jakby to ona przygotowywała się do biegu. Stała wyprostowana, przygotowana do konfrontacji, gotowa przyjąć na siebie cios, a może nawet gotowa go zranić.

Ale mężczyzna tylko na nią spojrzał, chwilowo zmieszany. Potem jego wzrok powędrował w kierunku Luke'a i zrozumiała, kto jest dla niego ważny i co zamierza zrobić.

- *Nie!* - wykrzyknęła i rzuciła się naprzód, próbując chwycić mężczyznę.

Odepchnął ją na bok, ale chociaż na chwilę wytrąciła go z równowagi. Zerwał się do biegu, ale nawet leżąc, chciała mu przeszkodzić i uczepiła się jego nóg. Wydał z siebie zaskoczony dźwięk i przewrócił się. Gruchnął o ziemię, ale zaraz podniósł się i odwrócił do niej z siekierą w ręce. Uderzył ją trzonem w twarz,

poczuła smak krwi, lecz nie puszczała jego nóg, choć jej uchwyt zdecydowanie osłabł. Wiedziała, że z każdą sekundą kupuje Luke'owi więcej czasu i trzymała mężczyznę, nawet kiedy obraz przed oczami zaczął się jej rozmazywać i widziała już tylko mroczki.

Udało mu się uwolnić jedną nogę i odepchnąć Claire kopniakiem. Walił ją po twarzy, tym razem połknęła już nie ślinę, a krew. Wybił jej zęba i coś zaczęło wbijać się jej w podniebienie. Puściła go i mężczyzna od razu wyciągnął drugą nogę. Umazane błotem ręce Claire opadły bezwładnie na ziemię.

Leżała i patrzyła, jak mężczyzna wstaje i rozgląda się za Lukiem. Nasłuchuje. Z trudem podniosła się na kolana.

Lukę uciekł. Nie było go w zasięgu wzroku. Na ścieżce próżno było szukać jakiegokolwiek ruchu.

Pomimo bólu poczuła euforię zwycięstwa i pogardę dla mężczyzny.

Było ich dwoje, a teraz jedno z nich było wolne.

Radość nie opuściła jej nawet wtedy, gdy mężczyzna złapał ją za włosy i brutalnie postawił na nogi. Jej krzyk rozniósł się echem w ciemności.

Kobieta skradała się ostrożnie przez paprocie i krzaki.

Patrzyła na idącego w ich stronę mężczyznę, drepczącego wzdłuż strumienia. Był zmęczony.

Wyglądający zza jej pleców Ziemiojad i Królik również patrzyli w jego kierunku - Ziemiojad jedynie sporadycznie, żuła bowiem kawałek skrzyphu, delektując się słodkim smakiem.

Kobieta nie rozpoznawała mężczyzny i jego obecność niepokoiła ją. Był dziwacznie ubrany, miał na sobie rozchełstaną marynarkę, której klapy majtały się po bokach. Rękawy miała tak krótkie, że wystawała z nich koszula, wyglądał, jakby wziął ubranie od kogoś mniejszego.

Może od swojej ofiary.

Zdziwił ją też szeroki uśmiech tego mężczyzny.

Nie był to ten rodzaj uśmiechu, który miał na twarzy Królik - nawet teraz - to nie uśmiech głupca. A jednak krył się w nim ten sam brak rozsądku. Mężczyzna oddychał ciężko, zboczył z brzegu i szedł teraz, brodząc w wodzie, nogawki spodni miał ciężkie od błota. Był sam, zmęczony, zagubiony w lesie.

Mimo tego nie bał się, lecz uśmiechał.

Nie przypominała sobie, aby widziała go wcześniej, ale sprawiał wrażenie, że czuje się tutaj swobodnie. Wyglądał, jakby przynależał do tego miejsca.

Tak jak jej ludzie.

Przez chwilę poczuła ukłucie lęku.

Kiedy podszedł bliżej, widziała w jego uśmiechu hardość, oczy błyszczały mu chłodem. Widziała, że tak jak i oni, czerpał przyjemność z polowania.

Ale w przeciwieństwie do niej, mężczyzna był słaby.
Musiała tylko patrzeć, jak oddycha.

Instynktownie wyczuła w nim rywala do krwi dziecka. Nie potrzebowała go. Ten człowiek może mieć wiedzę, być sprytny. Siła fizyczna to nie wszystko. Patrzyła jednak na niego z ciekawością, którą rzadko kiedy odczuwała. Poza Krową, nigdy nie zabrała dorosłego mężczyzny, a Krowa nie był przecież nawet w pełni mężczyzną. Patrzyła, jak przybysz idzie przez strumień, robiąc małe, dziecięce kroczyki. Chciała go zabić, sprawić, że z jego ust zniknie ten uśmiešek. Najpierw musi się jednak dowiedzieć, *dlaczego* się uśmiechał.

Poczekwała, aż przejdzie obok nich, i wyłoniła się z krzaków za jego plecami. Weszła do wody, wyciągnęła nóż i wtedy ją usłyszał. Zaczął się odwracać, ale nie zdążył - sprawnym ruchem przecięła mu ścięgna w lewym kolanie.

Mężczyzna popatrzył na nią zdziwiony i upadł, trzymając się za ranę.

Wpatrywał się w nią oczami zasłoniętymi przez mgiełkę bólu.

Zostanie tutaj, nigdzie się już nie ruszy.

Nie krzyknął ani nie zapłakał, po prostu leżał w wodzie i patrzył na nią zdziwiony, kiedy gestem przywołała do siebie Królika i Ziemiajada.

Rozejrzała się, aby zapamiętać punkty orientacyjne, i ruszyli wzdłuż strumienia.

Obejrzała się na niego tylko raz, zanim zaczęli biec - usłyszeli bowiem kobiecy krzyk.

Udało mu się wyczołgać z wody i położyć na brzegu. Nasłuchiwał.

Kobieta widziała raz wilka z łapą uwięzioną w pułapce. Wilk szarpał się, próbował wydostać, aż wreszcie wyrwał pułapkę z ziemi, doczłapał się na szczyt wzgórza i stanął tam na trzech łapach. Dyszał i wył z wściekłości pod nocnym niebem, kłapiąc szczękami.

Ten mężczyzna wyglądał teraz zupełnie jak tamto zwierze.

22:42

Mary, robię się za stary na takie rzeczy. Mieli rację. Powinni mnie zostawić w cholere.

Serce Petersa waliło, jakby Joe Morello wygrywał solówkę na swojej perkusji, do tego w przyśpieszonym tempie. Nie potrafiłby uspokoić oddechu, nawet gdyby usiadł na pół godziny i poczekał na ich powrót. Trzęsły mu się nogi, a stopy bolały go jak cholera, ale Manetti i Harrison byli jedynie dwadzieścia stóp przed nim, tyle że oni zbiegali już ze wzniesienia, a on dopiero doczłapał się na szczyt i próbował zebrać siły na dalszy bieg.

Obejrzał się przez ramię na dom. Podali przez radio swoją pozycję i powiadomili bazę, dokąd się

udają, lecz wsparcia nadal ani widu, ani słychu. Poza światłami ich własnego radiowozu, nie widać było żadnych innych.

Zdał sobie sprawę, że źle przygotowali akcję. I po części była to jego wina. Powinni skupić się na okolicznym terenie, trzymać w pogotowiu kilka wozów, nie dalej niż kilka mil od domu Kaltsasów, ostrzec tamtejszych mieszkańców, a nie wybierać się na wycieczkę aż do Lubec i z powrotem. Nie rozproszyliby się wtedy. Lecz wówczas nie mieli jeszcze takiej wiedzy jak teraz. Trudno było stwierdzić, gdzie te sukinsyny mogły pójść.

Poszedł za nimi na dół, choć jego nogi opierały się przed rozpędem, którego nabierał; młodsze nogi zmęczyłyby się dopiero w połowie drogi na drugie wzgórze, a jego oponowały przed biegiem, bał się, że upadnie.

Zanim zbiegł na sam dół, Manetti i Harrison byli już w połowie wzniesienia.

Kiedy wbiegł na górę, oni byli już poza zasięgiem jego wzroku.

Poczuł się jak zalewana falami łódź na pełnym morzu podczas burzy - kiedy nie można nawet zobaczyć horyzontu. Z miejsca, gdzie się znajdował, widział jedynie wierzchołki drzew. Stał na szczycie.

Człowiek kontra grawitacja.

Jego biedne nogi drżały, tracił równowagę i mało brakowało, a przewróciłby się do tyłu i spadł. Stał

przez chwilę i dyszał, próbując zlokalizować swoich towarzyszy, aż wreszcie udało mu się ich dojrzeć. Stali przy kilku rosnących na skraju lasu sosnach i patrzyli w jego kierunku. Czubki drzew przytulały się do siebie, niczym palce dłoni złączonych w modlitwie. Czekali na niego, liczyli, że staruszek weźmie się w garść i dołączy do nich.

Wydawało mu się, że go zauważyli. Zrobił kilka kroków - przyszły mu dość łatwo teraz, kiedy był na płaskiej powierzchni. Dali mu kilka sekund, nabrał więc wiatru w żagle i dopiero kiedy był jakieś piętnaście stóp od nich, weszli pomiędzy drzewa, najwyraźniej uważając, że jest już wystarczająco blisko, że ich drużyna ponownie jest w pełnym składzie. A i on sam wchodził właśnie w mrok, jego źrenice poszerzyły się, przyzwyczajając do ciemności. I wtedy usłyszał pierwszy strzał i poczuł ból. Upadł na ziemię, a trzydziestka ósemka wyleciała mu z rąk i wylądowała w krzakach. Butelka, którą nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki, pękła, owionął go nieświeży smród whiskey.

W jego klatce piersiowej tkwił kawałek stali. Usłyszał pełen bólu krzyk Harrisona, brzmiący teraz o kilka oktaw wyżej niż normalnie, jak u nastolatka.

Kobieta była tak samo zaskoczona jak i oni. Ale była szybsza.

Królik też - był może nawet i szybszy od niej. Przebiegł obok dwóch mężczyzn stojących przed nią i dopadł grubego z tyłu. Rzucił się na niego, powalił na ziemię i pchnął nożem.

Patrzyła na tę scenę kątem oka, gdyż sama sięgnęła po uzbrojoną w pistolet rękę młodszego, wyższego mężczyzny, złamała mu nadgarstek i pociągnęła w swoją stronę. Broń wypaliła w powietrze, a ona chwyciła swój ostry nóż i przecięła nim jego spodnie, skórzany pas, koszulę, aż ostrze zatrzymało się na mostku. Cięcie było głębokie i długie, oblał ją strumień ciepłej krwi. Ziemiojad rzuciła się na niższego z mężczyzn, skoczyła na niego i oplótła nogami w pasie, a lewą ręką złapała za ramię. Próbowwała wyłupić mu oczy stalową łopatką i nagle Kobieta - wrażliwa na wszystko, co działo się wokół, niczym jastrząb przelatujący nad ich głowami - zobaczyła, że lewa strona twarzy Ziemiojada eksploduje, gdy mężczyzna przyłożył do jej oka lufę pistoletu i nacisnął spust.

Ten młodszy, którego rozcięła, padł na kolana, zszokowany próbował wepchnąć swoje wypadające z bulgotem wnętrzności z powrotem do środka. Głowa Ziemiojada opadła bezwładnie na bok, jak kwiat na złamanej łodydze. Drobne kawałki spadającego na ziemię ciała wydały dźwięk przypominający odgłos kropli deszczu opadających na porzrzućane liście, kawałki kory i paprocie. Królik też zauważył, co się

stało, bowiem dźgnął starego mężczyznę raz jeszcze i wstał. Podbiegł do człowieka, który zrzucił z siebie jego siostrę, i wskoczył mu na plecy. Zwłoki Ziemio-jada zwały się na ziemię. Królik ciał.

Mężczyzna wypalił raz jeszcze na oślepa. Kobieta podbiegła do niego i kopnęła go w pierś. Obróciła się i wbiła mu nóż w szyję, przebijając tym samym jego gardło. Wyciągnęła ostrze. Królik zeskoczył na ziemię. Mężczyzna złapał się za szyję, wypuścił z ręki broń. Kobieta złapała nóż obiema rękami i wbiła mu go raz jeszcze, tym razem w kark, wpychając ostrze tak głęboko, jak tylko się dało. Przebiła krąg szyjny, a potem mózg.

Mężczyzna drżał na całym ciele, z jego ust wypłynął potok ciemnej krwi tętniczej. Wreszcie upadł.

Noc znowu była cicha.

Krew na jej twarzy i piersiach zaczynała przysychać.

Po raz pierwszy Królik się nie uśmiechał.

Kobieta pozbierała ich pistolety.

Nie mogła jednak znaleźć broni tego grubego. Uznała, że poleciała gdzieś w krzaki.

Stała przez chwilę nad jego ciałem i przyglądała mu się uważnie. Wyglądał znajomo, jakby gdzieś już, dawno temu, widziała jego twarz. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć.

Jego marynarka zdążyła nasiąknąć krwią w miej-

scu, gdzie Królik pchnął go nożem. Kopnęła go w razie czego w żebra. Nie poruszył się.

Spojrzała na niego raz jeszcze.

Ten człowiek był dla niej zagadką. Skądś go знаła.

Teraz miała jednak na głowie inne rzeczy.

Przede wszystkim niemowlę.

Niedaleko stąd krzyczała kobieta, miała więc nadzieję, że Pierwszy Zabraný zdołał ją odnaleźć, odnaleźć ich wszystkich, również chłopca i dziecko. Zależało jej jednak głównie na dziecku, którego duch może zmasać nieszczęście przyniesione przez nieprzelaną krew.

Po tamtym wrzasku nie było już dalszych krzyków.

Musieli więc iść i sprawdzić to osobiście.

Podniosła ciało Ziemiójada i zarzuciła sobie na barki. Nie patrzyła na ziejącą ranę. Nie było potrzeby zastanawiać się, jak kto umarł.

Królik szedł za nią w milczeniu. Ciepła krew Ziemiójada spływała po jej plecach i skąpy wała na ziemię, która nadała jej imię. Skierowała się w stronę morza.

Lukę schował się pod drzewem, w cieniu zbudowanej na drzewie platformy, i spojrzał w stronę ścieżki. Tam, gdzie była jego mama i tamten mężczyzna.

Widział ich bardzo wyraźnie.

Jedną ręką trzymał jego matkę za włosy i ciągnął za sobą po ziemi - płakała, próbowała zapierać się nogami. Nagle pociągnął ją mocno i przystawił ostrze siekiery do jej pleców.

Ostrzeżenie.

Mężczyzna szarpnął ją za włosy, a ostrze wbiło się w jej ciało. Syknęła z bólu.

Podobało mu się krzywdzenie innych.

Luke nigdy w życiu się tak nie bał.

Przypomniało mu się coś, o czym nie myślał już od dłuższego czasu. Pewnej nocy zszedł na dół, zbudzony ze snu podniesionymi głosami, i zobaczył swoją matkę stojącą przy lodówce. Ojciec trzymał ją jedną ręką za gardło, a w drugiej trzymał szklanekę. Raz z niej popijał, a raz przystawiał do twarzy jego matki, jakby miał zamiar ją uderzyć, i cały czas krzyczał, że to nie jej sprawa, co robi z własnym czasem, i że będzie wracał do domu wtedy, kiedy mu się, *kurwa*, będzie chciało, a jeśli coś jej nie pasuje, to może iść się *pierdolić*, i ma na niego czekać albo iść spać, co sobie, *do chuja*, chce.

Używał brzydkich słów i to nie tak, jak koledzy Luke'a ze szkoły, dla żartów. Trzymał mamę za szyję, choć ona prosiła, żeby ją puścił. *Proszę, Steven*. Próbowała powstrzymać płacz, widział to.

I wtedy on się rozplakał, choć nawet tego nie zauważył. Rodzice usłyszeli go jednak. Ojciec odwrócił

się i zobaczył go, a wtedy wreszcie puścił mamę, która podeszła do niego i zaprowadziła z powrotem do sypialni.

Nazajutrz chciała porozmawiać. Ale on nie chciał.

Dziwne, lecz teraz żałował swojej decyzji.

Znowu bał się, że coś jej się stanie.

Melissa wydawała z siebie niezadowolone pomrukiwania i to również sprawiało, że się bał. Nie była co prawda głośno, ale mężczyzna i tak mógł ją usłyszeć, jeśli czegoś nie zrobi.

Nie wiedział jednak co.

Zbliżali się.

Matka mówiła mi, że musi być ostrożny z dziećmi, że kiedy są jeszcze małe, łatwo je zranić nawet gdy się tego nie chce. Gdyby Melissa była w jego wieku, po prostu zasłoniłby jej usta rękoma i uciszył... ale co, jeśli tak zrobi i ją skrzywdzi?

Jezu, byli już naprawdę blisko!

Jego matka zanosila się płaczem, podczas gdy mężczyzna nadal trzymał ją za włosy i groził siekierą. Lukę pomyślał, że zapewne ich nie słyszy, ale i tak *stali zbyt blisko i musiał zrobić coś z Melissą*. Spojrzał na nią. Wyglądała jak malutkie zwierzątko, bał się, że ją skrzywdzi, ale zdecydował się zasłonić jej usta, gdyż tamten mógł ich usłyszeć, odszukać i zabrać ze sobą. Łzy leciały mu po policzkach, ale nie mógł już zabrać dłoni, bo Melissa zaczęła płakać

jeszcze głośniej, najwyraźniej bojąc się tego, co jej robił. Zaczęła ryczeć, wyrywać się i odpychać go, Luke mógł myśleć jedynie o tym *jak bardzo, ale to bardzo mu przykro i że to tylko na chwilę*. Nacisnął mocniej, bowiem dziewczynka krzyczała coraz głośniej, i przestraszył się, że naprawdę ją skrzywdzi, poza tym zachciało mu się iść do toalety. Obserwował swoją mamę i ciągnącego ją za włosy mężczyznę. Kiedy przechodzili obok nich, mama płakała piskliwie, przeszywająco, prawie upadła, próbując się podnieść. Jęczała i szurała stopami po ziemi, a dźwięki te zagłuszały płacz Melissy - wiedział, że uratowała go już po raz drugi.

Ledwie odważył się oddychać.

Trzymał rękę na ustach Melissy, dopóki mężczyzna i jego matka nie zniknęli za wzniesieniem. Powoli poluzował ucisk i zaczął zdejmować dłoń, tak delikatnie, jak tylko potrafił, aż wreszcie zabrał rękę. I kiedy zobaczył, że dziecku nic jest, że Melissa jest cała i zdrowa i tylko wpatruje się w niego zdziwiona, uniósł ją i pocałował w czoło tuzin razy. Kochał ją tak mocno, jak nikogo w całym swoim życiu.

Melissa popatrzyła na niego, jakby zastanawiała się, na czym polega ta nowa i dziwna gra. I uśmiechnęła się.

Lukę poczuł, że coś chwytą go za żołądek i ściska. Oddala się od niego. *Mama*. Zaraz zniknie mu z oczu.

Odejdzie. Utraci ją.

Nagle ogarnęło go przerażenie - że jeśli nie podąży za nimi, nigdy więcej już jej nie zobaczy. *Wiedział*, że tak będzie.

Był tego pewien tak samo jak tego, że chodził do trzeciej klasy, że jego mama uważała, iż w jego pokoju jest wieczny bałagan, i że u niego w domu, na podwórku, stoją należące do niego rower i deskorolka.

Nigdy więcej jej nie zobaczy! Straci ją!

Mamo!

Była to wizja tak straszna, że musiał się z niej otrząsnąć.

Bał się tamtego mężczyzny, był *okropny*. Gorszy niż Jason, gorszy niż Freddy Krueger - gorszy niż *ktokolwiek*.

A jeśli jego matka odejdzie... zostanie *sam*.

Serce biło mu coraz szybciej, był tak *wystraszony*, że panika ścisnęła go za gardło, musiał coś zrobić i to *już*, bowiem mężczyzna oddalał się coraz bardziej. Nie mógł czekać na pomoc, bo właśnie tracił z oczu swoją mamę, a policjanci byli daleko stąd, straciłby zbyt wiele czasu - poza tym tamten radiowóz mógł już odjechać, zniknąć, *mogło* tak się stać. Musiał iść za mamą, znaleźć ją, trzymać się blisko i nie spuszczać jej z oczu.

Miał już ruszać, kiedy przypomniał sobie, że nadal trzyma w ramionach Melissę. Jak miał ją ze sobą zabrać?

Przecież od razu się rozryczy! Zmoczy pieluchę czy coś takiego i wybuchnie płaczem!

Przez moment był całkowicie zmieszany, niemal przeklął mamę, że zostawiła z nim dziecko... i nagle poczuł, jakby w ciągu jednej sekundy stał się starszy, mógł myśleć jaśniej i rozsądniej. Nie wiedział, że może być zdolny do tak dojrzałego zachowania, że może nawet jest gotów, aby to zrobić - aby pójść za nimi i nie zostać złapanym, a może nawet pomóc mamie.

Pomóc mamie.

Wspiał się po drabinie na platformę.

Położył Melissę na jej środku, zawinał jeden róg koca, aby utworzył prowizoryczną poduszkę, i zawinał dziewczynkę w resztę materiału. Opatulił ją mocno, aby przypadkiem się nie przeziębila, choć noc była całkiem ciepła.

- Wrócę po ciebie - szepnął.

Melissa odpowiedziała mu czknięciem i wyciągnęła w jego stronę swoje małe rączki.

- Nie martw się.

Zszedł na ziemię i pobiegł sprintem na wzgórze.

Poczuł, jak kamień spada mu z serca, kiedy zobaczył ich w dole, zmierzających powoli w stronę polany.

Mężczyzna popychał brutalnie jego matkę, krzywdził ją, ale liczyło się to, że mogła stać, iść, że była żywa.

Przycupnął za krzakami, w cieniu, zbliżając się jedynie na tyle, aby nie stracić ich z oczu. Linia życia rozpięta pomiędzy nim a matką nadal była mocno napięta.

Chwilę później usłyszał wystrzał. Brzmiał jak wybuch petardy, ale Lukę wiedział, że to broń.

Być może nadciągała pomoc, a być może nie. Miał jednak nadzieję, że to pierwsze. Nie był to jednak jego problem, bo wystrzał rozległ się daleko stąd.

Teraz martwił się jedynie o to, aby nie zgubić mamy. Mieć ją w zasięgu. I tym sposobem sprawić, że pozostaną rodziną.

Dorastał. Po cichu. Stojąc w zaroślach.

23:15

Gdzieś rozległ się dziecięcy płacz.

W jaskini było ciemno i nie widziała niczego poza wątłym światłem ogniska. Amy słyszała jęki i chrzęst łańcucha. Płacz dziecka sprawił, że pomyślała o Me-lissie, ale ten głosik z pewnością nie należał do niej.

Znała głos swojej własnej córki.

Dziewczyna wepchnęła ją do środka i przekazała skórzane rzemienie, którymi nadal były związane ręce Amy, komuś innemu. Z początku nie mogła dojrzeć komu, lecz po chwili zobaczyła kucającą przed

ogniem postać, która wrzucała do paleniska gałązki, a potem większe kawałki drewna i polana. Ogień buchnął i zobaczyła w jego świetle, że to jeden z bliźniaków, ale to drugi chłopiec trzymał rzemienie.

Słyszała, że dziewczyna postawiła na ziemi plastikowy kubek. Ogień lizał ściany jaskini, po których tańczyły cienie. Teraz widziała wszystkich bardzo wyraźnie - także nastoletnią dziewczynę o poranionym, pokrytym bliznami ciele, która wyciągnęła z leżącego przy wejściu stosu ubrań męską, wyblakłą już niebieską koszulę, za dużą o kilka rozmiarów, i zarzuciła sobie na ramiona. Spłoszona mysz przemknęła w cień.

Rozejrzała się po grocie i odniosła wrażenie, że poczucie rzeczywistości ucieka od niej tak jak ta mysz. Daleko stąd.

Na ścianach porozwieszano skóry.

Niektóre z nich potrafiła zidentyfikować. Szop, skunks, jelen.

Inne wyglądały obco, były blade i niemal przezroczyste.

Nie chciała na nie patrzeć i odwróciła głowę.

Zobaczyła, że starali się utrzymywać tutaj prowizoryczny porządek. Wszystkie ubrania, narzędzia, broń i inne rzeczy poukładane były w stosy, lecz nie pod względem funkcji, a rozmiaru.

Małe rondle, puste puszkę, a także i te pełne, niewielki, połamany koszyk wiklinowy, zaśniedziały,

miedziany świecznik i brudny pluszowy miś leżały razem na jednej kupie. Jeszcze mniejsze rzeczy - łyżki, widelce, szpule nici, klucze i breloki, połamane okulary, portfele, monety, korkociąg i bambusowe krzesło z domku dla lalek - piętrzyły się bezpośrednio u jej stóp.

Inna sterta leżała mniej więcej w połowie jaskini, pod ścianą. Składały się na nią nieco większe przedmioty. Dwa powyginate garnki na homary, stary, sosnowy stołek do dojenia krów, którego nogi przeżarte były przez mole i umazane zaschniętym błotem oraz morską solą. Obok rzucono drewnianą szachownicę, plastikowy baniak po wybielaczu o pojemności pięciu galonów i pusty transporter dla kota. Na rozwalonym magnetofonie leżała walizka oraz wygięta metalowa rurka.

Na podłodze pełno było wybielonych ludzkich kości, ciągnęły się od ściany do ściany. Żuchwy. Czaszki. Zwierzęce i... inne.

Zobaczyła, że chłopiec z chorym okiem i dziewczyna ubrana w zdjętą z kobiecych piersi skórę zajęci są nabijaniem odciętych rąk i nóg na dyndające pod sufitem, podwieszane na łańcuchach zardzewiałe haki. Kończyny bujały się od prawej do lewej, chlapiąc krwią.

Nie należały już do Daida.

Gdyby myślała o tym w inny sposób, stworzyłaby

drzwi, które powinny zostać szczelnie zatrzaśnięte; drzwi, które znajdowały się poza tą jaskinią, wychodzące na białe, jasne światło, na pustkę. Dziecko dalej płakało.

Teraz je zauważyła, leżało na posłaniu z sosnowych igieł i patyków, przykrytym przybrudzonym kocykiem z osmolonymi od ognia krawędziami. Nie było starsze niż Melissa.

Leżało nagie. Dziewczynka.

Poczuła smród i od razu zobaczyła, co jest jego źródłem. Pomiedzy nóżkami dziewczynki widoczne były wydalone przez nią ekskrementy.

Pozostali zupełnie ignorowali dziecko.

Było głodne, poczuła, że bołą ją sutki.

W tym tygodniu zaczęła podawać córeczce stałe jedzenie, zaczynając od odrobiny ryżu Beech Nut wymieszanego z jedzeniem dla dzieci.

Nadal miała piersi pełne mleka.

Za moment zacznie z nich ciec, to automatyczny odruch. Poczuła nagle ukłucie wściekłości, poczuła się zdradzona, została porzucona nawet przez własne ciało.

Nie mogła już liczyć nawet na nie. *Wściekła się.* Nie pozwoli na to. Odwróciła głowę.

Powinna być teraz z Melissą, ze swoim własnym dzieckiem, we własnym domu. Nie z tą... kreaturą... która w wieku trzech miesięcy była tak samo spa-

czona, jak reszta z nich, taplała się w swoich własnych nieczystościach.

Nie chciała nawet myśleć o tym dziecku. Leżało tam tylko po to, aby zadawać jej ból, wyciskać z oczu łzy, osłabić ją.

Nie może sobie pozwolić na słabość.

Jest martwe, pomyślała. Zabiłam je.

Do diabła z dzieckiem.

Bliźniacy stanęli obok niej i popchnęli w stronę ognia, w głąb jaskini. Nie próbowała się opierać, nie było sensu. Nie, kiedy miała związane ręce. Widziała, jak silna była tamta dziewczyna...

...widziała, jak powaliła Dauida, jej ramiona owinęły się wokół niego jak węże, otworzyła usta i...

Ponownie usłyszała tarcie metalu o metal. Zobaczyła mężczyznę przykutego do ściany, siedzącego w mroku jaskini. Próbował się wychylić do przodu, lecz nie pozwalały mu na to łańcuchy. Jego ciało było wychudzone i tak blade, że nawet pomarańczowo czerwony blask ognia nie był w stanie go rozświetlić. Miał niewidzące, puste oczy i patrzył nie tyle na nią, co w jej stronę, jakby była przezroczysta. Popchnęli ją, aby poszła dalej, i zatrzymali się kilka stóp od niego. Posadzili ją na ziemi i brutalnie przycisnęli do ściany.

Wyglądało to tak, jakby mężczyzna nawet nie zauważył, że usiadła obok. Otworzył usta, a raczej jego wymizerowana szczęką opadła sama. Do środka

natychmiast wleciały muchy, sadowiąc się na zębach i języku.

Od razu zrozumiała, skąd wzięły się muchy.

Mężczyzna siedział w kałuży moczu, a pomiędzy nogami zalegały odchody; a właściwie otaczały go całego.

Zdała sobie sprawę, że musi siedzieć tutaj od wielu dni. W swoim własnym moczu i kale.

Poczuła, że zbiera jej się na wymioty.

Muchy wyczuły obecność Amy i zaczęły latać wokół jej twarzy i ramion.

Machnęła ręką, żeby je przepędzić, na co bliźniacy zareagowali śmiechem, musiała bowiem wyglądać nieporadnie ze związanymi rękoma.

Podeszła do niej dziewczyna, chłopcy rozstąpili się.

Stała naprzeciw niej i rozwiązała rzemień na lewym nadgarstku, po czym założyła jej ręce za plecy i zawiązała z powrotem, ciasno.

Uśmiechnęła się i przesunęła palcami po długich, brązowych włosach Amy, ciągnąc za splątane kosmyki, wyciągając listki i gałązki. Zmierzyła wzrokiem jej ciało od stóp do głów.

Amy zorientowała się, że ma na sobie jedynie rozchylony szlafrok, cienkie majtki i stanik. Dziewczyna obląpiała ją wzrokiem.

Wreszcie odwróciła się i podeszła do ognia. Chwilę później wróciła do Amy z nożem i linką do wieszania prania.

I to nie ostrza przestraszyła się Amy, ale właśnie linki, ponieważ nóż posłużył dziewczynie jedynie do ucięcia jakichś piętnastu stóp sznurka, potem upuściła go na ziemię, w kałużę moczu. Linkę zarzuciła na wystający z sufitu kawałek skały.

Amy patrzyła na kołyszącą się linkę - dziewczyna zawiesiła sznurek na wysokości jej szyi, ogarnęła ją panika i zaczęła się szamotać. Ale bliźniacy podeszli do niej i złapali ją za ramiona, w rękach trzymali noże. Gdy przystawili ostrza do jej żeber, poczuła dotyk zimnej stali na swoim ciele, lecz nie przebili jej skóry. To jednak wystarczyło w zupełności.

- Proszę — powiedziała.

Spojrzała na dziewczynę. Wydawała się zupełnie skupiona na zawiązywaniu pętli na lince, nie słuchała jej.

Próbowała kilkakrotnie, zanim się jej udało. Mała pętla na końcu sznurka.

Zbyt mała na moją szyję. Nie wystarczy.

Czyli nie chcą jej zabić. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Dziewczyna pociągnęła za linkę, pętla zacisnęła się.

Złapała Amy za włosy i pociągnęła tak mocno, że kobieta krzyknęła. Dziewczyna chwyciła spory kosmyk, przeciągnęła przez pętlę, szarpnęła za linkę i wypuściła włosy z ręki. Sznurek trzymał je mocno.

Amy poczuła, jakby w głowę ukłuło ją naraz tysiąc igieł, lecz mogła wytrzymać tę torturę, lepsze to niż powieszenie, lepsze niż pozostawienie Melissy, niż śmierć w tej norze, z muchami włączającymi jej do oczu i nozdrzy, dzieckiem krzyczącym o mleko, które nosiła w piersiach. *Wywęszyło je.*

Mogła to przetrwać. I przeżyć.

Wiedziała, że da radę przeżyć.

Aż dziewczyna sięgnęła po drugi koniec linki i pociągnęła, pomagali jej bliźniacy. Stopy Amy oderwały się od chłodnej ziemi i zawisła w powietrzu, a ból zwiększył się tysiącrotnie, wypalał dziurki w jej skórze; wisiała w powietrzu z otwartymi ustami, zamartwiona w zdławionym, gardłowym krzyku.

Muchy wlatywały jej do ust i wylatywały z powrotem.

23:47

W miejscu, gdzie ścieżka skręcała w stronę klifów, Kobieta przekazała zwłoki Ziemiajada Królikowi, kładąc je na jego barkach. Z rozoranej przez kulę szyi nadal lała się krew, spływając na mech i porosty.

Patrzyła za nim, aż zniknął jej z oczu, kierując się w stronę jaskini.

Dobrze znosił ciężar, który na niego spadł. Wyrośnie na silnego mężczyznę - tak silnego jak

Pierwszy Zabranym. O ile kiedyś wyrobi w sobie zdrowy rozsądek.

Nie natknęła się na żaden ślad po Pierwszym Zabranym, krzyczącej kobiecie, chłopcu i dziecku. Najlepiej będzie, jeśli wszyscy wrócą do jaskini. Jeśli okaże się, że ich nie znalazł, przegrupują się i zdecydują, co dalej.

Było jeszcze wcześniej. Księżyc świecił jasno. Mieli mnóstwo czasu na polowanie.

Skreśliła obok wzniesienia w stronę strumienia, stąpając ostrożnie przez gęsty las, chcąc trafić do miejsca, w którym zostawiła unieruchomionego mężczyznę.

Nie mógł ująć zbyt daleko.

Zobaczyła go przy brzegu, leżał na boku, a obok stały jego buty. Próbował przywiązać do rany długą, czarną skarpetę. Z bólu trzęsły mu się ręce, ciągle wszystko wylatywało mu z rąk - jakby nie miał już w nich sił. Nie mógł zacisnąć węzła. Pod maską z zakrzepłej krwi jego twarz była przerażająco blada. Kiedy się zbliżyła, jego oczy zapłonęły.

Me waż się do mnie podejść, kurwo.

Ten mężczyzna był naprawdę niebezpieczny.

Fascynujące.

Wilk w potrzasku.

- Ty walnięta zdiro, odwal się ode... Wyciągnęła nóż. Uklękła przy nim i przystawiła mu go do nosa, celując między oczy. Odczekała, aż

zimna stal zrobi na nim należyte wrażenie, aż wygaśnie w nim ogień i nabierze szacunku do niej i do tego, co mogłaby z nim zrobić.

Włożyła sobie oklejoną taśmą rączkę noża do ust i wzięła do obu rąk dwa końce skarpety. Pociągnęła i zawiązała mocno, na dwa razy.

Mężczyzna syknął przez zaciśnięte zęby.

Wstała i włożyła nóż do pochwy. Mężczyzna spojrzął na nią, przymykając oczy. Widziała, jak spogląda na pistolety, które zatknęła sobie za pas.

Uśmiechnęła się. Ten wilk będzie gryzł, jeśli dostanie okazję.

Podowała mu rękę.

Ujarczmi wilka. Jeśli jej się nie uda, zabije go. Zdecyduje w swoim czasie.

Stała w świetle księżyca i patrzyła, jak jego oczy wodzą po jej poznaczonej bliznami twarzy i po starej ranie przecinającej włosy. Widziała, że te oczy pełne są lęku, i to napawało ją radością. Ale wiedziała też, że będzie spiskował, snuł plany, a to już wcale jej nie cieszyło.

Jego oczy były jak wąskie szparki. Lśniły w blasku księżyca. Za nimi wił się z bólu wilk.

Wyciągnie z niego tego wilka, jeszcze będzie kłapał szczękami.

Przyjął jej wyciągniętą dłoń.

Pomogła mu się podnieść i wstać, podparł się o jej ramię. Mężczyzna nie patrzył już na nią, utkwiał

wzrok w ziemi i ostrożnie mierzył kroki. Z łatwością pokonywali kolejne odcinki lasu, weszli na wzgórze, a potem poszli drogą, którą wcześniej przemierzył Królik. Potem do klifu i nad morze.

Zaprowadzi go do swojego leża. I do jego klatki.

23:55

Luke trzymał się skał, chował się za nimi, kiedy szedł po plaży.

W wodzie stojącej w zagłębieniach pomiędzy głazami widział wodorosty, które machały do niego, jakby były pajakami z wyjątkowo długimi odnóżami, i wystawały spomiędzy przyklejonych do kamieni wąsonogów. Wszystko wokół upstrzone było białym guanem i połamanymi trupkami lądowych krabów.

Patrzył pod nogi i jednocześnie obserwował tych, których śledził. Dwie ciemne postacie zostawiające wyraźne ślady w mokrym piasku.

Z tej odległości nie słyszał już swojej matki. Może mężczyzna przestał ją krzywdzić na tyle, że nie musiała już płakać, a może to zasługa dystansu albo ryczącej fali, która obmywała kamienie w wąskim, dzielącym ich przesmyku. Może jednak nadal płakała? Trudno powiedzieć, bo słyszał jedynie fale.

Nie miał żadnego planu ani pomysłu na to, co zrobić, kiedy już dotrą na miejsce. Wiedział tylko, że powinien za nimi iść i nie pozwolić, aby mężczyzna

zauważył jego obecność. I w sumie to tyle. Zastanawiał się, ile jeszcze godzin pozostało do świtu. Może do tej pory ktoś nadejdzie. Domyślał się jednak, że dzień nie nastanie jeszcze przez długi czas, i nie miał pojęcia, co do tej pory zrobić. Pewnie iść za nimi. Przecież mogą tak iść i iść w nieskończoność. A przynajmniej do rana. To akurat możliwe.

Mężczyzna ciągnął za sobą Claire, trzymając ją za sukienkę, nie nadążała za nim. Szedł szybkim krokiem, a ona potykała się co jakiś czas. Nie zatrzymywał się wtedy, ciągnął ją dalej, aż wreszcie wstawiała i zaczynała znowu iść.

Trudno było utrzymać ich tempo.

Był już zmęczony i obolały, a stopy piekły go od chodzenia po wąsonogach, muszlach i kamieniach. Lepiej szło mu się bliżej wody, po mokrym piachu, no i były tam kamienie, za którymi mógł się schować.

Powietrze było tutaj wilgotne i mroźne dzięki idącemu od morza, słonemu wietrzykowi. Chciało mu się pić.

Dotarł do miejsca, gdzie głazy ciągnęły się w stronę wody, i stanął przed pewnym problemem. Zatrzymał się na chwilę, aby wszystko przemyśleć. Albo zaryzykuje i pójdzie plażą, bez żadnej osłony - *a wtedy mężczyzna mógłby go zobaczyć* - albo będzie musiał trzymać się linii skał. I musiał szybko podjąć jakąś decyzję, bowiem oddalali się od niego, już teraz byli aż nazbyt daleko.

Kamienie albo mężczyzna.

To pierwsze brzmiało bardziej zachęcająco.

Podszedł do następnego głazu na czworaka, gdyż było bardzo ślisko. Fale podmywały całą plażę i wypełniały wszystkie dołki i zakamarki, a każda kolejna była większa od poprzedniej. Jego pidżama była już cała przemoczona, włosy miał ciężkie od wody. Nieraz musiał wejść w kałużę, co było niebezpieczne, gdyż nigdy nie mógł być pewien, jak bardzo jest głęboka albo co w niej było - kraby, węgorze - ukryte za unoszącą się na powierzchni pianą.

Wdrapał się na niski, płaski kawał granitu. Pod stopami poczuł specyficzną wilgoć.

Coś tutaj rośnie.

Przeskoczył na okrągłej szy, wyższy kamień. Tutaj stanął pewniej. Przykucnął i wdrapał się na następny, nawet jeszcze większy, którego powierzchnia błyszczała od miki, i wlaźł na niego. Następnie musiał skakać, bo reszta kamieni prowadziła w stronę brzegu, poza jednym, ostatnim. Ten uformowany był w delikatny stożek, płaski na szczycie i długi, lecz w połowie przykryty wodą, oddalony o kilka stóp.

Wziął głęboki oddech, przykucnął i skoczył.

Kiedy znalazł się na kamieniu, poślizgnął się i musiał paść na płask, aby nie stracić równowagi. Ale był tutaj, udało mu się. Wstał i rozejrzał się, aby zobaczyć, czy odeszli daleko, ponieważ to wszystko zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Powinien był

zaryzykować i pójść plażą, przez piasek. Zobaczył ich. Byli tak daleko, że nawet jeśli mężczyzna nagle by się odwrócił, to i tak zapewne nie dostrzegłby Luke'a. Chłopak zaczął przechodzić na kolejny głaz, tym razem było już łatwiej, bo głazy szły z powrotem w kierunku lądu, lecz nagła fala podmyła go i przewróciła.

Zrzuciło go z kamienia. Wpadł pod wodę, która zalała mu usta. Nogami dotknął gruntu i udało mu się odbić, wypłynął, ale znowu poszedł na dno. Poczł, że wodorosty trzymają go mocno, niczym niewidzialne szczypce ogromnego kraba, ciągną go w dół. Bolały go płuca.

Ponownie udało mu się wypłynąć, wydostał się na powierzchnię i otworzył oczy, wciągnął zimne powietrze w płuca, kaszlnął. Zobaczył, że ku niemu nadciąga kolejna fala, wznosi się, a za nią kolejna i jeszcze kolejna, odbijało się w nich księżycowe światło.

Gdzie był? Jak daleko do brzegu¹?

Odwrócił się, unosząc na wodzie, próbował zebrać się w sobie, lecz spieniona fala pochwyciła go i poniosła do przodu. Zobaczył, że gna w kierunku ciemnych, połyskujących skał niczym rekin i coś podpowiedziało mu, żeby się zanurzył.

Wziął oddech i rękoma zasłonił głowę, pozwolił fali się nieść. Poczł, że koziółkuje w wodzie, obraca wokół własnej osi, jakby jechał kolejką górską. Próbował wyciągnąć przed siebie ręce, ale uderzył przed

ramieniem w skałę i momentalnie stracił w nim czucie. A po sekundzie przedramię zapłonęło żywym ogniem bólu. Fala zaniosała go na piasek, uderzył mocno w ziemię, poharatał sobie podbródek i klatkę piersiową. Udało mu się wypłynąć na powierzchnię, ale coś uderzyło go w brzuch, pozbawiając tchu. Woda wypłuła go prosto na tępą krawędź kolejnego kamienia.

Zgiął się wpół, obsypał go piasek.

Przewrócił się na plecy.

Słonawy wiaterek owiewał mu policzek.

Podniósł najpierw głowę, a potem tułów.

Powoli dochodził do siebie, piasek tworzył wokół jego ciała wzorki, niby miniaturowe okopy. Siedział tak, ciężko dysząc, a fale delikatnie obmywały jego nogi, a potem rozpaczliwie próbowały wciągnąć go z powrotem, poziom wody podnosił się na wysokość jego ramion, które dryfowały bezwładnie na powierzchni.

Nie miał pojęcia, gdzie był.

Bolało go lewe ramię. Podbródek, pierś i brzuch paliły go, smagane chłodnym wiatrem.

W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl - zgubił ich. Nie zastanawiał się nawet nad tym, że przed momentem omal nie zginął. Obawiał się, że kiedy się odwróci, ich już nie będzie, że w czasie, kiedy spadł z kamienia i walczył z falą, oni zdążyli już odejść, zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu.

Podparł się ramieniem i oddalił od siebie chęć płaczu, *potrzebę* płaczu, i spojrział w stronę plaży.

Był teraz bliżej nich niż wcześniej.

Tak niewiarygodnie blisko, że przestraszył się nie na żarty.

Widział ich bardzo wyraźnie, jego matka miała rozdartą sukienkę w miejscu, gdzie trzymał ją ten mężczyzna; jej włosy lśniły w promieniach księżyca, miała mokrą twarz, od błota i łez. Odwrócili się plecami do Luke'a i poszli w stronę wysokich, postrzępionych klifów.

Padł na piasek i leżał nieruchomo jak kłoda. Patrzył, jak idą pod górę.

CZEŚĆ PIĄTA

13 MAJA 1992

NOC

00:00 PÓLNOC

Claire weszła do jaskini i od razu w jej stronę zwróciło się kilka par oczu. Usłyszała trzaskanie ognia i szum fal dochodzący z dołu. Oraz jęki Amy.

Mężczyzna wepchnął ją do środka i stanął w wejściu, blokując wąski otwór, jakby obawiał się, że mogłaby uciec. Jakby w ogóle mogła to zrobić po tym, jak zobaczyła Amy.

I to, co jej zrobili.

Zakryła twarz dłońmi, przyciskając mocno oczy. Pokręciła energicznie głową, walcząc z nagłym atakiem mdłości.

Aż wreszcie przeszły.

Opuściła ręce i zacisnęła dłonie w pięści. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się wokół.

Zanim odszedł na emeryturę, jej ojciec pracował jako nauczyciel w szkole w Brookline w stanie Massachusetts. Uczył angielskiego i zawsze lubił filmy, tak samo jak Jane Austen czy Prousta (choć pewnie nie aż tak bardzo jak Hardyego, Joycea czy Henryego Millera), lubił o nich mówić i nawet zabierał ją ze sobą do kina pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, kiedy to liczyła się jeszcze szczerza, autorska wizja, kiedy amerykański widz wolał zapłacić za bilet na film zakorzeniony w jego własnym życiu, a nie eskapistyczne melodramaty i komedie.

Bonnie i Clyde. Easy Rider. Ta przekłeta niedziela. Dzika banda. Chłodnym okiem. Absolwent. Pięć łatwych utworów.

Ojciec kochał te filmy aż do końca swojego życia. Ona zresztą podzielała tę miłość.

I choć był on człowiekiem niezwykle łagodnym, oglądał filmy krwawe jak wojna w Wietnamie czy zamieszki w Chicago, ale w wielu przypadkach przemoc była tam zamierzoną metaforą, tworzyła pewne tło, również historyczne. Gdy ktoś mówił o brutalności w kinie, ojciec lubił ripostować słowami Akiry Kurosawy:

„Być artystą oznacza nigdy nie odwracać wzroku.”

On sam nie był artystą, choć niekiedy, w niedzielne popołudnia, lubił malować coś błotnistymi akwarelami. Claire także nie posiadała tego rodzaju zdolności, lecz z cytowanych słów zawsze interesowała ją ta druga część, mądrość kryjąca się w umiejętności nieodwracania oczu. W przypadku Stevena zrobiła zupełnie odwrotnie, odwróciła się i ignorowała jego problemy z piciem - nie zważała na to, co było oczywistą prawdą, i karciała się za to od tamtej pory. Wielokrotnie.

W tych słowach kryła się hardość, szczerłość, pewna surowość - i teraz nawet nie tyle sobie o tym wszystkim przypomniwała, co poczuła, że zakopany gdzieś głęboko w niej, zaszczerpiony przez ojca hart ducha daje o sobie znać. Informuje ją, że najlepiej zdusić w sobie chęć ucieczki od tego, co właśnie zobaczyła, nie pozwolić na wyparcie oczywistego, oprzeć się myślom, które pozwoliły już Claire na poddanie się i użalenie nad losem swoim i przyjaciółki oraz zaćmiły wzrok.

- Opuśćcie ją - powiedziała.

Nigdy nie miała mocnego głosu - chyba że akurat krzyczała na Lukea - i teraz też tak nie zabrzmiał, jednak rozniósł się w jaskini echem nawet bardziej, niż się spodziewała. Powiedziała to niemal nauczycielskim, władczym tonem. Tonem swojego ojca.

Claire drżała, trzęsła się. Głos pozostał niewzruszony.

Nikt się nie ruszył, poza dwojgiem dzieci - bliźniakami - które popatrzyły na siebie zdziwione i zaczęły chichotać. Stojący za nią mężczyzna również wybuchnął śmiechem, w dodatku nieco piskliwym, zadziwiająco cienkim jak na kogoś tej postury. Niemal dziewczęcy chichot. *Jak u idioty*, pomyślała Claire. Zły i durny.

- *Opuśćcie ją* - powtórzyła.

Zobaczyła nastoletnią dziewczynę, tę, którą wpuścili do domu. Stała w starej niebieskiej koszuli, pochylona nad żółtym plastikowym wiadrem, którego zawartość wyjmowała i przekładała do pordzewiałego żeliwnego garnka wypełnionego wodą.

Dziewczyna stała plecami do niej i odwróciła się tylko na moment, kiedy Claire weszła do jaskini, a teraz, gdy usłyszała jej słowa, spojrzała na nią, uśmiechnęła się, zarzuciła włosami i wróciła do wykonywanej czynności.

Z tyłu jaskini nadal dochodziły zawodzenia usiłującej przełknąć ślinę Amy.

Nawet tak niewielki ruch sprawił, że zaczęła się lekko kołysać, a przez to ból stawał się nie do zniesienia.

Zerwali z niej majtki i biustonosz, wisiała tam jedynie w rozchełstanym szlafroku, który zwisał jej smętnie z ramion.

Cieniutkie strużki krwi ściekały po jej twarzy i szyi, kapiąc dalej na szlafrok oraz piersi.

Krwawiła z setek drobnych ran na głowie.

Odwróciła się powoli.

Muchy nie przestawały brzęczeć.

Nagi mężczyzna siedzący obok niej poprawił się w łańcuchach, grzechocząc nimi doniośle. Drżał na całym ciele. Przed nim pochylała się dziewczyna ubrana w kawał jakiejś związanej za plecami skóry i szarpała mężczyznę za penisa, kompletnie ignorując Claire.

Nie wiedziała, co ma teraz zrobić. Pomyślała o Luke'u i Melissie, przytulonych do siebie gdzieś tam, w ciemnym lesie. I zrobiła krok naprzód.

Nikt nie wykonał ruchu, aby ją zatrzymać.

Minęła chłopców i podeszła do pochylonej dziewczyny. Nawet gdy zobaczyła, że w drugiej ręce trzyma kość, którą dźga unieruchomionego mężczyznę w mosznę, nie zawahała się i płynnie wyciągnęła tkwiący za jej pasem nóż.

Dziewczyna wierzgnęła i warknęła, ale nie wybiło to Claire z rytmu. Przecięła linkę, na której zawieszona była jej przyjaciółka, i pojedynczym ruchem rozcięła krępujące Amy więzy.

Amy wrzasnęła i wciągnęła łapczywie powietrze. Claire złapała ją w ramiona i podtrzymała, czując w swoich rękach ciężar ciepłego, znajomego ciała. Amy ledwie mogła ustać, Claire przytuliła się do niej mocno i tylko dzięki temu jej przyjaciółka trzymała się na nogach. Dziewczyna, której wcześniej zabrała

nóż, wyrwała go z dłoni Claire i przycisnęła najpierw do jej gardła, a potem do gardła Amy - i nagle jaskinia zaczęła się kurczyć, a ściany zaciskać. Mężczyzna, nastoletnia dziewczyna, dwaj chłopcy - wszyscy pojawili się przy niej błyskawicznie, miała trudności z oddychaniem, gdyż mdliło ją od smrodu brudnych ciał, ich połączone oddechy przywoływały na myśl dyszenie zmęczonego psa. Mężczyzna przyszpilił ją do ściany. Nie chciała puścić trzymanej poły szlafroka Amy, nadal ochraniając ją ramieniem, utrzymując fizyczny kontakt, ale kiedy uderzyła w granitową skałę, straciła czucie w całej ręce.

Starła się zignorować ból. Zignorować wszystko, co działo się wokół.

Muchy bzyczały wściekle.

Amy spojrzała na przyjaciółkę i dotknęła czerwonych śladów na swojej głowie. Jej oczy okalała różo-wawa, cienka, krwawa obwódka. Claire wytarła i oczyściła jej twarz i usta rękawem sukienki, a następnie poprawiła szlafrok.

Mężczyzna podszedł do Claire i chciał złapać ją za włosy. Tym razem zaprotestowała.

- Nie - powiedziała.

On jednak jedynie się wygłupiał, szydził z niej.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Odsunęli się, rozluźniając krąg, dając im więcej miejsca.

Mężczyzna położył dłoń na głowie Claire i popchnął ją mocno na ścianę. Uderzyła w nią plecami

- niewystarczająco mocno, aby się zranić, ale i tak zabolalo. Mężczyzna wciąż ją trzymał i uderzał nią raz po raz o skałę w równomiernych odstępach czasu, nieraz nie zdążyła nawet poczuć bólu, a potem uderzał w nią falą, kumulował się. Mężczyzna bawił się z nią, aż wreszcie zaczęła widzieć przed oczyma jaskrawe światelka. Trzymała mocno Amy i próbowała przeczekać tę torturę. Amy była kotwicą, która utrzymywała ją przy życiu, a ona była jej. Słyszała ich śmiech, do którego dołączył się płacz obudzonego dziecka, ostry i rozlegający się echem w przestronnej grocie.

Zacisnęła zęby i czekała.

Łup.

I zauważyła, że wzbiera w niej coś, co mogło być niezwykle niebezpieczne dla ich obu, czego nie mogła w pełni kontrolować, a czemu nie sposób było się oprzeć. Tamci nadal śmiali się, a dziecko ryczało. Jeden z bliźniaków wyciągnął rękę i wykręcił jej sutek, a drugi zaczął dźgać ją w żebra.

Łup.

Śmiech.

Dźgał ją w brzuch. A potem znowu w żebra. Sadyści. Tacy jak Steven. Jak oni wszyscy. *Łup.*

Nagle jakaś para rąk wysunęła się w kierunku Amy i próbowała ją złapać, wyciągnąć - były to ręce dziewczyny, która ich wcześniej zwiodła.

Claire trzymała przyjaciółkę mocno, poczuła chłodne palce Amy zaciskające się na jej ramionach, narastała w niej presja i wiedziała, że to tylko kwestia minut, kiedy znowu je rozdzielią, tym razem być może już na zawsze, po raz ostatni. Wiedziała, że ta dziewczyna jest od niej silniejsza i tak naprawdę nie może jej powstrzymać. Nie mogła pogodzić się z tą myślą, szczególnie że Amy zanosila się płaczem, a poczucie niebezpieczeństwa wzmagalo się wraz z narastającą wściekłością, Claire obawiała się, że zaraz nie wytrzyma, aż...
Łup.

... coś w niej pękło i odepchnęła się z impetem od ściany. Całą swoją siłę włożyła w cios kolanem. Przy uderzeniu rozległ się odgłos przypominający dźwięk siekiery wbijanej w pień drzewa. Mężczyzna krzyknął na całe gardło, a jego wrzask wypełnił całą grootę, utonęli w jego ryku. Złapał się za pachwinę, upadł na kolana przed Claire, tuż obok ogniska, wyglądało, jakby miał wpaść prosto w płomienie, ale ogień jedynie przypalił mu jaja, brutalną męskość tego idioty.

Nastolatka w niebieskiej koszuli wyszarpała Amy z ramion przyjaciółki i dwaj bliźniacy wraz z drugą dziewczyną, tą noszącą skórę, złapali Claire i rzucili ją na ziemię. Kopali po żebrach, w głowę, w plecy, a ból dopadał ją i odpuszczał, niczym łowny ptak skubiący swoją zdobycz. Patrzyła na mężczyznę leżącego przy ogniu.

Nie mogła przestać się napawać.

00:05

Peters czuł się, jakby w jego klatce piersiowej załęgły się pszczoły.

To przez whiskey. Szczypała jak jasna cholera w dwóch płytkich ranach, które zadano mu w okolicy mostka.

Mógł powiedzieć, że to alkohol uratował mu życie.

O ile w ogóle uda mu się przeżyć.

Nieważne, że śmierdział jak podłoga w Caribou po sylwestrowej imprezie, bowiem *wyglądał* jak zarznięta świnia. Plama whiskey ciągnęła się od jego pachy do sprzączki od paska, wzdłuż ciała. W ciemności faktycznie wyglądała jak krew.

Pewnie rzucili tylko na niego okiem i uznali, że pijaczyna wyzionął już ducha.

Oczywiście, krwawił, ale jeszcze sporo brakowało, aby uleciało z niego tyle krwi, żeby wyciągnął kopyta. Dzieciak się pośpieszył, sądził pewnie, że nóż sięgnął kości. Jednak rana zadana w bok była dużo głębsza i to z niej połała się większość krwi; całe szczęście ostrze trafiło w chrząstkę i nie wyrzadziło większych szkód - jakiś stary kowboj powiedziałby, że to jedynie rana powierzchowna, a przynajmniej miałby nadzieję, że nią jest.

Bolało jednak jak sukinsyn.

Nie chciał się ruszać, dopóki nie zdecyduje, gdzie ma w ogóle pójść, podparł się jedynie i zaczął zastanawiać nad kolejnym ruchem.

Nie miało sensu sprawdzanie jak trzymają się Manetti i Harrison. Leżał wystarczająco blisko, a na nich padało światło, nietrudno było więc dojrzeć, że obaj wyglądają jak rozjechane na autostradzie psy. Unosiło się nad nimi poczucie dziwnej pustki, jakby ich zwłoki nie pasowały do tego miejsca, jak telewizor na wysypisku śmieci.

Ich śmierć wydała mu się tak samo obrzydliwa jak zabicie Caggiano. Wszyscy odważni chłopcy ginęli o wiele za wcześnie.

Miler Harrison kiedyś rozwoził gazety. *Pamiętasz go, Mary?* Nie było jednak czasu na żałobę. Po pierwsze, musiał odzyskać trzydziestkę ósemkę.

Wyleciała mu z ręki, kiedy skoczył na niego dzieciak, lecz musiała być gdzieś w pobliżu.

Zdjął marynarkę, wytrząsnął z niej potłuczone szkło i otrzepał koszulę, następnie przewiązał sobie nią ranę w boku i klęknął przy krzakach. Zaczął obmacywać ziemię, od prawej do lewej, a potem w głębi, pod palcami czując jedynie zimną, twardą glebę i kłujące gałęzie krzewu. Włożył rękę głębiej o stopę, a potem o dwie, szukał cierpliwie, przeklinając ostre ukłucia bólu w piersi, aż wreszcie natrafił na gładką

lufę pistoletu. Powoli wyciągnął rękę z krzaków i usiadł na ziemi.

Uspokoił oddech, wstał, włożył broń do kabury i podszedł do Harrisona i Manettiego. Kilka stóp od tego drugiego zobaczył kałużę przyschniętej krwi, która nijak nie przystawała do pozycji żadnego z martwych policjantów.

A więc dostałeś jednego z nich, Vic, pomyślał. Mogłem się założyć, że dasz radę.

Założę się też, że zabrali truchło tego, którego dorwałeś, ze sobą.

Po śladach ocenił, że odeszli w pośpiechu, kiedy ciało jeszcze obficie krwawiło. Zostawili za sobą wyraźny trop. Nie miał już tak dobrego wzroku jak kiedyś, ale swojego czasu sporo polował, więc wiedział, że sobie poradzi.

Sądząc po ilości krwi, trafił w głowę lub szyję, pomyślał. Ktokolwiek niósł ciało, bujał nim w przód i w tył, pewnie zarzucił je sobie na ramię. Musiał zdrowo nim zarzucać, gdyż krew znajdowała się nie tylko na ziemi, ale i na liściach oraz pniach drzew.

Spojrzał na zegarek. Leżał tutaj półtorej godziny.

Kurwa.

Poszedł na skraj wzniesienia. Widział stąd światła domu. Teraz stało tam kilka radiowozów, siedem lub osiem, wszystkie na czerwono-niebieskich sygnałach. Z tego, co widział, nikt nie zmierzał w jego stronę, choć trudno było stwierdzić, bowiem

zasłaniały mu wierzchołki drzew. Być może są wcale niedaleko. A może nie.

Rozważył swoje możliwości.

Droga stąd do klifów była praktycznie płaska, więc sobie poradzi. Zejście na dół, aby spotkać się z nimi przy domu lub w polu, będzie cięższe. O wiele cięższe.

Nawet nie tyle samo schodzenie - dałby radę - lecz wchodzenie pod górę. Szło mu to dość opornie i bez ran kłutych.

Mógł opisać funkcjonariuszom całkiem dokładnie miejsce zdarzenia, lecz i tam zejdzie kawał czasu, zanim znajdą ten punkt.

Potrzeba czasu, aby zszedł, opowiedział historię, pokazał drogę.

Czasu, którym tamci ludzie już nie dysponowali.

Niech to cholera, pomyślał.

Mieli nad nim ponad godzinę przewagi. Nadal mogą usłyszeć strzał, ale nie powinno to stanowić dla niego zagrożenia. Nie spanikują przez to i nie rzucają się nagle na ludzi. Będą wiedzieli, że ktokolwiek strzela, jest daleko, równie dobrze mógłby to być myśliwy.

Wycelował w niebo i wypalił. Odczekał, aż echo ucichnie, i ponownie nacisnął spust. Po chwili wystrzelił po raz trzeci.

Wiatr prawie się uspokoił, powietrze stało nieruchomo w miejscu. Jeśli w dole byli jacyś gliniarze

warci swojej pensji, z łatwością ustalą jego pozycję.
To najlepsze, co mógł w tej chwili zrobić.

Przez to zamieszanie rany zaczęły mocniej krwawić. Żeby się jednak nie przekreślił. Z ranami tak głębokimi jak ta nigdy nic nie wiadomo. Mocniej zawiązał marynarkę.

Pogrzebał w kieszeni za nabojami i wypełnił komorę pistoletu.

Me ma strzelania, aż nie rozpocznie się strzelanina,
pomyślał i poszedł śladem krwi.

00:12

Kobieta weszła do jaskini, podeszła do ognia i zrzuciła z siebie mężczyznę. Do tej pory zmęczył się na tyle, że nie protestował.

Spojrzała na kobietę ściskającą poły swojego szlafroka, siedzącą obok Krowy na tyłach groty. Inna kobieta leżała na podłodze posiniaczona, z zakrwawioną twarzą, w podartej sukience. Patrzyła w przerażeniu na stojących za nią bliźniaków, którzy uśmiechali się od ucha do ucha.

I żadnego dziecka poza tym, które urodziła Druga Zabrana i które kwiliło teraz pod ścianą.

Me ma też Ziemiójada. I Królika.

Który powinien był dojść tutaj na długo przed nią.

Pierwszy Zabranu podszedł ostrożnie do Kobiety,

widząc, że jest wściekła. Ona rozpoznała za to, że coś mu się przytrafiło i dopiero wracał do siebie. Nie dbała jednak o to, co się stało. I czuła swoją złość.

Znalazł kobietę, ale nie dziecko. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

Wyczuła ducha zabitego niemowlaka, chciał wreszcie wyjść na wolność.

- Królik?

Pokręcił głową, zmieszany. Przecież Królik był z nią.

Odepchnęła go i podeszła do Drugiej Zabranej. Dziewczyna siedziała przy ognisku. Kobieta czuła, co gotuje się w garnku. Płuca, nerki, wątroba.

- Znajdź Królika - poleciła dziewczynie. - Zie-miojad nie żyje. Znajdź Królika.

Druga Zabrana zajrzała do garnka. Nie zainteresowała się za bardzo informacją, że jej córka nie żyje. Była głodna. Kobieta знаła to uczucie.

- *Teraz* — powiedziała.

Druga Zabrana wstała i przeszła obok mężczyzny, kierując się w stronę wyjścia.

Pierwszy Zabraną nie zareagował, ani nawet nie podniósł głowy.

- Czekał - powiedziała Kobieta.

Podeszła do Drugiej Zabranej i wręczyła jej pistolet, który zabił wcześniej Ziemiojada. Zobaczyła, jak zmienia się wyraz twarzy dziewczyny, zniknęła z niej

posepność - Druga Zabrana uświadamiała sobie wagę tego przywileju. Kobieta wiedziała, że Pierwszy Zabranę patrzy na to i jest wściekły. Nieważne.

Pierwszy Zabranę będzie wściekły i tak, bo przyprowadziła tutaj mężczyznę - wilka - który patrzył na nich oczyma zdradzającymi jedynie nienawiść i strach.

- Steven!

Powiedział to ktoś pełnym bóleści szeptem.

Zobaczyła, jak mężczyzna zwraca się ku leżącej na podłodze kobiecie, a w jego oczach dostrzegła, że ją rozpoznaje.

To, co zdarzyło się po wyskoczeniu z radiowozu, wydawało mu się zaledwie snem. Stojąca w cieniu kobieta, którą spotkał przy strumieniu, nagły ból i zwiotczenie całej nogi, która stała się bezużyteczna. Potem jej powrót i pomoc w dojściu do tego miejsca. Poprzecinana bliznami, śmierdząca, cholerna Amazonka z zatkniętym za pas nożem i pistoletami...

Co to za miejsce?

Kurnik. Chlew. Średniowieczna forteca. Dziura w ścianie. Było tym wszystkim naraz.

To miejsce nie przynależało do świata rzeczywistego, po prostu wpadł w jakąś czarną kosmiczną dziurę, gdzie ludzkie ręce i nogi zwisały z sufitu,

a w powietrzu unosił się słodkawy zapach mięsa przemieszany ze smrodem gówna i szczyń; gdzie karaluchy wielkości pięści łaziły po podłodze, na której spał nagi noworodek rozłożony na brudnym kocu; gdzie do ściany przykute jest łańcuchami coś przypominające wychudłego stwora z penisem.

A pośród tego wszystkiego leży jego żona, pobita na kwaśne jabłko i pilnowana przez zgraję bachorów. Mogłyby to wymyślić tylko dzieciaki w piaskownicy.

Zawołajmy więc nauczyciela.

- Steven! Mógł ją zabić.

Chryste! Co za durna zdzira! Na pewno nie ugra nic przez to, że się znają - a kto wie, może nawet to zadziałać na ich niekorzyść. Szczególnie, że sądząc po tym, jak wyglądała, nie ma z nimi najlepszych stosunków.

- Zamknij pizdę, Claire - powiedział. Podziałało chociaż na chwilę.

Kobieta nie była jednak głupia, zrozumiała, o co tutaj chodziło. Patrzyła na niego z ciekawością przemieszaną z rozbawieniem.

Jednak o nic nie pytała. Jeszcze nie teraz.

I wtedy zobaczył starą kumpelę Claire, Amy, skuloną pod ścianą. W pierwszej chwili miał trudności z rozpoznaniem jej, miała bowiem twarz umazaną krwią. Był ciekaw, gdzie podział się jej mąż, David.

No i gdzie był Luke.

Lukę był cierniem w dupie, ale to w gruncie rzeczy dobry dzieciak.

Miał nadzieję, że udało mu się uciec.

A jeśli chodzi o Davida... również liczył, że dał radę zwiać. Miał ku temu swoje powody.

Nie chodziło wcale o żadne współczucie, nie lubił ich od dawna. Gnoje. Pożyczali Claire pieniądze na prawnika i na rachunki. Nie przejąłby się, jeśli padliby trupem tu i teraz, chodziło raczej o to, że nadal byli ludźmi takimi jak on, cywilizowanymi, którzy nie mieszkają na kupie gówna, wśród trupów i kości, w pierdolonej jaskini. Można było z nimi dyskutować, negocjować.

A z *tymi* ludźmi...

Może David zawiadomił policję.

Więzienie wcale nie wydawało się teraz takim złym rozwiązaniem. Nawet gdyby mieli go posadzić za morderstwo.

Tam chociaż byli inni *ludzie*.

Bo te pojeby...

Przerażały go.

Na przykład ta dziewczyna.

Ile ona mogła mieć lat? Dziesięć? Jedenaście? Zdjęła z siebie skórę, którą nosiła na brzuchu, i rzuciła na ziemię. Podeszła do faceta przykutego do ściany, złapała nóż i zaczęła go dźgać i ciąć, a tamten wrzeszczał głosem tak ciekim, jakim mogłaby

krzyczeć właśnie ona, gdyby ktoś zaczął ją szturchać nożem. Z ran poleciała krew, a to dziecko zaczęło się śmiać. Najwyraźniej dobrze się bawiło! I nikt nie zwracał na to uwagi poza niemowlęciem, które nagle zaczęło płakać.

A Marion mówiła, że to on jest chory.

Jeśli on robił coś podobnego, miał chociaż ku temu jakiś powód. Mógł coś na tym zyskać.

Bo inaczej to byłoby zwykłe szaleństwo, no nie?

Nieludzkie.

Czy chciał tego, czy nie, miał w Claire i Amy sojuszników. To ludzie, których znał. Ludzie, na których siłach i słabościach mógł polegać. Nawet jeśli leżały pobite niemal na śmierć, nadal mogły przyjść mu z pomocą, aby jakoś przetrwał.

Sojusznicy nadawali się do jednej tylko rzeczy.

Aby ich wykorzystać.

Amy usłyszała płacz dziecka i rozejrzała się wściekle. Instynktownie spojrzała na siedzącego obok mężczyznę i męczącą go dziewczynę. Hałas obudził dziecko, które zaczęło ryczeć z głodu i nerwów, i znowu przez jej piersi przeszła fala bólu, a serce przyśpieszyło, stęsknione za Melissą. Zobaczyła, że dziewczyna na nią patrzy, a w jej oczach zagościło rozmarzenie, jakby się nad czymś zastanawiała, roz-

ważała jakąś decyzję, jak gdyby dotarła do końca drogi, do ślepej uliczki swojej wyobraźni, i próbowała pójść dalej.

Wreszcie uśmiechnęła się i odrzuciła nóż, a mężczyzna z ulgą oparł się z powrotem o ścianę.

Odwróciła się do Amy. Gapiła się na nią przez chwilę...

Potem podeszła do dziecka.

I jeszcze zanim to zrobiła, Amy *była pewna, co robi* - jej ciało zaczęło protestować - wiedziała, gdyż dziecko ryczało wniebogłosy. Jego matka poszła sobie, wyszła z jaskini, ale była tutaj Amy, z piersiami wypełnionymi mlekiem, które nie mogły się doczekać, aż zdradzi Melisse.

Pokręciła przecząco głową i poczuła mdłości, kiedy dziewczyna włożyła w jej ramiona wrzeszczące dziecko. Niemowlę od razu przyssało się do wystającej ze szlafroka piersi i wzięło sutek w brudne, uwalane śliną usta i ssało, ciągnęło mocno i zmrużyło swoje zimne oczy, przypominające Amy oczy węża. Miało mocne szczęki i ssało, gryzło, chcąc pozbawić ją nie tylko pokarmu, ale i siły, życia, które uchodziło z niej z każdym szlochem.

Trzymała dziecko i płakała. Było zachłanne niczym odbierająca życie fala. Łapczywe, nienormalne.

Chciwe.

Królik przykucnął, przyczał się w krzaku jeżyn. Poszerzyły mu się źrenice, kiedy obserwował szukające pożywienia zwierzę.

Nie było zainteresowane owocami, ale liśćmi i łodygami poszarzałymi w mroku nocy. Nieświadome jego obecności, zwierzę kicało coraz bliżej chłopca. Za chwilę będzie w odpowiedniej odległości, aby mógł je pochwycić. Pstryknie palcami, wykona jakiś niewielki ruch, aby królik usłyszał. I wtedy wszystko będzie zależało od tego, w jakim kierunku zwierzak zdecyduje się uskoczyć, ale wcześniej da mu znać, przechyli lekko główkę w lewo lub w prawo, i dopiero wtedy ze-gnie nóżki i odepchnie się od ziemi, a tam będą już czekały na niego wyciągnięte ręce Królika, które sprawnie unikną mocnych łap, złapie za uszy i skręci kark.

Wielokrotnie już polował w nocy na króliki i był w tym dobry. Zwierzęta te zerowały w chaszczach na górze klifu, po prawej stronie jaskini - w pewnym oddaleniu od uczęszczanej przez nich trasy. Ale Królik nie był taki jak pozostali, obierał inne ścieżki. Tamci nigdy nie kłopotali się znajdowaniem nowych miejsc.

Przyprowadził tutaj kiedyś Ziemiajada i Dziewczynę, ale żadna z nich nie miała cierpliwości, aby czekać i obserwować. Żartowały sobie z niego i z jego uśmiechu, z przyczajenia. Robiły tyle hałasu, że żadne zwierzę nie miałoby odwagi podejść, nawet

durna wiewiórka. Po tym, jak poszły, czekał aż do rana, ale wrócił z niczym.

Nie powtórzył już swojego błędu i od tamtej pory chodził sam.

Przypomniawszy sobie, że i tak nie mógłby już zaprosić na polowanie Ziemiojada, nawet gdyby chciał. Kilka jardów za nim, ukryte w krzakach przy ścieżce, leżały jej zwłoki. Siedział już tutaj od jakiegoś czasu i patrzył za królikami - choć planował zatrzymać się tutaj jedynie na moment, żeby się rozejrzeć - a nie chciał odstraszyć zwierząt zapachem śmierci, zostawił ją więc w odpowiedniej odległości i przykrył patykami oraz kamieniami. I choć zdawał sobie sprawę, że minęło trochę czasu, nie miał odpowiedniego rozeznania i czekał, gdyż królik był naprawdę blisko.

Czuł nieskrępowaną niczym radość, kiedy tak siedział w jeżynach i czuł wokół siebie ich twarde, cierniste łodygi. Wciągał w nozdrza zapach lasu i królików. Zaparł się stopami w ziemi i rozłożył swoją wagę pomiędzy nogi a dłonie, aby mieć lepszą pozycję do skoku. Wiedział dokładnie, jak daleko potrafi się wybić, gdzie przyhamują go jeżyny i co może przeszkodzić królikowi. Rozpoznawał, gdzie ziemia jest miękka, a gdzie kamienista, i czekał, aż gryzoń podejdzie do wcześniej upatrzonego punktu, który będzie dla niego korzystny. Rozważał wszystkie czynniki, jego ciało analizowało każdą zmienną na plus

i na minus - czuł to swoją stopą, ręką, okiem i uchem. Miał to we krwi.

I kiedy nadszedł wyczekiwany moment, królik uniósł łepkę i zaczął węszyć. Chłopak usłyszał na ścieżce za sobą ciężkie kroki i głośny, sapiący oddech. Rozpoznał, że to nikt podobny jemu. Mężczyzna zatrzymał się przy zwłokach Ziemiajada ukrytych w krzakach i stał tam dłuższą chwilę, przez co Królik wiedział, że je znalazł. Zbyt długo tutaj zabawił.

Kiedy mężczyzna przechodził obok niego, zobaczył jego nogi, widział, że szuka czegoś na dróżce przy klifie. A królik uciekł spłoszony w jeżyny.

Słyszał jego kroki, słyszał, jak zatrzymywał się co chwilę przy klifie, a potem szedł dalej wzdłuż ścieżki. Wciągnął powietrze i rozpoznał jego zapach. To fetor śmierci, ponieważ zabił już tego człowieka za pomocą swojego noża.

A jednak on nadal chodził.

Zaczął drzeć, nadal schowany w zaroślach. Doszła do niego prosta prawda i Królik po raz pierwszy poczuł prawdziwy strach, który zmroził jego ciało.

Duch powoli poszedł dalej.

Przeszywał ją piekący ból, lecz Claire starała się nie spuszczać oczu z wysokiej kobiety, która uklękła przed Stevenem i patrzyła mu prosto w oczy, przekrzywiając przy tym głowę niczym ciekawskie zwierzę.

Jak kot.

Była świadoma, że niewidzący na jedno oko chłopiec i bliźniacy tylko czekają na pozwolenie mężczyzny, żeby wrócić do znęcania się nad nią, zapewne nie mogli się doczekać wymierzenia kolejnej serii kopniaków. Musiała uważać też na ich zęby. Bardzo uważać. Lecz mężczyzna również skupiony był na Stevenie i nie zwracał na nią uwagi.

Słyszała płacz Amy.

Widziała, jak karaluch wdrapuje się na jeden z leżących przy ogniu kamieni i topi się od gorąca.

Głównie jednak patrzyła na kobietę.

Wyczuła w niej coś, czego brakowało pozostałym. Emanowała od niej siła i pewność siebie, doskonale zadawała sobie sprawę ze swojej władzy, przypominała tygrysa albo panterę - uosabiała moc charakterystyczną dla zwierzęcia, nieustannie miała się na baczności.

Nachyliła się do Stevena.

Widziała, że jej mąż nie był w stanie wytrzymać tego spojrzenia.

- Dziecko? - zapytała z zaciekleścią.

W jej głosie brzmiało okrucieństwo, Claire poczuła, jakby zawiął zimny wiatr.

Steven wyglądał na zmieszanego.

- Jej - dodała cicho i wskazała na tył groty. I wtedy zrozumiał, w czym rzecz.

- Nie wiem - odparł.

Patrzyła, jak odwraca od kobiety głowę i zastanawia się intensywnie. Przez cały ten czas dzikuska nawet nie mrugnęła ani nie poruszyła oczami, podczas gdy Steven wodził wzrokiem po ścianach, ognisku, suficie, potem chłopcach, a nawet - choć tylko na moment - zerknął na Claire. Teraz, kiedy z powrotem spojrzał kobiecie w oczy, Claire wiedziała, że wpadł na jakiś pomysł, podjął decyzję i dlatego odważył się na nią spojrzeć.

Znała ten wyraz twarzy.

I nie wiedziała, kogo ma się bać bardziej.

Spojrzała na chłopców. Nadal się uśmiechali.

- Nie wiem - powiedział Steven. - Ale myślę, że możesz się dowiedzieć od niej.

Spojrzeli na Claire.

- Ona nie lubi - dodał — gdy się ją gryzie.

00:24

Claire patrzyła na niego zszokowana.

Ten mężczyzna był jej mężem.

Kiedyś kochali się co noc i było jej z nim dobrze, wierzyła, że i jemu również.

Urodziła jego dziecko i zastanawiali się nad kolejnym.

Jeździli na nartach w Vermont i spędzali weekendy nad wodą.

Nie lubi, gdy się ją gryzie.

Claire usłyszała te słowa wyraźnie, lecz nadal nie mogła uwierzyć, że to powiedział - ze stoickim spokojem i powagą, jakby wcale nie chodziło o jej życie, a pewnie i o Luke'a. Jakby pomagał rozwiązać problem jednemu ze swoich klientów i przedstawiał mu rozwiązanie, do którego doszedł, analizując wszystkie za i przeciw.

Skinał na chłopców.

- Macie wszystko, czego potrzebujecie.

Pokazałeś, kim jesteś, pomyślała Claire.

Nienawidziła go pomimo nagłej paniki, która nad nią zapanowała.

Wiesz zbyt dużo, niech cię szlag. O mnie, o sytuacji. Zrobisz wszystko, by się ratować.

Wiedział, że Lukę jest gdzieś w pobliżu, tylko jeszcze go nie złapali.

A dziecko było z nim. I domyślał się, że Claire wie gdzie.

Sugerował tym samym, że znajdą Melissę za pośrednictwem Luke'a, a jego dzięki Claire. Zadawał im tym samym ból. A zdrada to jego owoc.

Zdradził swojego syna.

Me lubi, gdy się ją gryzie.

Prosty fakt.

Niemal niedorzeczny.

Lecz wystarczająco prawdziwy, aby w swojej zwyczajności przeistoczyć się w potworny, pierwotny lęk.

Nie znosiła ani łaskotek, ani dotyku czyichś palców na swoich stopach, nie lubiła smaku surowej cebuli, deszczu w zimie, zapachu whiskey i benzyny na stacji. To proste informacje na jej temat, kilka pozycji z katalogu opisującego jej osobowość. Amy o nich wiedziała. David wiedział. Luke też wiedział.

Ale o tym, co powiedział, wiedziało jedynie kilka osób, skrywała ten lęk głęboko, bowiem wyznaczał on granicę psychicznej siły, która potrafiła trzymać w ryzach jej strach, limit odwagi, na którą było ją stać.

To nie cebula ani whiskey, lecz prawdziwy horror. Siegał do jej trzewi, to był zakazany teren, a on zdradził wszystko tym ludziom z taką nonszalancją, jakby zapytali go o kolor włosów.

Kto jest gorszy? Które z nich? Mężczyzna, który zdradza sekret, czy kobieta, która wykorzysta go przeciwko niej? Bo nie miała wątpliwości, że tak właśnie się stanie. Kobieta patrzyła na chłopców, a oni przypominali Claire właśnie Stevena.

Kopali ją, ale mają bosa stopy, więc jakoś to wytrzymała, dzięki Bogu. Bolało ją i tak, lecz nie wyrządzili jej większej krzywdy, jej cierpienie nie mogło równać się z tym, którego doświadczał przykuty do ściany mężczyzna, kopany w genitalia. Leżał na podłodze i jęczał, prosząc, aby przestali.

Posłuchali go wreszcie i odeszli pod drugą ścianę jaskini, gdzie chłopiec z chorym okiem przerzucał leżące na stercie rzeczy i podawał pozostałym to, co

tam znalazł - koślawo wycięte z puszek po napojach, metalowe zęby. Jedną parę zachował dla siebie i włożył sobie do ust. Wsadził sobie zaimprovizowaną szczękę pod górną wargę, zaostrzona część pokrywała się z jego własnymi zębami.

Stanęli nad nią z otwartymi ustami, aluminium sprawiło, że ślina ciekła im po podbródkach. Czekali na pozwolenie.

Kobieta złapała ją za rękę i z łatwością postawiła na nogi, jakby była pustym workiem. Szorstkimi dłońmi chwyciła Claire pod ramiona i popchnęła na ścianę.

- Mów - rozkazała.

Oczy kobiety wwierały się w Claire, jej oddech śmierdział surowym mięsem.

Mężczyzna stanął w cieniu za nią. Uśmiechał się.

Obnażając swoje czarne i brązowe, zepsute zęby, podpiłowane przy ostrych końcach.

Dzieci podeszły bliżej.

Jaskinia zaczęła się kręcić wokół niej, poczuła zapach własnego potu, ze strachu otworzyły się wszystkie jej pory, a żołądek wywrócił się do góry nogami. Czowała się, jakby za dużo wypila, i miała wymiotować, obrzygać tę kobietę - a wtedy ona niechybnie ją zabije, i może to byłoby najlepsze rozwiązanie, bo nie będzie musiała jej o niczym mówić, nic już nie powie.

- Mów - powtórzyła kobieta.

Zobaczyła zęby, ogień i blizny, na chwilę zabrakło jej oddechu i nawet jakby chciała, nie byłaby zdolna nic powiedzieć. Jaskinię zalał jasny, biały blask, przez co grota wydała jej się zroszoną deszczem, niedbale oświetloną bostońską ulicą, którą zapamiętała z dzieciństwa. Pojechała w odwiedziny do swojej kuzynki Barbary. Bawiły się z jej koleżankami w chowanego i była akurat jej kolej na szukanie pozostałych, lecz nie mogła znaleźć kuzynki. Przeczłogła się pod siatką na podwórko sąsiadów, prosto w ciemne krzaki. Bała się, lecz było to znakomite miejsce, aby się schować, i podejrzewała, że Barbara wybrała je na kryjówkę. Rozejrzała się wokół, uważając, aby nie pobrudzić swojej krótkiej sukienki, ale kuzynki nigdzie nie było. Odwróciła się, żeby przejść z powrotem pod siatką, gdyż bała się ciemności, i zobaczyła, że od strony domu idzie naprawdę duży pies, stary i czarny. Już po samym jego wyglądzie oczywiste było, że lubi gryźć. Miał coś takiego w oczach, co nie pozwalało myśleć inaczej.

Kiedyś słyszała, że zwierzę nie zaatakuje, jeśli jego ofiara nie będzie się ruszać, zamarła więc w miejscu, mając nadzieję, że pies odejdzie, ale ten nadal gapił się wprost na nią - coś było nie tak z jego ślepiami, pokrywała je cienka, biała błonka, jaką widziała wcześniej na jajkach - i nawet kiedy rzucił się do biegu, nie spuszczał z niej wzroku, wyglądał jak wściekły, jego spojrzenie nie przypominało spojrzenia żadnego

innego psa. Trzęsa się, zachciało jej się siku. Pies zatrzymał się obok niej. Otworzył pysk i chwycił jej nagie udo w swoje ciepłe, wilgotne szczęki. Powoli, uważnie. I ugryzł.

Z gardła wyrwał się jej ni to płacz, ni to krzyk, którego nie mogła powstrzymać, szarpnęła lekko nogą. Pies zacisnął szczęki mocniej, krew trysnęła z jej uda pojedynczym, ciepłym strumieniem.

Zwierzę spojrzało jej prosto w oczy i warknęło.

A potem ugryzło jeszcze mocniej.

Wiedziała, że patrzy w oczy samemu złu, szaleństwu, czemuś, co czerpie radość z jej krzywdy i jest to dla niego największą w życiu wartością. Zsikala się w majtki i zaczęła pisać, i nagle z ganku dobiegł gromki głos jakiegoś mężczyzny. Dopiero wtedy pies puścił i pobiegł, a ona zaczęła krzyczeć. Kiedy wróciła do domu i opowiedziała wszystko mamie, ta chciała pójść razem z nią i rozmówić się z właścicielem psa, poinformować go, co zrobiło jego zwierzę, lecz Claire jeszcze za bardzo się bała i mama poszła po tego mężczyznę, by przyszedł sam i zobaczył.

Był stary, niski i przygarbiony, wredny głos, którym przywołał psa, zupełnie do niego nie pasował. Ale potem słyszeli, jak wrzeszczy, wali czymś w ścianę swojego domu, a pies wściekle wyje.

- Mów - powiedziała kobieta.

- Nie wiem - powiedziała. - Przysięgam, nie wiem. Kobieta spojrzała na Stevena. Pokręcił głową.

Zacisnęła ręce na ramionach Claire, wbijając jej w skórę ostre paznokcie.

- Powiem. W domu. Powiedziałam Luke'owi, żeby wrócił do domu, jeśli... jeśli mi się coś stanie. Żeby zabrał ze sobą Melissę i od razu pobiegł do domu.

Steven uśmiechnął się. *Zna mnie zbyt dobrze*, pomyślała. Niech go szlag. Odróżni prawdę od fałszu.

- Nie ściemniaj, Claire - powiedział. - No dalej. Powiedz. *Nie mogę tego zrobić*, pomyślała.

Istniało tylko jedno miejsce, w którym mógłby być Luke. Domek na drzewie. Oczywiście możliwe, że tam również go nie ma, mógł być przecież dosłownie *wszędzie*, może nawet poszedł po pomoc. Ale jeśli gdzieś się ukrywa, to właśnie w domku. To on znalazł tę platformę i czuł się tam na tyle bezpiecznie, że pokazał ją swojej mamie, aby mogli się razem schować.

Nie mogę tego zrobić, pomyślała. *Nie mogę ryzykować. Nie mogę pozwolić, aby się dowiedzieli.*

Kobieta zobaczyła jej opór, czytała z twarzy Claire bezbłędnie. Położyła dłoń na jej piersi i popchnęła ją mocno na ścianę. Następnie chwyciła ją za ramiona, złapała za materiał sukienki i zdarła z Claire ubranie. Złapała za jej nadgarstki, zaprowadziła do ognia i rzuciła na ziemię. Przy upadku Claire obtarła sobie o kamień skórę na dłoniach i kolanach, a piersi uderzyły o lepka, chłodną ziemię.

Kobieta stanęła nad nią, postawiła stopę na dolnej części jej pleców i zdarła z niej bawełniane majtki.

Jakieś ręce złapały ją za nogi i przewróciły na plecy.

Ktoś trzymał Claire za przedramiona, a ktoś inny za nogi, które rozchylił szeroko. Próbowwała walczyć, lecz była zbyt słaba, żeby stawić im czoła. Nachyliły się nad nią twarze z zębiskami - obrazek rodem z Halloween - spojrzała na nie i na ich metalowe kły, poczuła się tak bezsilna, jak lata temu w obliczu starego, wielkiego psa. Płakała i krzyczała; nikt jej tego nie zabronił, ale nikt też jej nie pocieszył, jak wtedy mama. Twarze zanurkowały w dół, powoli, otworzyły usta i poczuła pierwsze zęby wgryzające się w jej ciało - ciepłe usta chłopca z chorym okiem, który złapał ją za kostkę i zacisnął szczękę na łydce. Dziewczyna trzymająca drugą nogę Claire również obnażyła metalowe zęby. Ból rozchodził się falami z każdej strony, gdyż teraz ktoś ugryzł ją w delikatny odcinek pomiędzy ramieniem a piersią, zaraz nad pachą, a sekundę później wspomniana dziewczyna zatopiła kły w jej udzie, zaraz nad kolanem. Przeszywający ból ogarnął całe jej ciało niczym płomień.

Zlizywali z jej skóry chłodną ślinę przemieszaną z krwią, słyszała jak przełykają.

Krzyczała i rzucała głową, a szczęki rozwierały się i zaciskały ponownie.

Wołała Stevena, wołała Boga, wołała kogokolwiek.

Zobaczyła wtedy, że stoi nad nią tylko tamten mężczyzna i nagle domyśliła się, co zamierza zrobić, kiedy wodził oczami po jej ciele. Była to okropna myśl, lecz jakiś cudem wiedziała, że jest prawdziwa. Złapał ją rękoma za uda i klęknął pomiędzy jej rozchylonymi nogami, blokując Claire swoim posiniaczonym ciałem, i położył się na ziemi, leżał na brzuchu i wił się niczym wąż. Otworzył szeroko usta, ślina ciekła mu z nich obficie. Opuścił głowę i poczuła na skórze jego wilgotny oddech, jego zęby były zaledwie kilka cali od niej.

Przepraszam, Luke, pomyślała. Nie powiem im, gdzie jesteś, ale zabraknie mnie przy tobie. Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

Zamknęła oczy, a szczęki rozwarły się.

Spotkali się u stóp klifu - Peters schodził akurat ze wzgórza, myśląc, że *nogi odmawiają posłuszeństwa jako pierwsze*, kiedy zza krzaków wyszła dziewczyna z policyjną trzydziestką ósemką w ręku. Przygotował się na przyjęcie pocisku.

Zachwiał się i potknął.

Nie miała doświadczenia z bronią; trzymała pistolet w wyciągniętej dłoni jak dziecko, nie celując w konkretny punkt, ale po prostu w niego. Sądziła, że wystarczy naciskać spust raz po raz i to właśnie robiła.

Potknięcie okazało się szczęśliwe - ba, było pieprzonym błogosławieństwem. Padł na kolana, ale

szybko przybrał pozycję do strzału. Pierwszy pocisk wystrzelony przez dziewczynę trafił w piach i muszle po lewej, a drugi świsnął mu obok głowy. Trzeci poleciał w niebo, bo zanim naciśnęła spust, Peters zdążył posłać kulę w jej klatkę piersiową. Dziewczyna padła nie dalej jak cztery stopy od niego, ale wstała niemal od razu, niczym kartonowa kaczka na strzelnicy. Nie była już jednak w stanie ponownie wycelować, jej palec rozpaczliwie szukał spustu, kiedy Peters wypalił ponownie. Padła.

Pistolet wypadł jej z ręki i poleciał w piach. Peters wstał i podszedł do zwłok.

Spojrzał na ciało dziewczyny i pokręcił głową.

Zaczynało się zupełnie tak samo jak jedenaście lat temu.

I choć zetknął się wtedy z masakrą tak straszliwą, że nie potrafiłby nawet jej sobie wyobrazić, nie chodziło wcale o samo zabijanie, nie ono go szokowało — oczywiście poza tym chłopcem, ponieważ ta śmierć była jego winą i jego problemem - lecz wiedza o tym, kim i czym byli ci ludzie. Miał ich za kompletnie odmienny gatunek, który ewoluował równoległe, ale ich przodkowie w plejstocenie czy kiedyś tam, którzy nie byli *jego* przodkami - ani przodkami nikogo, kogo znał ani o kim słyszał - poszli w innym kierunku rozwoju, i nie potrafił tego zrozumieć. Wiedział w głębi ducha, że to nieprawda, bo przecież istnieli tacy ludzie jak Manson czy Bundy, ale ich nigdy nie spotkał

i nawet jakby miał żyć sto lat, to nie zrozumiałby, w jaki sposób tamci stali się tym, kim są. Nigdy by nie zrozumiał.

Patrzył na jej zwłoki, na wypływające z niej, wsiąkające w piasek życie. Blade ręce nadal drżały, szukając w ciele rany wlotowej, aż wreszcie wymacały ją pod brudną, zakrwawioną koszulą.

I słabym ruchem dziewczyna *włożyła palce w dziurę po kuli.*

Robiąc to, uśmiechnęła się.

Druga Zabrana pławiła się w pełnej ciepła przyjemności, jaką sprawił jej ból.

Pamiętała, a wspomnienie to sięgało daleko, człowieka ubranego podobnie do tego, który stał nad nią, i który również był tak duży jak ten. Jak przez mgłę pamiętała też jego kobietę o szczupłej twarzy, kontrastującej z nalanymi policzkami mężczyzny. Kobieta miała spokojne oczy i może nawet trochę nieobecne, w których kryła się i pustka, i uraza, lecz były zupełnie inne niż świńskie, męskie ślepia. Kobieta nie miała też ciężkich, twardych, obłapiających dłoni.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak uciekła od mężczyzny, jak Kobieta nocą weszła do jej pokoju i zabrała ją.

Kobieta była wówczas młoda, a ona była zaledwie dzieckiem.

Nie rozumiała, czemu ją zabrano, płakała, gdy Kobieta zostawiła ją w ciemnościach.

Od zawsze była bardziej wrażliwa niż inni.

Czuła na opuszkach palców ciepło swojego wnętrza, wilgotne, gorące życie wylewające się z niej z każdym uderzeniem serca. Znajomy ból, który określał to, kim była.

Powoli wspomnienie odeszło.

Duch poprowadził go, żeby to zobaczyć.

Żeby patrzył na ich walkę, usłyszał strzały i poczuł zapach prochu, żeby widział, jak pada Druga Zabrana.

Chciał zademonstrować swoją siłę, miał być świadkiem. Zobaczyć.

Sam zrobiłby dokładnie to samo.

Królik skrył się w mroku za skałami i patrzył, jak duch mężczyzny staje nad Drugą Zabrana, sięga i dotyka jej gardła, a potem idzie dalej chwiejnym jak niedźwiedź krokiem przez plażę w stronę jaskini. *Zapoluje na nich*, pomyślał.

Na nich wszystkich.

Nie zastanawiał się nawet, po co duchowi broń i czemu tak głośno oddycha.

Czuł panikę, myśląc o *sile przyciągania* tego ducha - był wystarczająco silny, aby go tutaj sprowadzić, aby przywołać Drugą Zabrana z jaskini, żeby móc ją zabić tak szybko jak wąż rzucający się na królika.

Odwrócił się i wdrapał na skały.

Nie chciał iść tą samą drogą, po której przed chwilą kroczył duch, tam nadal unosił się jego zapach. Poszedł więc lasem, z dala od ścieżki. Usłyszał męskie głosy i uświadomił sobie, że nadchodzą jacyś ludzie, w dodatku szli w jego kierunku, maszerowali jeden obok drugiego, tworząc kordon, przez który nic się nie przecisnie. Drażnił go zapach ich ciał oraz oleju, którym nasmarowali broń. Mógł jedynie schować się w zaroślach i mieć nadzieję, że przejdą obok tak jak duch i zostawią go w spokoju.

Znał lepszą kryjówkę, o ile zdoła do niej dotrzeć. On, Ziemiogad i Chłopiec korzystali z niej dość często. Nie była daleko stąd.

Może wszystko przeczekać, chowając się na górze.

Będzie mógł obserwować stamtąd wszystko przez całą noc, a może nawet i dłużej.

Nie była daleko.

„Tutaj! Proszę pana!”

Peters przygotował się do strzału, ale zobaczył, że chłopiec nie jest jednym z nich.

To zwyczajny dzieciak, taki, jakiego zastrzelił przed jedenastoma laty, i nie miał zamiaru popełnić tego błędu ponownie. Chłopak siedział przyczajony w wysokiej trawie przy klifie i machał do niego.

Był brudny i zakrwawiony, miał podrapaną całą twarz i dłonie, a na sobie jedynie przemoczoną piża-

mę. Wymachiwał rozpaczliwie rękoma i syczał na Petersa, co miało być w zamierzeniu szeptem, a do tego zbierało mu się na płacz.

Chłopiec wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Ale nadal żył.

Peters obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby utrzymać taki stan rzeczy.

- Gdzie oni są? - zapytał.

Chłopiec pokazał palcem na ciemne pęknięcie w skalnej ścianie. Jaskinia.

- Na górze - odpowiedział.

Szykowała się niezła wspinaczka, a zraniony bok nadal krwawił. Było gorzej, niż się spodziewał.

- Kto z nimi jest?

- Moja... moja mama. I chyba Amy. Tak myślę. -Kim jest Amy?

- Przyjaciółką mojej mamy. Nazywa się Halbard.

- Widziałeś je?

- Widziałem moją mamę. I chyba... ale nie jestem pewien...

- Kogo, synu?

Chłopak wyglądał na zmieszanego.

- Chyba widziałem mojego *tatę*. To było później, zobaczyłem, że idzie jakaś kobieta z facetem, opierał się na niej i szli na górę... wyglądał jak mój tata, ale on jest w Nowym Jorku i to nie mógł być on... nie wiem...

Peters zrozumiał, że chłopak szedł za matką i został tutaj, aby mieć oko na jaskinię. Oznaczało to, że był zdeterminowanym, pomysłowym i wytrzymałym dzieckiem. Trząśnięcie teraz jak liść na wietrze i to wcale nie przez mokre ciuchy. Peters nie winił go za to.

Aż wreszcie chłopiec wybuchnął płaczem i Petersowi wręcz ulżyło, kiedy zobaczył łzy. Łzy oznaczały normalność. Łzy były prawidłową reakcją.

Położył dłoń na ramieniu chłopca i przykucnął.

Bolało jak cholera, ale musiał dać mu od siebie choć tyle.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, synu - powiedział. - A teraz słuchaj. Idę na górę i chcę, żebyś tutaj został, nie wychylał się i miał na mnie oko. Schowaj się z powrotem w trawie, okej? Jeśli nadejdzie ktoś, kto wygląda według ciebie podejrzanie, siedź spokojnie. Ukryj się. O mnie nie musisz się martwić. Nie krzycz nic do mnie, nie pokazuj się. Poradzę sobie. A jeśli przyjdzie ktoś, kto wygląda jak policjant, pokaż mu, gdzie poszedłem. Niedługo przyjdą tutaj policjanci i wydostaniemy wszystkich, nikomu nic nie będzie. Dobra?

Chłopiec wytarł nos i przytaknął.

- Dopiero co się poznaliśmy, ale widzę, że z ciebie kawał chłopca - powiedział Peters. - Siedź tutaj i wyglądaj policjantów. Niedługo znowu się spotkamy, w porządku? Dobra, schowaj się teraz.

Chłopiec ponownie przytaknął, tym razem jego oczy były suche.

Peters pomyślał, że dobrze zrobił, dając mu jakieś zadanie.

Cholera, aż do wczorajszej nocy sam jakiegoś potrzebował.

Zbyt wielu nieznajomych się tutaj kręci.

Do zobaczenia, Mary, pomyślał i zaczął wchodzić na górę.

Przeszedł zaledwie ćwierć drogi, kiedy usłyszał krzyki.

00:35

Amy usłyszała krzyki Claire i to one wyrwały ją z głębokiej mgły odrętwienia. Rozejrzała się po słabo oświetlonej jaskini.

Nadal trzymała przy piersi tę rzecz, kołysała ją w ramionach, a dziecko dalej ssało i ścisnęło. Sutek przybrał już wściekle czerwony kolor.

Wytarła gęstą, zakrzepłą już krew z oczu i zobaczyła leżącą na podłodze Claire, która wierzgała, rzucała się i wyrywała, a dzieci siedziały na niej niczym czarne, nietoperzowe cienie.

Słyszała mlaskanie. Pożywiały się nią.

Zobaczyła Stevena, który obserwował tę scenę biernie. Obok stała wysoka kobieta.

Zobaczyła, jak mężczyzna wije się pomiędzy no-

gami Claire niczym przerośnięta iguana, nagle podnosi głowę i atakuje jej przyjaciółkę, jakby chciał ją ukąsić. Claire zdołała szarpnąć nogą i wbił zęby w wewnętrzną stronę jej uda. Zaczął szarpać, próbując wygryźć kawał mięsa, który chwycił szczękami. Claire wrzeszczała i ciskała się z całej siły, udało jej się nawet wyzwolić prawą rękę, gdyż trzymający ją chłopiec zatopił zęby w jej ramieniu. Ociekała krwią. Mężczyzna odrzucił głowę w tył, otworzył usta i przełknął to, co w nich trzymał - *połknął* - i nagle wydało się jej, że Claire jest nią, a ona jest Claire, a rzecz przyssana do jej piersi była nimi wszystkimi.

Wstała, opierając się o ścianę jaskini, i oderwała dziecko od swojego sutka, chłodna plwocina poleciała na jej pierś, i podniosła skrzeczącego bachora nad głowę.

- *Przestańcie! Przestańcie natychmiast!*

Gdy otworzyła usta, zakrzepnięta krew na jej twarzy popękała.

- Co ty, kurwa, zwariowałaś? - Leżący obok ogniska Steven usiłował wstać, lecz rozjeżdżały mu się nogi - Amy, połóż to dziecko z powrotem, do jasnej cholery! Inaczej nas zabiją!

A jednak tamci przestali znęcać się nad Claire i patrzyli teraz na nią.

Nawet mężczyzna odwrócił się w jej stronę.

- Zabić nas? - Zachciało jej się śmiać i to niemal histerycznie -1 tak nas zabiją, Steven. Spójrz na nią.

Patrz, do kurwy nędzy! Patrz, co zrobili z twoją żoną, ty pierdolona kupo gównal

- Ja nie mam żony. - Wzruszył ramionami i spojrzał na Claire. - Masz na myśli ją? Pierdolę to.

Kobieta wystąpiła do przodu. -*Nie!*

Podniosła dziecko wyżej. Niemowlak wiercił się w jej dłoniach, chciał się wydostać. Amy poczuła ukłucie winy, że wykorzystuje go w ten sposób, i kobieta musiała to wyczytać z jej oczu - wyczuła moment słabości, wahania - bowiem zbliżyła się o krok, a inni zaczęli powoli wstawać. Nie miała jak uciec i dziecko było jej jedyną kartą przetargową.

Nie zmuszaj mnie do tego, pomyślała.

Me znasz mnie. Nie znasz ani mnie, ani Claire.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedziała. Widziała, że Steven próbuje ni to doczołgać się, ni

to przypełznąć do wyjścia z jaskini, a Claire przewróciła się na bok, szlochając. Reszta zamarła na moment, ale znowu zaczęła iść w jej stronę.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, jak we śnie, w koszmarze, który wspólnie śniły - dzieci wymazane krwią Claire, mężczyzna z mokrym, świecącym się jeszcze podbródkiem. Usłyszała dźwięk wyjmowanego z pochwy noża i zobaczyła błysk ostrza w ręce dziewczyny oraz brzytwę w ręce jednego z chłopców. Przykuty do ściany nagi mężczyzna zagrzechotał łańcuchami i zobaczyła, że stoi

tuż przy nim. Obserwował tę scenę z zaciekawieniem, napierał do przodu i powarkiwał, żywo zainteresowany niecodzienną sytuacją.

- Nie róbcie tego - powiedziała.

Kobieta zatrzymała się i sięgnęła po zatknięty za pasem pistolet. Amy zdała sobie jednocześnie sprawę z dwóch rzeczy - że broń była tym, czego teraz potrzebowała, oraz że ma jedną jedyną szansę, aby spróbować ją zdobyć.

Wybacz mi, pomyślała.

Dziecko wydawało się przeczuwać, co się teraz stanie, bowiem zaczęło ryczeć, kiedy Amy zacisnęły na nim dłonie i wzięła zamach. Rzuciła niemowlaka na oślep, mocno, gdzieś do tyłu, za plecy tej kobiety, gdzieś prosto w tych ludzi. Zobaczyła, że dziecko rozkłada rączki i spada w dół, kobieta obraca się, a bliźniaki i chłopiec z chorym okiem próbują je złapać i wreszcie ktoś - chyba właśnie ten chłopiec - złapał je za ramię i przyciągnął do siebie zdecydowanym ruchem.

Kobieta obróciła się z powrotem w jej stronę, dysząc wściekle, ale Amy była już przy niej, szarpała za jej pas, usiłując wymacać pistolet. Chwiała się lekko, ale nie przestawała szukać broni. Wreszcie złapała za broń, a wtedy kobieta uderzyła ją mocno pięścią, sprowadzając na ziemię. Amy przeturlała się w okolicę ogniska i podniosła broń, gotową do strzału. Tylko że kobiety nie było już w miejscu, w które wy-

celowała - podbiegła do drugiej ściany groty i podniosła siekiere, obróciła się i ruszyła w kierunku Amy, podobnie jak mężczyzna i dzieci. Amy nie wiedziała, gdzie strzelać, bo nadchodzili ze wszystkich stron - zaczęła po prostu naciskać spust.

Strzały odbiły się echem od ścian jaskini. Zobaczyła, że mężczyzna wyciąga rękę w jej stronę, ale trafiła go prosto w pierś, zachwiał się na nogach, jakby dostał kulą błota, kawałki jego ciała i krew ochlapały stojącą za nim dziewczynę. Jeden z bliźniaków upadł, trzymając się za kolano. Wystrzeliła raz jeszcze, gdyż mężczyzna zrobił kolejny krok w jej stronę, i nagle magazynek zrobił się pusty, słyszała, jak mechanizm pistoletu cyka bezsilnie. Kobieta podniosła ręce, a mężczyzna złapał ją zakrwawionymi rękoma za poję szlafroka, a potem za ramię i przewrócił na plecy, jakby składając Amy w ofierze kobiecie z siekiere.

Był w tym jakiś poetycki urok.

Peters rozpoznał go od razu, gdy tylko go zauważył, chociażby po brudnym od błota garniturze.

Mężczyzna wyglądał na lekko zszokowanego faktem, że spotkał Petersa.

Peters nie miał zamiaru tracić na niego ani słów, ani kul.

Walnął go po prostu w łeb kolbą swojej trzydziestki ósemki i zwałił go z nóg.

Szedł uczęszczaną przez jelenie ścieżynką i znajdował się już jakieś piętnaście stóp od wylomu w ścianie, który chłopiec wskazał jako wejście do ich jaskini. Grota była na wprost od niego.

Znowu muszę tam wejść, Mary, pomyślał. Tak jak jedenaście lat temu. Tak jak tej nocy, kiedy zabili Caggiano, a ja zastrzeliłem tamtego chłopaka.

To przez to nie mogliśmy zasnąć tyle nocy.

To przez to tyle wycierpiałaś tylko po to, aby być przy mnie.

Życz mi szczęścia, Mary. Wyciągnij do mnie pomocną dłoń.

Może tym razem zrobię wszystko dobrze.

Był dosłownie kilka kroków od jaskini, kiedy usłyszał strzały, i nie czekał, aż kanonada ucichnie. Po prostu szedł do środka.

Ból był nie do zniesienia.

Każdy strzał zdawał się łamać jedną kość w ciele Claire.

Próbowała wstać, kiedy do groty wszedł jakiś mężczyzna.

Ból przygniótł ją z powrotem do ziemi.

Patrzyła jednak, jak celuje i strzela.

Zdawał się mieć rozeznanie w całej sytuacji, gdyż wyminął ją i przyklęknął, biło od niego skupienie i napięcie, które spływały na nią i wypełniały szaloną radością, bo teraz to tamci przeżywali koszmar, a nie one - *tamci!* — i kiedy strzelił po raz pierwszy, oko

tamtego dzikusa zniknęło, zastąpione przez szeroką, czarną dziurę. Wypuścił Amy z uścisku, jego głowa poleciała do tyłu, a krew trysnęła na ścianę. Padł na ziemię i Claire musiała się powstrzymać z całych sił, aby nie rzucić się na tego starszego faceta i nie ucisnąć go.

Amy podniosła się na kolana. Mężczyzna wystrzelił ponownie. Kobieta padła na ziemię, wypuszczona z ręki siekiera uderzyła o skałę.

Kolejny strzał. Chłopiec z chorym okiem przeskoczył przez ogień, dzieci rozbiegły się po jaskini, były wszędzie, rozbiegły się i poruszały błyskawicznie. Nawet bliźniak z przestrzelonym kolaniem czołgał się po podłodze i ciął powietrze swoją brzytwą. Mężczyzna trafiłby skaczącego chłopca, pomyślała, gdyby gówniarz nie zahaczył nogą o stojący na ogniu garnek i nie wywrócił się, schodząc z trajektorii pocisku. Jego lewa noga wpadła wprost w płomień, wysyłając w górę deszcz iskier.

Z garnka wylała się na ziemię jego parująca zawartość. Szara breja ubrudziła podeszwy jej stóp.

Podniosła się i, nie przestając się trząść, odeszła o kilka kroków. Gdy płuca i nerki Davida także wypłynęły z garnka, mężczyzna ponownie wypalił.

Spodnie chłopca, który wpadł do ognia, zaczęły się palić, ale on jakby tego nie zauważył, nie dbał o to, podniósł nóż i natarł na mężczyznę. Ale mężczyzna strzelił do niego z bliskiej odległości w twarz.

Claire odwróciła się, aby tego nie widzieć, i kątem oka dostrzegła sylwetkę Amy, która wstała i kuśtykała w jej stronę. Dzielił je od siebie tylko okaleczony bliźniak z brzytwą, ten, którego jej przyjaciółka trafiła w kolano. Ciągając za sobą nogę, próbował chwycić którąś z nich.

Mężczyzna strzelił raz jeszcze. Odwróciła się w samą porę, aby zobaczyć, jak drugi z bliźniaków pada na któryś z ułożonych pod ścianą stosów, ale ich wybawcy nie udało się przeprowadzenie kolejnego ataku. Nóż ugodził go w pierś, dziewczyna wyskoczyła niespodziewanie z cienia. Przez chwilę, która wydawała się torturą, przekreślała tkwiące w jego ciele ostrze i zatapiała je głębiej, aż udało mu się podnieść pistolet i wypalić prosto w jej ucho.

Padł na kolana, ściskając ostrze długiego noża, zbyt słaby, żeby je wyciągnąć. Twarz zachlapaną miał krwią.

Spojrzał na Claire i wtedy zobaczyła w jego oczach ostrzeżenie, dosłownie ułamek sekundy przed tym, zanim przewrócił się na ziemię.

Odwróciła się i poczuła, że coś przecina skórę na jej ramieniu - niemal bezbolesne ciepło - i zobaczyła pełznącego po ziemi bliźniaka, który ponownie podniósł rękę, przygotowując się do zadania kolejnego ciosu. Za nim pojawiła się Amy - złapała go za rozczochrane, brudne włosy i z całej siły wepchnęła jego twarz w rozżarzone polana.

Chłopiec próbował się wyrwać, w górę poszły iskry, jego włosy zapłonęły, a Claire *poczuła* na własnej skórze gorące płomienie palące ręce Amy, jakby to ona włożyła dłonie do ognia, lecz jej przyjaciółka nie puszczała - obie nie puszczały - aż krzyki dziecka ustały, a jego ciało oklapło. Leżał z twarzą w ognisku, skwiercząc jak smażone na patelni mięso.

Claire pomogła Amy się podnieść.

Poza trzaskaniem ognia i brzękiem łańcuchów, jaskinia była zupełnie cicha.

Z cienia dobiegł płacz dziecka.

Łzy wyżłobiły ścieżki na brudnych od sadzy policzkach Amy. Miała spalone na popiół ręce, a gdzieś tam białe bąble. Trzymała je bezsilnie przed sobą.

- Już w porządku - powiedziała Claire. - To koniec.

Spojrzała na mężczyznę, który je uratował, jego ręce nadal zaciśnięte były na trzonku noża. Miał na wpół otwarte, nieruchome oczy. Nie mogła stwierdzić, czy oddychał.

Poczuła ukłucie straty, coś na kształt miłości do tego mężczyzny, choć był kompletnym nieznanym, zobaczyła go po raz pierwszy może przed kilkoma minutami. Czuła, jakby jego obecność tutaj nie była przypadkowa, jakby przywiódł go tutaj jakiś ludzki impuls, odruch, jakby chciał im pomóc. I może jesz-

cze nie było za późno, żeby odwdziżyć mu się tym samym.

- Musimy się stąd wydostać - powiedziała. - Musimy pójść po pomoc.

Za nią leżała sterta koców. Wzięła jeden dla siebie i drugi dla Amy. Pledy były szorstkie i śmierdziały moczem, lecz obie trzęsły się niemiłosiernie i wiedziały, że muszą się ogrzać, aby nie doprowadzić swoich ciał do szoku termicznego.

Rana w jej udzie bolała nieprzerwanie, szła, krwawiąc obficie. Wcześniej udało się jej zapomnieć o niej na dłuższą chwilę.

Zarzuciła koc na siebie i Amy.

- Chodź - powiedziała.

Leżąca w ogniu głowa chłopca skwierczała i trzaskała.

Wyszły prosto w ciepłą, jasną noc.

Zobaczyły leżącego na ścieżce Stevena, kilka stóp od wejścia do jaskini.

Nawet nie zwróciły na niego uwagi, nie sprawdziły, czy nadal żyje, czy też jest martwy. Myślały za to o pchniętym nożem mężczyźnie, który został w grocie.

Steven i tak należał już do świata zmarłych. W ten czy inny sposób.

Me *Amy*, *ale nie Amy*, pomyślała Claire i uścisnęła przyjaciółkę. *I nie ja. I nie tamten człowiek.*

Z dołu usłyszały głos Luke'a, któremu nadal kiep-

sko wychodził szept, a zaraz potem męskie głosy, które go uciszały. Poczowała, jak z serca spada jej kamień i odchodzi ból. Wiedziała, że teraz będzie miała szansę zrobić to wszystko, na co zawsze brakowało jej czasu. Ledwo powstrzymała uśmiech.

00:45

Nie próbuj uciec od bólu, przyjmij go, pomyślała Kobieta.

Nauczyła się tego wiele lat temu, nawet nie sięgała pamięcią tak daleko. Już raz ta sztuczka uratowała jej życie - dzięki niej potrafiła sobie radzić z każdą raną.

Umiała sprawić, że stawała się ona częścią jej ciała. Zlokalizowała tkwiącą w ciele kulę, która umościła się gdzieś za siódmym zębem, i wchłonęła ją, przyjęła do siebie. Aż wreszcie pocisk stał się czymś naturalnym, niczym paznokieć albo mieszek włosa.

Zebrała w sobie wszystkie siły i zmusiła się, aby wstać.

Rozejrzała się spokojnie po jaskini. Wilgotne powietrze nadal było ciężkie od zapachu prochu. Dzieci nie żyły. Pierwszy Zabraný też. *Będzie musiała zacząć na nowo.* Kopnęła grubego mężczyznę dwukrotnie w brzuch,

choć widziała, że wydał z siebie ostatnie tchnienie już przy pierwszym razie.

Spojrzała na jego twarz i tak jak poprzednio na ścieżce, nie potrafiła odnaleźć jej w pamięci, choć była pewna, że skądś go znała. Kimkolwiek był, niegdyś pojawiał się w jej snach.

Być może znowu zacznie i wtedy zrozumie czemu.

Pojmani zniknęli. Musi się pośpieszyć.

Wzięła do ręki zakrwawioną koszulę i podniosła kwilące na ziemi dziecko Drugiej Zabranej. Dziecko zamilkło, kiedy tylko wzięła je na ręce.

Jej uwagę przykuły oczy niemowlęcia.

I zaniepokoiły ją. Jakby zrozumiało, co zamierzała zrobić, i udzieliło niemej aprobaty. Nie były to oczy dziecka, lecz mędrca.

Biła od nich moc.

Owinięła dziecko koszulką i zawiązała oba końce między nogami dziewczynki, a potem powiązała z sobą rękawy i założyła sobie na szyję. Niemowlak zwisał więc na jej plecach w tej zaimprovizowanej uprzęży, na wysokości odpowiedniej, aby nie krępować ruchów Kobiety, gdy będzie musiała sięgnąć po nóż. Na plecach czuła małe palce dziecka, które jakby szukało jakiegoś schronienia w jej wnętrzu, jakby chciało wejść do środka i zamknąć się tam.

Poszła szybkim krokiem na tył jaskini.

Poczuła chłód. Ciało drugiego niemowlęcia, tego, które przyniosło im to nieszczęście, leżało w białym

worku na śmieci pod ścianą jaskini, obok Krowy. Widziała jego policzek i ramię przyciśnięte do torby, jakby dziecko próbowało się uwolnić.

Uwięziony duch.

Zawiodła.

Nie mogła go uwolnić, na to było już o wiele za późno, ale nadal mogła oddalić od siebie jego zemstę, skierować ją gdzieś na głębię oceanu.

Podniosła worek, zawinęła go i przywiesiła sobie u pasa.

Sięgnęła po pokrytą rdzą, żółtą puszkę po kawie leżącą obok Krowy i wyciągnęła z niej skórzane rzemienie oraz klucz. Otworzyła nim zamek przy łańcuchach, które opadły z mężczyzny z łoskotem. Znajdzie inne, ale nie mogła zostawić Krowy, był niezbędny, aby mogła zacząć na nowo.

Zawiązała mocno rzemienie wokół jego nadgarstków, chwyciła je jedną ręką, w drugiej trzymała siekiere, i podeszła razem z Krową do wyjścia z jaskini. Normalnie poprowadziłaby go inaczej, z dłońmi związanymi z tyłu, przywykł już zresztą do tego, ale nie chciała, żeby stracił równowagę i spadł na dół albo opóźniał ją, wciąż się potykając.

Na zewnątrz wiał wiatr, poczuła zapach słonych, morskich fal. Usłyszała głosy. Szepty.

Nie przy wejściu, ale blisko.

Szarpnęła za rzemienie. Krowa jęknął i ruszył do przodu.

Nasłuchiwała. Z dołu dochodziły odgłosy kroków, ale ścieżka była wolna.

Ciepły wietrzyk obmywał jej ranę. Krowa nagle się zatrzymała.

Kilka stóp przed nią na dróżce siedział zdezorientowany mężczyzna. Spojrzał na nich i schował rękę, którą obmacywał sobie głowę. Zobaczyła, że krwawi.

Pozwoliła sobie na chwilę żalu. Mężczyzna nieco się jej przysłużył, a gdyby miała więcej czasu, mogłaby go wykorzystać na wiele innych sposobów. Wiedziała, że tkwiący w nim wilk wreszcie obudziłby się, chcąc walczyć o swoją skórę.

Lecz teraz był ranny, nie potrafił uciec przez głosa mi z gór.

Chyba nie zdawał sobie z tego sprawy; wyciągnął w jej stronę ręce w poddańczym geście i pokręcił głową, spoglądając w nieprzejednaną maskę, w którą przemieniła się jej twarz. Próbował wstać i jęknął.

Pewnie wyczuł jej intencje, a może po prostu nie chciał, aby go porzuciła.

W każdym razie opuścił go wilk, został jedynie bezbronny mężczyzna.

Wilk stopił się w jedno z wiatrem.

Zrobiła mu przysługę, gdy zamachnęła się siekierą i wbiła mu ostrze prosto w czaszkę, której odcięta połowa pofrunęła w mroczną noc i spadła gdzieś na plażę w dole. Patrzyła na jego zwłoki, które jeszcze przez chwilę siedziały, nim upadły bezwładnie na zie-

mię. Uniósł się metaliczny zapach krwi, mamiący, niemal upojny, odurzający.

Rana w jej ciele domagała się pożywienia.

Zdała sobie sprawę, że całe jej ciało woła o to samo. Minęło wiele godzin od wczorajszej uczyty i może minąć jeszcze więcej, zanim nadejdzie okazja na następną.

Musi działać szybko.

Strome podejście zatrzyma tych z dołu jeszcze przez jakiś czas.

Złapała zwłoki za ramiona i posadziła ciało Ste-vena z powrotem w pozycji siedzącej. Pochyliła się i przystawiła usta do krawędzi przepołowionej czaszki. Wzięła spory łyk krwi i innych płynów, które przelewały się przez kość - smak był mocny, słonawy, wyrazisty. Złapała zwłoki za szyję i podbródek, aby się nie przewróciły i piła łąpczywie z jeszcze ciepłego naczynia. Dziecko na jej plecach wierciło się w swojej upręży, a Krowa bezszelestnie wyciągnął zza jej pasa nóż.

Krowa patrzył na swoją otwartą dłoń, w której jakimś magicznym sposobem pojawił się nóż. Musiał zająć jakiś kompletnie niezależny od niego cud.

W ciągu tych ośmiu lat widział już wiele noży. Ostrza do zdejmowania skór, do ich oprawiania, do cięcia mięsa i robiące za sztucce. A także służące do ostrzenia kijków lub kości i takie, których używali

do torturowania go. Widział noże rozgrzane w ognisku do czerwoności, którymi wypalali rany albo przypalali robactwo. Inne brali na ludzi, a inne na zwierzęta. Mieli noże do szybkiego zabijania, i do powolnego.

Nigdy jednak nie miał żadnego w ręce. Lata spędzone w łańcuchach osłabiły jego ciało - poza jednym organem, który również się wzniósł kiedy trzymany przez Krowę nóż z kościaną rękojeścią zbliżył się do jedzącej kobiety.

W jego umyśle zagościł nagle pewien obraz Zobaczył człowieka przesiadującego od wielu tygodni w wąskiej szczelinie skalnej, odciętego od jakiegokolwiek źródła światła, nie mogącego nawet stanąć na nogach ani uklęknąć, żywiącego się insektami, które zerowały na jego odchodach i resztkami mięsa, zrzucanymi z góry, skąd padało oślepiające białe światło Mężczyzna miał kiedyś imię. Frederick. Reszty nie pamiętał.

To Kobieta go tam przyprowadziła. To ona *so* zamknęła.

I od tamtej pory był tylko Krową.

Te wszystkie lata w łańcuchach osłabiły jego ciało, ale nie aż tak, żeby nie mógł podnieść w górę noża łapiąc go obiema rękoma, i zanurzyć w jej plecach' prawie nieświadom obecności dziecka, które szarpało" się zaledwie kilka cali od ostrza, próbując wydostać się z uprzęży. Wepchnął nóż głębiej, napierając na

niego całym swoim wątłym ciałem, a jego erekcja dotknęła gładkiego uda Kobiety i poczuł niewysłowioną przyjemność, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał.

Kwiczał, kiedy go dusiła, ale nie przestawał się uśmiechać.

Telepała nim niczym szmacianą lalką, aż jego język wyszedł na zewnątrz, ale nie chciał umrzeć. Światło w jego oczach nie gasło, wypełniała je radość. Zastanawiała się, czy to również spowodował mściwy duch dziecka. Najpierw odebrał Kobiecie to, co stanowiło o jej świecie, a teraz sięgał po całą resztę. Nie zdziwiła się więc, kiedy rozległy się strzały i tuziny kul wylądowały w jej ciele. Spadła razem z Krową i dzieckiem w dół.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był właśnie potomek Drugiej Zabranej, który, oderwany od jej pleców przez grad kul, leciał obok niej, a jego oczy nie zdradzały żadnego strachu, wpatrywały się w nią zimno i wytrwale, gdy przecinali nocne niebo.

Łowczyńi.

00:55

Królik wspiał się po drzewie na platformę.

Począł, aż las ucichnie, aż ludzie odejdą. Słyszał teraz ich kroki na skałach poniżej. Odczekał jeszcze chwilę, tak na wszelki wypadek, aby upewnić

się, że nikogo nie ma w pobliżu, poza tym nie przestawał się bać.

Przedzierał się przez krzaki, kiedy usłyszał kanonadę. Strzały z wielu pistoletów. Potem cisza.

Był pewien, że jego ludzie nie żyją.

Ważne było więc, żeby się ukrył.

Był Królikiem, został sam, musiał nauczyć się być Lisem.

Wdrapywał się ostrożnie, z nożem w zębach, zdziwiony nieznanym zapachem, który wyczuł. Nie był to jego zapach, ani Ziemiajada, ani Chłopca.

Spłynął na niego z góry, niesiony powolnymi prądami powietrza, mógł go niemalże zobaczyć.

Wywęszył strach.

Nieznaczny, odległy. Zwietrzały.

Wyczuwał *niewinność* - ślełą wiarę we własne bezpieczeństwo, którą mają pisklęta w gnieździe.

Wdrapał się na platformę i uśmiechnął, widząc to, co leżało na deskach.

Znalazł to, czego szukał przez całą tę noc, wypełnioną zniszczeniem i strachem. I to właśnie on, Królik, ten, z którego inni się tylko śmiali i którego nie chcieli słuchać, którego uśmiech był dla nich oznaką tego, że brak mu piątej klepki, znalazł je. Śpiące, owinięte w koc tam, gdzie bawił się z Ziemiajadem i Chłopcem. W jego miejscu.

Prawie za nimi tęsknił, gdyż nikt nie mógł świadkować jego tryumfowi.

Wślizgnął się lekkim jak wiatr ruchem na platformę i położył na deskach. Niemowlę spało obok niego z otwartą buzią i zamkniętymi oczyma. Podpełznął bliżej. Oddech dziecka pachniał słodko.

Rozchylił koc, aby zobaczyć płęć niemowlęcia.

Dziewczynka.

Kobieta powiedziała, że muszą użyć krwi dziecka, aby zaspokoić głód ducha tamtego martwego - i wtedy ich los odmieni się na dobre.

Ale teraz już nie było *ich*.

Tylko Królik.

Rozważył to w myślach.

Delektował się wspomnieniem ciepłej, słodkiej krwi.

I wyobrażał sobie jeszcze wiele rzeczy, które czasem mogą stać się rzeczywistością.

Zastanawiał się, czy Kobieta poparłaby jego decyzję, czy nie uznałaby go jednak za głupca. Niemowlę było samicą. Mogliby razem zacząć na nowo. Musiał jedynie gdzieś przeczekać, polować, ukryć się. Dziesięć, może jedenaście lat.

Kobieta na pewno by się z nim zgodziła. Leżał pod pełnym, przysłoniętym chmurami księżycem, wsłuchany w szum fal, i zdecydował się zabrać dziecko ze sobą.

Wziął śpiącą dziewczynkę w ramiona i wtedy otworzyła oczy, dowiedziała się, do kogo należy.

I nagle oboje usłyszeli czyjeś kroki, ktoś biegł, a za nim jeszcze ktoś inny, krzycząc przy tym, aby tamten pierwszy się zatrzymał. Nasłuchiwał głosów i pomyślał, że to *chłopiec, starszy, ale tak samo niewinny jak to dziecko*. Co prawda ten drugi głos należał do dorosłego mężczyzny i Królik wyczuwał niebezpieczeństwo, więc sięgnął po nóż.

Nie miał się za bohatera ani nic z tych rzeczy, ale kiedy tylko zobaczył domek na drzewie, ekscytacja wzięła górę.

Czuł się, jakby pośród tych wszystkich okropieństw, tych wszystkich rzeczy, przez które chciało mu się płakać i przez które faktycznie *płakał* - cierpienie jego mamy i Amy, strzelanina, *ludzie spadający z góry tak blisko miejsca, w którym stał, że słyszał, jak uderzają o ziemię niczym wielkie wory z piaskiem*. Gdy zobaczył dziecko, nie mógł już dłużej patrzeć, schował się za policjantem, a potem zapytał o ojca, lecz nikt mu nie odpowiedział. Robiło mu się niedobrze od smrodu koców, którymi okryta była jego mama, kiedy tuliła go do siebie, od jej płaczu, krwi na twarzy Amy - pośród tego całego zła i przerażenia, znalazła się choć jedna dobra rzecz. To, że Melissa była bezpieczna. Cała i zdrowa.

I to właśnie on wiedział, gdzie jest dziewczynka, bo sam ją tam zostawił. Dlatego czuł się wyjątkowo. Kiedy więc jeden z policjantów powiedział, żeby im

pokazał, gdzie jest dziecko, a drugi zaprotestował, mówiąc, że trzeba najpierw zająć się tamtymi ludźmi, zgłosić to i dopiero wtedy pójdą razem, był szczęśliwy, iż jego mama nalegała, aby poszli od razu, nie zwlekali. Bała się, że Melissie mogło coś się stać. I choć trudno mu było zostawić mamę, cieszył się, że może zabrać policjantów w tamto miejsce. Bo co mogło się wydarzyć? Przecież tamci ludzie już nie żyli, prawda? A Melissa nie potrafi się czołgać, więc nie spadnie z platformy. Mama mówiła, że jest jeszcze na to za mała.

Co więc mogło się stać? *Zwierzęta*, pomyślał.

Zwierzęta mogły ją dopaść. Ta myśl napędziła mu stracha, ale w głębi serca wiedział, że na pewno tak się nie stało.

Pewnie, było to możliwe, ale w jakiś sposób wydało mu się to *niewłaściwe*, aby po tym, jak ukrył ją w tym miejscu, dorwałby ją jakiś dziki zwierz. Nie wierzył w taki obrót spraw, *nie chciał* uwierzyć i kiedy razem z grupką policjantów odeszli od klifu, opuścił go strach, zastąpiła go radość. Mama była bezpieczna. On był bezpieczny. I za chwilę Melissa będzie bezpieczna.

Kiedy dobiegli do domku na drzewie, nie czuł się jak bohater, ale był niesamowicie wręcz podekscytowany.

I nie posłuchał policjanta, kiedy ten kazał mu się zatrzymać.

- Tam, na górze! - powiedział.

Pobiegł przed siebie i wskoczył na przybite do pnia deseczki.

Policjanci zostali nieco w tyle, w końcu to dorośli, więc nie biegali tak szybko, a poza tym nie ekscytowali się tym tak jak on. Nie zdążyli nawet dobiec do drabinki, kiedy on był już na samej górze. Wystawił głowę za krawędź platformy, uśmiechając się szeroko, nie mogąc doczekać się, aż zobaczy Melisę... kiedy ciemny kształt, który nagle przed nim wyrósł, syknął na niego i ruszył do przodu. Jeszcze zanim zobaczył w jego ręce nóż, Lukę stracił równowagę i krzyząc, poleciał do tyłu.

Obrócił się i jedną ręką chwycił barierkę, a drugą wymachiwał bezsilnie w powietrzu. Nóż świsnął tuż nad jego głową. Usłyszał dźwięk łamanego drewna, kiedy chłopak wychylił się i próbował go dźgnąć, ale Lukę nadal bujał się i kołysał, usiłując czegoś się złapać, *czegokolwiek*, prawą ręką - i zacisnął dłoń na rękojeści noża.

Zrobił to zupełnie przez przypadek, ale nie puszczał, bo w ten sposób ostrze nie mogło go zranić, a jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mu, aby ciągnął do siebie, więc zrobił to, i barierka, o którą opierał się chłopiec, ponownie zatrzęszczała. I nagle chłopak puścił nóż, który spadł na platformę, złapał nadgarstek Luke'a i poleciał w dół. Nie puszczał, a w dodatku drugą ręką złapał go za nogę i zaczął się po nim *wspinać*.

Ból przeszył ramię Luke'a - nie mógł dłużej trzymać barierki, lecz w ostatniej chwili jego nogi odnalazły deseczki i tylko dzięki temu nie spadli obaj.

Lukę nigdy nie widział tak silnego chłopaka, wisieli teraz twarzą w twarz. Z tym, że jego była umorusana błotem, a brud ten wydawał się być częścią jego ciała.

Oddech tego chłopaka był gorący i śmierdzący, do tego dzikus uśmiechał się szeroko. Lukę patrzył wprost w jego szalone oczy i krzywe, brązowo-czarne zęby.

Chłopak puścił jego nadgarstek i chwycił go za ramiona. Spojrzał w górę, a potem rozejrzał się wokół siebie - i wtedy Lukę zrozumiał, co chłopak ma zamiar zrobić - chciał wspiąć się po nim na platformę, a potem na drzewo, z niego na następne, a potem na jeszcze kolejne, zniknąć w cieniu, aby policjanci nie mogli go dojrzeć.

Usłyszał dziecięcy płacz i pomyślał: *co się stanie, gdy zabierze ze sobą Melisę, nie będą mogli do niego strzelać, a co, jeśli spadnie?* I kiedy tylko chłopak oderwał jedną rękę od jego ramienia, Lukę poczuł nagłą, intensywną wściekłość na niego, na nich wszystkich, a może nawet i na cały cholerny świat, który krzywdził ludzi na krzywdę niezasługujących. Uderzył więc chłopaka łokciem w żebra tak mocno, jak tylko mógł.

I tak szybko, jak się pojawił, chłopak zniknął.

Albo nawet i jeszcze szybciej.

Jeszcze przed sekundą wisiał na Lukeu, a teraz nie było po nim ani śladu. Luke nie spojrzał w dół.

Nie musiał wiedzieć, czy chłopak żyje, czy też nie. Domyślił się po dźwięku - był taki sam jak ten przy klifie, kiedy ludzie spadali z góry na ziemię jak worki z piachem.

Nie lubił tego odgłosu, ale nie bał się go. Już nie.

Trzęsły mu się nogi, lecz wdrapał się jakoś po dwóch ostatnich stopniach i upewnił się, że nic złego nie przydarzyło się Melissie. Usiadł na platformie, drżąc i głęboko wciągając powietrze w płuca, pomyślał, że wszystko dobrze się skończyło, *pomogłem jej, udało mi się, może nawet ją uratowałem.*

Pozwolił Melissie złapać się za palec, który mocno ścisnęła, aż policjant wszedł na górę i pomógł im zejść.

Melissa uśmiechała się przez całą drogę na dół.

Lukę nie mógł przestać myśleć, że byłoby miło, jeśli jego mama miałaby kiedyś dziecko. Lubił Melissę.

Nigdy nic nie wiadomo. Może kogoś pozna. Byłoby fajnie, pomyślał. A jeśli nie, to też nic się nie stanie. Dobrze było wiedzieć, że nic tak naprawdę nie miało teraz znaczenia.

CZEŚĆ SZÓSTA

13 MAJ, 1992

PORANEK 9:45

Petersowi śniło się, że skacze wraz z Mary z pomostu do morza. Trzymali się za ręce. Oboje byli nadzy i mieli po dwadzieścia lat, a ich ciała były gładkie i mocne. Ogrzewało ich słońce. Uciekali od kogoś lub czegoś, co z jakiegoś powodu sprawiało im problemy, choć nie odczuwali strachu, ale właśnie dlatego skoczyli do wody.

Płynęli przez delikatne fale wokół krótkiego cyplu, aż pod stopami poczuli piasek. Ponownie złapali się za ręce i wyszli na brzeg.

Nagle plaża przemieniła się w zwyczajną miejską ulicę i Mary zorientowała się, że nie ma na sobie ubrania. Ludzie jednak nie gapili się na nich, zajęci własnymi sprawami, lecz Mary była skromną kobietą i Peters widział, że nie czuje się dobrze, stojąc na

chodniku naga jak ją Pan Bóg stworzył. Żałował, że nie zabrali ze sobą ubrań. Nie mieli też pieniędzy, aby jakieś kupić.

Rozwiązał problem, zatrzymując się i biorąc Mary w ramiona.

- Teraz cię nie widać - powiedział. Zaśmiała się.

- George! Jesteśmy na środku ulicy.

- I o to chodzi - odparł. - Jeśli będziemy stali tutaj wystarczająco długo, ktoś zobaczy, że porządni z nas ludzie, do tego zakochani, i przyniesie nam jakieś ciuchy. Prawda?

- Prawda - odpowiedziała i przytuliła się do niego.

- Jakoś się ułoży - dodał. Obudził się.

Zobaczył swoje ciało przykryte kołdrą i zorientował się, że może poruszać rękoma. Nie mógł się temu nadziwić. Rozejrzał się po szpitalnej salce i rzucił okiem na kwiaty. I na siedzących przy łóżku ludzi.

Kobietę z obandażowaną głową, która siedziała na krześle z małym dzieckiem na kolanach.

Trzymała za rękę inną kobietę, ubraną w jasnoniebieski fartuch szpitalny, taki sam, jaki on miał na sobie. Uśmiechała się, widząc, że już nie śpi.

Chłopiec w jeansach i podkoszulku stał przy oknie

i patrzył na słońce. Odwrócił się, spojrzął na Petersa i również się uśmiechnął.

Patrząc na tych obcych mu ludzi, Peters poczuł cholernie silną potrzebę odpowiedzenia im uśmiechem.

I nagle przypomniał sobie o wszystkim. Spojrzął na chłopca z plaży i wspomnienia powróciły.

Zdobył się na uśmiech. Cholera, to żadni obcy. *Czuł się, jakby znał ich od lat. - Jak mi poszło? - zapytał.*